

**GENIE ZEMST**

FORMSPEC (REV. 11/1992) BY TAV/CO/DA

11/1992 11/1992 11/1992

Powieści **CHARLESA D. TAYLORA**  
w Wydawnictwie Amber ***Cienie zemsty***  
*w przygotowaniu*  
***Wojny cieni***

**CHARLES D. TAYLOR**  
**GIEŃIE ZEMSTY**  
przekład Agnieszka Ostrowska



AMBER

Tytuł oryginału SHADOWS OF VENGEANCE  
Projekt okładki i stron tytułowych MAREK ZADWORNÝ  
Redaktor KATARZYNA CHMIELEWSKA  
Redaktor techniczny ANNA WARDZAŁA  
Copyright © 1988 by Charles D. Taylor

ISBN 83-7082-612-1

Wydawnictwo Amber So. z o.o. Warszawa 1994. Wydanie I Druk: „Drogowiec” Sp. z o.o., Kielce

Zgadnij, kto trzyma cię w objęciach?

— Śmierć powiedziałem. Wtedy odpowiedź zadźwięczała srebrna.

— Nie śmierć, lecz MIŁOŚĆ.

ELIZABETH BARRETT BROWNING

## NOTA AUTORA

Jeżeli czytelnikowi wyda się niewiarygodną historia Larysy, to równie trudno będzie mu wyobrazić sobie straszliwe bitwy toczone za europejską Rosję podczas drugiej wojny światowej. Armia Czerwona poświęcała młodzież rosyjską, aby odeprzeć niemiecką inwazję. Na wschodnim froncie było wiele punktów zwrotnych. Jeden z nich to bitwa pod Kurskiem, największa bitwa pancerna w historii. Toczyła się przekraczając linię frontu o siedemdziesiąt pięć mil. Łącznie zostało zniszczonych około pięciu tysięcy czołgów i czterech tysięcy samolotów obu stron, a poległo ćwierć miliona żołnierzy. Nigdy nie ustalono dokładnej liczby strat ludności cywilnej.

Wyobraźcie sobie desperację Rosjan pozwalających czołgom niemieckim wdrzeć się głęboko w rosyjską strefę, by je zaatakować od tyłu — z ukrycia, a potem walczących gołymi rękoma przeciw tygrysom. Czołgi radzieckie były zabunkrowane pośród pagórków, załogi, nie mogąc się wycofać, musiały walczyć do końca. Zdrajcy znajdowali się po obu stronach. Armia Własowa składała się z nienawidzących Stalina Rosjan, walczących po stronie niemieckiej. W czasie bitwy o Kursk zdarzały się przypadki niezwykłego heroizmu jednostek. Weźmy na przykład Rosjanina mówiącego świetnie po niemiecku, który przebrał się w mundur nazistowskiego oficera i pojechał skradzioną ciężarówką do Kwatery Głównej nieprzyjaciela. Tam obezwładnił niemieckiego generała i zawiąawszy go w dywan, dostarczył partyzantom.

W dniach tej bitwy nie było rzeczy niemożliwych. Zaistniał Wiktor Stalbo. Wioska Porynia, leżąca w środku pola walki, dosłownie zniknęła z powierzchni ziemi. Bardzo możliwe więc, że w wiosce tej żyła kiedyś mała dziewczynka o imieniu Larysa.

THE UNIVERSITY OF MICHIGAN  
DEPARTMENT OF ENGLISH

PROFESSOR OF ENGLISH  
MORSE ZELINSKY

ASSISTANT PROFESSOR  
KATHLEEN A. WATSON

ASSISTANT PROFESSOR  
JAMES W. WATSON

Copyright © 1984 by the University of Michigan  
Library of Theology  
All rights reserved. No part of this publication may be reproduced, stored in a retrieval system, or transmitted in any form or by any means, electronic, mechanical, photocopying, recording, or by any information storage and retrieval system, without the prior written permission of the University of Michigan Press.

Printed in the United States of America  
ISBN 0-471-71111-1

Chciałbym podziękować Billemu Story'emu, Tedowi Magnusonowi, Tomowi Davisowi i Danemu Mundy'emu za ich pomoc oraz Dominickowi Abelowi i Michaelowi Scidmanowi za ich doping. I oczywiście muszę podziękować mojej żonie, Georgii, za wyrozumiałość dla mojego romansu z Larysą.

# 1977



# PROLOG

orrison wyglądał jak zwykły amerykański biznesmen. Był wysoki, przystojny, z lekko przerzedzonymi czarnymi włosami, choć już siwiejącymi na skroniach. Miał na sobie schludny garnitur. W rękę trzymał standardową, skórzaną aktówkę. Pstryknął palcami i rozejrzał się dookoła. Zastanawiał się, czy wygląda wystarczająco zwyczajnie, by nie przyciągać niczyjej uwagi. Powoli przesuwiał się wraz z kolejką oczekujących na odprawę celną. Trwało to według niego za długo.

O tej porze w Madrycie było gorąco i wilgotno. W zatłoczonej poczekalni panował przykry zapach — znacznie gorszy od tego, który pozostawił w Atlancie parę godzin wcześniej. Mężczyźni witający przybyłych mieli na sobie lekkie, luźne koszule i białe spodnie, a kobiety kolorowe bluzki i spódnice. Było też kilku mężczyzn w garniturach i krawatach, zapewne witali przedstawicieli świata biznesu.

Wówczas, w tłumie po drugiej stronie barierki, dostrzegł ICH.

Rosjanie niczym się nie wyróżniali, ale równie dobrze mogli wystąpić pomalowani w barwy wojenne.

Rozpoznał ich natychmiast. Nikt z podróżnych nie wydawał się potencjalnym obiektem zainteresowania agentów KGB. A zatem czekali na niego!

Są skuteczni, cholernie skuteczni, przyznał. Skoro wiedzieli, kiedy opuścił Stany i oczekiwali go tutaj, bez wątplenia znali

... ..  
... ..  
... ..  
... ..  
... ..

1911

również miejsce jej pobytu. Na moment wspomnienie Larysy przysłoniło mu Madryt. Ile czasu upłynęło od ich pierwszego spotkania? To już dwadzieścia lat od tych wspaniałych dni w Berlinie, pomyślał. Natychmiast odepchnął te myśli od siebie, by skupić uwagę na agentach oczekujących po przeciwnej stronie... Pamiętał wczorajszy telefon od Dakena, Daken powiedział, że Larysa Alusztą, jego Larysa, została wysledzona. Chętny do udzielania informacji świecki doradca biskupa Majoroki podsłuchał, że proboszcz małej wioski z wybrzeży Palma osobiście zainteresował się tą cudowną kobietą... Tajemniczą Rosjanką! która umierała. A więc dlatego go opuściła. Zdał sobie sprawę, że zdecydowała się umrzeć samotnie. Poczł ukłucie w sercu. Był przerażony. Musi ją odnaleźć przed nimi. Skoro wiedzieli o jego przyjeździe do Madrytu, wiedzieli również, gdzie jest ona. Boże, ależ ją ciągle kochał!

Na obrzeżach Santa Ponsa, cichej, wymierającej wioski na południowy zachód od Palma, w domu na cyplu wyspy stara zakonnica czuwała przy umierającej, którą poznała zaledwie przed kilku tygodniami. Gdy w oczach chorej pojawił się strach przed ostateczną ciemnością, a oddech stał się płytki, siostra Teresa bezgłośnie poruszyła ustami, nie chcąc zakłócać majestatu śmierci. Nagle przyszło ostatnie westchnienie i koniec. Zakonnica odruchowo uniosła oczy ku niebu i przeżegnała się, po czym z szacunkiem opuściła głowę. Odmawiane latami hiszpańskie modlitwy dawno już stały się dla niej pozbawionym znaczenia, mechanicznym potokiem słów, lecz w tej chwili wypowiadała je z głębi serca. Wokół panowała cisza. Podniosła się z krzesła i podeszła do okna, by spojrzeć na błękitne wody Morza Śródziemnego. Zmarła seniora Alusztą zachwycała się tym widokiem. „To mnie uspokaja w ostatnich dniach życia” — powtarzała wielokrotnie.

Wspominając, zakonnica myślała o spokoju, z jakim ta kobieta, choć wcale niestara, zaakceptowała swą śmierć. Przybyła do Santa Ponsa, by umrzeć samotnie. Tak przynajmniej twierdziła. Kiedyś pod wpływem nagiego impulsu wspomniała o mężczyźnie, którego bardzo kochała. Powiedziała również, że nigdy nie pozwoliłaby, aby mężczyzna, o którym mówiła, ujrzał ją umierającą. Siostrze Teresie wydawało się, że godna akceptacja śmierci w samotności była

pięknym zakończeniu życia, nie opuszczała jej jednak myśl, że powolna śmierć spowodowana rakiem z reguły nie wygląda w ten sposób. Nic poza stwierdzeniami samej kobiety i jej smutnym, nieobecny spojrzeniem nie potwierdzało istnienia choroby. Seniora Alusztą odeszła zbyt szybko. Nawet w obliczu śmierci wydawała się niezwykle piękna i młoda, nie miała chyba nawet pięćdziesięciu lat.

Siostra Teresa przeszła cicho przez pokój, by ponownie zająć miejsce u wezgi z zmarłej. Podniosła zimną rękę, głaszcząc ją delikatnie. Już pierwszego dnia, gdy się spotkały, zauważyła, że brakowało jej dwóch palców u lewej dłoni. Nie zapytała o przyczynę tego okaleczenia. Teraz przyjrzała się dokładnie. Jakikolwiek był powód, niewątpliwie zaniedbano pomocy lekarskiej. Paznokcie również wyglądały nienaturalnie, prawie tak jakby je kiedyś usunięto i włożono z powrotem. Myśl o torturach przeszła ją dreszczem.

Tuż przed śmiercią seniora odepchnęła rękę siostry Teresy, gdy ta próbowała ją uczesać. Ostrożnie zakonnica odsunęła grube, jasne włosy za ucho zmarłej. To, co zobaczyła, przeraziło ją. Nic dziwnego, że seniora Alusztą oponowała. Brakowało sporego kawałka ucha, a okrągłe blizny na tylnej części twarzy wyglądały jak po oparzeniach. Cofnęła się, zakrywając usta ręką.

Kim była seniora Alusztą? Parę tygodni temu ojciec Leon wysłał siostrę Teresę do domku nad Morzem Śródziemnym, by zajęła się kobietą umierającą na raka i potrzebującą opieki. Starą zakonnice ucieszyła możliwość opuszczenia klasztoru, gdzie dla innych sióstr była ciężarem. Tutaj wreszcie czuła się komuś potrzebna. Chodziły obie często na spacer. Seniora żartowała nawet, że zakonnica nie będzie mogła dotrzymać jej kroku. Spacerowały razem po plaży nie opodal klifów w poszukiwaniu muszli i kamyków wyrzucanych przez morze. Seniora słabo znała hiszpański, a może po prostu nie chciała się odzywać. Rozmawiały niewiele i zakonnica zdała sobie teraz sprawę, że to głównie ona mówiła. Tamta w czarujący sposób potrafiła odwrócić uwagę od własnej osoby.

Kiedyś wspomniała o swym dzieciństwie w Rosji. Mówiła ciepło o Kursku i o swojej wiosce, o czasach, zanim przybyli Niemcy. Właśnie Rosja nie dawała teraz spokoju zakownicy. Słyszała, że poprzedniego dnia w Santa Ponsa widziano dwóch Rosjan popijają

cych piwo u Gaetana. To było niezwykle. W wiosce nigdy dotychczas nie pojawili się Rosjanie. Nie pojawiał się tam prawie nikt z wyjątkiem emerytów pragnących zakończyć tu swój żywot tak jak seniora. Siostra Teresa przypominała sobie wszystkich tych, którzy zmarli na raka. Nie miała wielkiego doświadczenia, lecz pamiętała, że ich koniec był zupełnie inny niż ostatnie dni pięknej damy. Seniora Alusza nie cierpiała tak jak ci ludzie. Zdawała się wręcz rozkwitać w spokojnej, śródziemnomorskiej aurze. Dopiero ostatniego dnia, znalazłszy ją w łóżku niezdolną do poruszania się ani rozmowy, zakonnica spostrzegła śmierć widoczną w oczach Rosjanki. Chora wypila odrobinę wody i uśmiechnęła się w podzięce, gdy siostra delikatnie ułożyła jej głowę na poduszce. Próbowwała coś powiedzieć, ale nie mogła. Wkrótce potem zmarła. Stało się to prawie tak, jakby ktoś... jakby ktoś ją zabił!

W powietrzu wisiało coś niedobrego... Coś tak bardzo niedobrego, że siostra Teresa musiała natychmiast zobaczyć się z ojcem Leonem. W drodze do probostwa wciąż prześladował ją obraz dwóch roslących mężczyzn pociągających piwo i spoglądających na morze. Gaetan, który ich obsługiwał, powiedział, że byli Rosjanami. Nie wyglądali na typowych gości Santa Ponsa. Im więcej o nich myślała, tym większy ogarniał ją strach. Przeżona i cała we łzach wpadła do pokoju księdza.

Widok, jaki ujrzała, wyrwał z jej piersi dziki, przeraźliwy krzyk. Ojciec Leon leżał na kamiennej posadzce, a jego podkulone nogi tonęły w kałuży krwi. Zwrócony był w kierunku prostego drewnianego krzyża, który własnoręcznie wyrzeźbił parę tygodni temu. Siostra Teresa zastanawiała się, kto i dlaczego skrzywdził ojca Leona. Pomyślała o martwej kobiecie w domku. To on jej pomógł... i ktoś zabił go... Tak jak ją. A skoro ten ktoś wiedział o ojcu Leonie, musiał też wiedzieć...

Wycofała się przez drzwi wolno, z zamkniętymi oczami, by nie patrzeć na straszny widok. Ostrożnie ruszyła w kierunku ołtarza. Witraże, świece, krzyż zacierniający ołtarz — wszystko, co kojarzyło się z klasztornym życiem, sprawiło, że chciała uklęknąć i dać upust żalowi. Rozsądek ją opuścił. Zastąpiło go głębokie przerażenie. Odwróciła się od ołtarza i pospiesznie otworzyła ogromne drewniane drzwi frontowe. Kiedy znalazła się na zewnątrz w południowym słońcu, zaczerpnęła głęboko świeżego powietrza. Na ulicy

nie było żywej duszy. U kogo szukać pomocy? Intensywnie myślała. Zeszła po schodach i pospieszyła w kierunku starego hotelu w Santa Ponsa. Tam znajdzie ludzi, którzy jej pomogą. Tam będzie bezpieczna. Szła tak szybko, jak pozwalały jej stare, zmęczone nogi. Nie dostrzegła jednego z Rosjan widzianych wcześniej w Santa Ponsa\*. Wyłonił się z cienia kościoła i podążył za nią. Podniosła oczy i zobaczyła nagle przed sobą obcego mężczyznę. A więc to on odwiedził seniorkę Alusztę, on był śmiercią... Zrozumiała, że dane jej będzie wkrótce spotkać się z ojcem Leonem. Pomyślała jeszcze, że miała rację, niepokojąc się nagłym odejściem seniorki. Na raka nie umiera się w taki sposób... tak nieoczekiwanie. Co im zrobiła seniorka? I dlaczego ci ludzie zdecydowali, że stary ksiądz i zakonnica musieli również umrzeć?

Jack Morrison wspominał czasy, gdy myśl stawienia czoła IM napelniała go rozkoszą. Był kiedyś na tyle dobry, jednak około pięćdziesiątki człowiek staje się ostrożniejszy. Prawdopodobnie ONI też już go dostrzegli. Nic nie mogli zrobić, dopóki pozostawał w miejscach pełnych ludzi, ale niepokoił się. Dlaczego, u licha, nie pomyślał o tym w samolocie? Gdyby teraz poszedł do toalety, dopadliby go.

Skierował się do telefonu w szerokim holu lotniska, wykręci! numer agencji, przedstawił się i wyjaśnił sprawę. Zapewniono go, że zrobią wszystko, co jest w ich mocy. Na wyższym piętrze znajdowało się biuro Urzędu Bezpieczeństwa. Byliby zaszczytzeni, mogąc mu towarzyszyć, jeżeli tylko poczeka na nich przy telefonie. Morrison uśmiechnął się pod nosem. Jego rozmówca odłożył już słuchawkę, lecz on dalej trzymał swoją w dłoni, jakby nadal rozmawiał. Ależ ten świat się zmienił! Nie tak dawno temu, gdyby nie udało mu się rozwiązać takiego problemu, najprawdopodobniej skończyłby na cmentarzu. Nikt nie dowiedziałby się, dlaczego i gdzie zniknął... Teraz gdy ma kłopoty, których nie może samodzielnie rozwiązać, wykonuje jeden czy dwa telefony i ktoś inny robi za niego brudną robotę. Co za diabelne szczęście dla starszego pana! O pracownikach agencji nie można było powiedzieć, że mieli dobre serca, jednak okazywali pewne zrozumienie. Daken sprawił jakoś, że

traktowali jego przypadek w sposób wyjątkowy. Niektórzy chętnie pomogliby nawet w sprawach osobistych. Wszystko było proste. Agenci KGB powinni byli to przewidzieć, ale nie przewidzieli. Zanim się zorientowali, zatrzymało ich dwóch mężczyzn w mundurach Urzędu Bezpieczeństwa, a Morrison mógł spokojnie odebrać bilety na najbliższy lot do Palma. Mógł też iść do toalety bez ryzyka zostania w jednej chwili nieboszczykiem z penisem w dłoni.

Miał dwie godziny do odlotu. Kupił kilka gazet i usadowił się w pobliżu wejścia, ale nie był w stanie czytać ani zasnąć. Myśli

o Larysie nie dawały mu spokoju.

— Nie przypuszczam, że to zrobię... kiedykolwiek... gdziekolwiek... z pewnością nie w obecności mężczyzny. Larysa leżała na brzuchu, wygrzewając się w promieniach słońca. Podniosła się lekko znad ręcznika, oparła brodę na rękach

I odwróciła głowę, by zobaczyć, czy słucha.

— Słyszałem. Nie przejmuj się tym — powiedział. — Rozumiem, a wszystkie twoje małe problemy zostały zarejestrowane dla potomności z wyjątkiem... — Otworzył jedno oko i spojrzał na nią. Na jej nagich plecach zobaczył małe grudki soli w miejscach, gdzie wyparowała morska woda. — Dlaczego nie z mężczyzną? Nie ma po co zdejmować ubrania na plaży, jeśli się nie jest z mężczyzną. Kto by to wtedy docenił? — drażnił się.

Zamknął oczy. Dostrzegła iskierki w ich kącikach i widziała, że się uśmiecha. Jeszcze bardziej go za to kochała. Zanim przyszli na plażę, powiedziała mu o swoim zmartwieniu. Wyznała, że bardzo go kocha, ale pomysł rozebrania się w pełnym świetle w obecności mężczyzny kępuje ją zbytnio. A po przeżyciach z agentami KGB...

W końcu zrobiła to na odludnej plaży, o której powiedział im Gaetan. Według jego zapewnień plaża cały dzień świeciła pustkami. Kiedy szli wzdłuż brzegu, Jack odwrócił się, pocałował ją delikatnie i oznajmił, że ma zamiar popłynąć do łódki po więcej wina. Zaproponował, by przyłączyła się do niego, ale Larysa usiadła na gorącym miękkim piasku i przytulając kolana do piersi, spoglądała na zatokę. Jack zdjął slipki. Zapanowała cisza. Odwróciła się, by zobaczyć, czy jeszcze jest. Stał całkiem nagi z uśmiechem na twarzy. Bez słowa popatrzyła na niego, a potem znów na zatokę.

— Nie wiesz, co tracisz — powiedział i pobiegł w kierunku morza.

Larysa przyglądała się, jak płynął na plecach, nurkował, bawił się... Jakże była niemądra! Rozejrzała się szybko. Wiedziała, że nikt się nie zjawi. Stare przyzwyczajenia związane z Kurskiem i przeszłością należało odrzucić. Byli teraz tylko we dwoje, Larysa Alusztą i Jack Morrison, bardzo w sobie rozkochani. Siedzieć na piasku... przyglądać się... głupota! KGB, Stalbo — to przeszłość. Podniosła się i zaczęła zdejmować kostium, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Dla Jacka nagość to najnaturalniejsza sprawa na świecie i, o dziwo, dla niej również stawała się naturalna. Wszystkie jej dotychczasowe problemy, wszystkie „tak” i „nie” wpojone przez matkę rozwiały się jak mgła. Nie było powodu, dla którego nie miałyby pływać nago ze swym mężczyzną. Gdy obserwowała zmarszczki w kącikach jego oczu, zrozumiała, że ten mężczyzna nigdy nie zmusiłby jej do zrobienia czegoś, do czego ona sama nie byłaby przekonana. Poruszając biodrami, przesunęła swój ręcznik bliżej jego.

— Czy mogę teraz spojrzeć? — Morrison uśmiechał się od ucha do ucha.

— Oczywiście. — Larysa pocałowała go w czoło i koniuszek nosa, potem swoimi wargami przywarła do jego warg.

— Przyglądam się z coraz większym zachwytem. Zachichotała jak niegrzeczna dziewczynka.

— To jedyna uczciwa rzecz, jaką mogłeś zrobić.

Morrison objął ją namiętnie. Odwzajemniła objęcie. Kochali się na plaży. Szybko przestała myśleć o swych kłopotach. Kochała Jacka Morrisona jak nikogo dotychczas. Tego popołudnia dała mu to odczuć na tak wiele sposobów, że nigdy nie zapomniał żadnej minuty wspaniałego dnia.

Wspomnienia... Wydawały się tak odległe, ale nagle powróciły, jakby wszystko stało się zaledwie wczoraj.

Miała bladą skórę, jednak w ciągu paru dni opaliła się. Ciało nabrało głębokiej, złocistej barwy, która fascynowała go, a w nocy blade światło księżyca wpadające do ich pokoju podkreślało biel nieopalonych części.

Och, Boże, była taka piękna!

Obok hotelu znajdowała się maleńka restauracja, w której podawano świeże ryby w egzotycznych sosach.

Pochodząca spod

- Oirnic zemsty



Kurska Larysa nigdy nie jadła dań przyrządzanych w ten sposób, więc często tu zachodzili. Właściciel, Gaetan, serwował wino, o jakim Morrison niemalże zapomniał. Lacrima Christi — świeży, zielony nektar z Malty. Odrobinę pijani wychodzili z restauracji w gorące popołudnia i spacerowali ramię w ramię, a ona uczyła go ludowych pieśni swego kraju. Przypomnił sobie, jak grała na bałajce. Gdziekolwiek później usłyszał ten instrument, smutno-słodkie tony dobywające się z niego, przypominały mu Larysę.

Cichy komunikat dobiegający z holu lotniska przerwał jego rozmyślenia. Głos brzmiał znajomo, chociaż miał dziwny akcent. Brakowało mu gardłowej intonacji... Stalbo! Brzmiał zupełnie jak głos Stałby — mężczyzny, którego Morrison nienawidził najbardziej na świecie. Dłonie bezwiednie zacisnął w pięści. Jeżeli Stalbo znów zbliżyłby się do Larysy, on... Myśli, które kłębiły mu się w głowie, przyprawiały go o mdłości. Stalbo był bezwzględny sadystą. Brał udział w masakrze swoich rodaków w Kursku. Kiedy przetrwał rządy Berii, rozzuchwalił się jeszcze bardziej. Morrison wątpił, żeby ktokolwiek z ludzi Kremla nie uważał Stałby za sadystę. A Larysa, biedna Larysa poznała dobrze jego okrucieństwo.

Lotnisko w Palma zatłoczone było europejskimi i amerykańskimi turystami. Daken stał na brzegu rampy. W garniturze, krawacie i kapeluszu rodem z Panamy wyglądał niezwykle. Morrison pomyślał, że brakuje mu tylko wąsów i cygara.

— Jack, jesteś szybki, nie spodziewałem się ciebie tak wcześnie. — Daken potrząsnął jego ręką, ale oczy utkwione miał gdzieś w dali ponad ramieniem Morrisona.

— Nie muszę ci mówić, ile ona dla mnie znaczy...

— Chodź, czeka na nas samochód — przerwał Daken. Odwrócił się, wzywając Morrisona gestem ręki, aby za nim poszedł. — Ile masz bagaży? — zapytał.

— Jeden.

— Pozwól mi się nim zająć. Każę chłopcu odnieść go do hotelu.

— Nie chcę iść do żadnego hotelu! Jadę do Santa Ponsa — zirytował się Morrison. — Nie przyjechałem tu w celach towarzyskich.

— Uspokój się. — Daken po raz pierwszy spojrzął mu w oczy. — Moim zadaniem jest wydostać cię stąd żywego. Sprawy się trochę pozmieniały. Jeżeli nie będziesz udawał, że przyjechałeś tu do pracy, nawet się nie obejrzyysz, a będziesz trupem.

Wyciągnął rękę i dotknął ramienia Morrisona, jakby miał zamiar poklepać go po przyjacielsku.

— Daken... — Morrison zastanawiał się, o co tu chodzi.

— Ulokujemy cię w samochodzie. Mam nadzieję, że nie będziesz musiał go używać. — Chwycił mocno ramię Morrisona. — Nic ci nie zrobią na lotnisku, na zewnątrz nie masz żadnych szans. Wiem, że jesteś zmęczony i niespokojny, ale rób dokładnie to, co mówię, okay? Na zewnątrz stoi czarne BMW. — Daken wskazał palcem.

— Siądziesz na tylnym siedzeniu obok Chase'a.

Chase! Miał przecież być w Londynie. Co, u licha, robi w Palma? Był ekspertem sądowym. Potrafił również eliminować ludzi bez śladu...

— Idź — rozkazał Daken.

Morrison poszedł po cementowych płytach do otwartych drzwi samochodu. Uznał, że wszystko to było dziwaczne. Chase złapał go za ramię i wciągnął do środka.

— Przepraszam, że poganiam cię w ten sposób, stary. — Miał brytyjski akcent, jak zwykle schludnie przycięte wąsy i małe świdrujące oczka.

Morrison wpadł do środka, tracąc równowagę. Chase wyciągnął uspokajająco rękę i znowu złapał go za ramię. Morrison poczuł nagły, ostry ból jak ukłucie igły. Zrozumiał.

— Skurwysyn... skurwy...

Ale było już za późno, zastrzyk zaczynał działać. Świat rozplynął mu się przed oczami. Pomyślał jeszcze o Larysie, potrzebowała go. Chase popatrzył na niego smutno. Potem wszystko stało się ciemnością.

Daken przechylał się na siedzeniu, gdy samochód pędził po szosie.

— Prawie nie poczuł — powiedział Chase, choć zauważył wyraz twarzy Morrisona i spojrzenie pełne nienawiści, gdy ten walczył, by nie zamknąć oczu.

— Wiem. On nam tego nie zapomni... będzie nas zawsze nienawidził. — Głos Dakena drżał.

## 1943

Ze wspomnień...  
Mieszko...  
...

...

Jednak rozkazy musiały zostać wykonane. Dowiedzieli się, że Stalbo opuścił Moskwę. Potem widziano go w Palma. Wszyscy zdawali sobie sprawę, co zrobiliby Morrison, gdyby wiedział, że Stalbo jest w pobliżu. Wciąż mieli zbyt wiele do stracenia. Musieli na razie utrzymać Stalbę przy życiu. Nie mogli pozwolić Morrisonowi zgładzić go, więc...

# HISTORIA LARYSY KURSK

O<sup>^</sup>dległy, niski łomot przeszedł nagle w crescendo, powodując drżenie brudnego sufitu. Larysa pomyślała, że gdyby wyrzała teraz na zewnątrz, niebo okazałoby się jasne jak za dnia, chociaż dawno zapadła już noc. Błyski wystrzałów napawały ją przerażeniem.

Za schronienie służyła im piwnica starego domu — prostej rosyjskiej krytej strzechą chaty. Ojciec wybudował ją w sąsiedztwie wielu podobnych. Pomagali mu w tym chłopcy z okolicy. Pracowali razem, bawili się razem, razem cierpieli biedę. Teraz razem umierali w prowizorycznych schronach. W dzieciństwie Larysa nie zdawała sobie sprawy z własnego ubóstwa, nie miała go do czego porównać. Nigdy jednak nie chodziła głodna ani przemoknięta, a w mroźne dni, gdy chłód przenikał przez szpary w ścianach, sadowiła się blisko pieca.

Niemcy, gdy przyszli po raz pierwszy, zabrali ojca i starszego brata. Chłopak miał tylko dwanaście lat, ale hitlerowcy stwierdzili, że jest zdatny do pracy. Z niewiadomego powodu dom Larysy i większa część wsi ocalała, choć najeźdźcy równali z ziemią prawie wszystko, co napotkali w marszu na wschód. Larysa i jej matka dotąd nie głodowały, ponieważ kobiety z wioski wspólnie ukryły żywność. Dopiero gdy Armia Czerwona zatrzymała Niemców pod Stalingradem i zaczęli się wycofywać, mieszkańcy Kurska i okolic dowiedzieli się, co znaczy cierpienie.

Wieś Porynia leżała niedaleko Kurska. Późną wiosną 1943 roku Adolf Hitler zareagował z furią na wycofywanie wojsk przez

Library of the University of Toronto  
128 St. George Street, Toronto, Ontario  
M5S 1A5  
Tel: (416) 978-2811  
Fax: (416) 978-2812  
www.library.utoronto.ca

1043

generałów. Mimo iż rozumieli oni, że odwrót jest logiczną koniecznością, nie mogli przeciwstawić się Fiihrerowi. Przeprowadzono kontrataki i wdarto się na sto mil w głąb i siedemdziesiąt pięć mil na szerokość na północ od Kurska w kierunku miasta Orzeł. W ten sposób wszedł do historii tak zwany Łuk Kurski.

Sześciolatnia Larysa Alushta nie troszczyła się o znajomość nazw bitew i terytoriów. Obchodziło ją tylko, by działania wojenne ustały, a jej ojciec i brat powrócili. Nie mogła wiedzieć, gdy matka zawijała ją w koc owej nocy w piwnicy w Poryni, że wokół ich wioski rozegra się najstraszniejsza bitwa w historii.

Tłumaczyła sobie, że zaczęło mocniej padać. Kapanie wody w rogu piwnicy przekształciło się w szum płynącej strugi. Matka za pomocą patyka zrobiła w glinianej podłodze kanalik odprowadzający wodę w odległy kąt. Jeśli ulewa skończy się przed rankiem, pozostaną suche. Przez moment wydawało się jej, że strzelanina ustaje, ale to jedynie bardzo mocny deszcz zagłuszył wszelkie inne dźwięki. Podłoga, na której leżały, zatrzęsła się z nową siłą, gdy kolejne działa otworzyły ogień. Dygocąc przytulała się mocno do matki. Wojska ostrzeliwały się przeciw każdej nocy, lecz nigdy z taką zawziętością.

— Dlaczego... — Wzrastało w niej przerażenie. — Dlaczego tak bardzo strzelają?

Matka rozprostowała ręce. Nie spała. Wiedziała o ofensywie wszystko. Partyzanci ostrzegli wieśniaków przed tym, co miało nastąpić.

— Oni zamierzają odeprzeć Niemców... na zawsze. Kiedy to się skończy, znów będziemy wolni... — powiedziała w zamyśleniu. Wiedziała, ile to będzie ich wszystkich kosztować.

W dzień bitwa nieco przycichła. Obie strony uzupełniały swoje siły. Partyzanci dostarczyli dzienne raporty do kwatery głównej Żukowa, donosząc o wielkiej ilości uzbrojenia nadsyłanego z zachodu: o nowoczesnych czołgach — panterach zdolnych zwalczać prawie każdą broń na długi dystans, potężnych tygrysach produkowanych przez Porsche'a i ferdynandach z osiemdziesięcioośmiomili-metrowymi działami. Nigdy przedtem nie skoncentrowano takiej ilości broni na jednym polu bitwy. Jednocześnie Rosjanie gromadzili potężne siły na wschodzie. Stalin był równie zaciekły w zamiarze rozbicia potęgi Niemiec i uwolnienia swego kraju od najeźdźców.

Larysa nerwowo uniosła głowę. Dochodził teraz wyraźnie inny dźwięk. Było to głębokie, niskie dudnienie o stałym natężeniu, które nie wznosiło się ani nie opadało niczym staccato potężnej broni artyleryjskiej. Nasłuchiwała jeszcze chwilę. Być może odgłosy te towarzyszyły już od dawna kanonadzie, lecz dopiero teraz stały się wyraźne.

— Co to? — zapytała.

— Czołgi — odpowiedziała matka i mocniej objęła ją ramieniem. — Nie wiem czyje, ale poznaję ten dźwięk — mówiła do siebie dla dodania sobie pewności i odsunięcia na bok strachu zagnieżdżonego w sercu.

Larysa pokiwała głową. Cały czas podejrzewała, że to czołgi. Wiedziała, do czego te uzbrojone potwory są zdolne w przeciągu paru minut. Były bardzo szybkie, raz prawie jej dopadły, zanim zdołała uciec do domu. Tego dnia naliczyła ich niecały tuzin, gdy manewrowały dla oddania strzału. Jeden, strzelając z działa, przejechał przez chałupę w sąsiedniej zagrodzie. Gdy było już po wszystkim, na polu pozostały dwa płonące giganty. Z jednego dobywał się tłusty czarny dym, nim nastąpiła eksplozja. Z drugiego wyskoczył mężczyzna w płonącym kombinezonie i biegł, póki seria z karabinu maszynowego nie rzuciła go w koleiny. Nigdy nie zapomni tego widoku, mimo że trwało to tylko kilka chwil.

Docierający do jej uszu łoskot świadczył o natarciu tysięcy czołgów. Znała wojnę na tyle, aby znieść prawie wszystko, prawie — jeśli było co jeść. To dziwne, pomyślała, codziennie umiera tylu ludzi, a ciągle nie ma wystarczającej ilości pożywienia.

— Laryso — wyszeptwała matka, lecz zorientowała się, że nie miała powodu zniżyć głosu i powtórzyła głośniejszym głosem:

— Laryso, myślę, że ta bitwa może trwać bardzo długo. Nie mamy nic do jedzenia. — Usiadła i dodała: —

Zanim przyjdą bliżej, zdobędę dla nas trochę... chociaż trochę chleba... — Jej głos znowu ucichł.

— Czy mogę pójść po mleko? — zapytała Larysa. — Wujek Michaił obiecał, że wydoi krowę.

— Nie — odpowiedziała surowo matka. Chwyliła Larysę za rękę. — Nie wychodź sama. Michaił mieszka za daleko, Poza tym jest jeszcze ciemno. Zostań tutaj, Laryso. Wróć niebawem. — Wyszła, wyglądając przedtem ostrożnie na zewnątrz.



Larysa zastanawiała się, ile czasu zajmie matce dotarcie na miejsce. Do kryjówki z chlebem było dobre dziesięć minut drogi, może nawet więcej, zwłaszcza że musiała unikać Niemców. Obora wuja Michaiła stała niedaleko strumienia. Larysa mogła przemknąć niepostrzeżenie przez pole pszenicy, obudzić Michaiła i poprosić o mleko, które jej obiecał. Wuj był wyrozumiały. Nigdy nie usłyszała od niego złego słowa. Kiedyś powiedział Larysie, że jeśli coś przytrafiłoby się jej matce, on i jego żona zaopiekują się nią. Nie będzie miał więc nic przeciwko temu, jeśli teraz go obudzi.

Larysa wspięła się po pniach drzew, który służyły jako schody. Wyrzała na zewnątrz. Przez moment zapomniała o toczącej się bitwie. Teraz zobaczyła, jak silny stał się ogień zaporowy. Błyski wystrzałów odbijały się od chmur jak słońce od śniegu. Czasem robiło się tak jasno, że drzewa rzucały na ziemię długie cienie. W taką noc powrót zajmie matce dużo czasu. Ostrożnie zamknęła klapę i znalazła się na dworze. Deszcz zmienił się w kapuśniaczek. Noc była ciepła. Pobiegła w stronę lasu.

Łatwo odnalazła ścieżkę prowadzącą do wuja Michaiła. Nie zwróciła większej uwagi na to, co dzieje się dookoła. Jak sięgała pamięcią, zawsze była wojna i wszystko wydawało jej się częścią normalnej rzeczywistości. Nieustanna kanonada, hitlerowcy, potyczki z partyzantami, głód, trupy na polu bitwy, czołgi strzelające do domów takich jak jej. Teraz, nie mogąc się doczekać smaku ciepłego mleka, nie zastanawiała się, jak daleko znajdują się czołgi.

Michaił miał własne gospodarstwo, ale jego dom niczym nie różnił się od innych — poza tym, że jakimś cudem dotychczas pozostał nietknięty. Larysa zbliżała się powoli, nie chcąc przestraszyć wuja lub jego żony. Gdy podeszła bliżej, zauważyła, że drzwi są otwarte. Zerknęła do środka. Panowała cisza i ciemność.

— Wujku Michaiile, to ja, Larysa! Czy jesteś tam?

Nie usłyszała odpowiedzi. Zawołała jeszcze raz. Weszła do środka, nie było tam nikogo. Podniosła klapę zejścia do piwnicy, która wszędzie służyła za schron. Nikt nie odpowiedział, gdy krzyknęła ponownie.

Mogli ukryć się w oborze. Tam również znajdowała się piwniczka. Larysa pobiegła w stronę obory, wołając wuja. Nie było odpowiedzi. Drzwiczki stały otworem, a krowa zniknęła — ostatnia we wsi. Zdziwienie ustąpiło rozczarowaniu — nie będzie mleka!

Poczuła skurcz w gardle i w żaden sposób nie mogła opanować szloch. Cała tonęła we łzach. Upłynęło już tyle czasu od chwili, gdy pila mleko po raz ostatni. Cofnęła się i wyrzała na zewnątrz. Co miała zrobić? Nagle ktoś poruszył się w ciemności. Może wuj? Intensywnie wpatrywała się w to miejsce. Z całą pewnością ktoś tam był. Wtedy dotarł do niej złowieszczy dźwięk - jechały czołgi. Zdała sobie sprawę, że płacząc nie usłyszała odgłosów wyjącego silnika. Stała nieruchomo na zablokowanej podłodze. Czołg wyłonił się z lasu i przejechał przez strumień. Zatrzymał się. Lufa wykonywała płynne półobroty. Na tle lasu, w miejscu gdzie przedtem dostrzegła poruszenie, pojawiła się grupa ludzi. Biegli za pojazdem i krzyczeli coś do czołgisty.

To na pewno Niemcy. Rosjanie znajdowali się wiele mil dalej. Na myśl o wszystkich ze wsi, którzy zostali zamordowani przez hitlerowców, Larysa odzyskała władzę w nogach. Skryła się w głębi obory, nie spuszczać z oczu czołgu jadącego w jej kierunku. Potknęła się o trzonek łopaty porzuconej niedbale na ziemi. Odwróciła się w panice i podbiegła do piwnicy. Podniosła klapę i szukając po omacku jakiegoś uchwytu, opuściła się w głąb brudnego włazu, po czym dokładnie zamknęła za sobą wejście. Przeczółgała się w najdalszy kąt i skulona oparła plecy o wilgotną ścianę. Wiedziała, że przed Niemcami należy się dobrze ukryć. Jazgot gąsienic zbliżającego się czołgu stawał się coraz bardziej donośny. Wydawało się, że potwór staranuje oborę, że przejedzie dokładnie nad piwnicą, w której ukrywała się Larysa. Przerazona wtuliła głowę w kolana, ale czołg zatrzymał się tuż przed budynkiem. Huk silnika przeszedł w niski wartkot. Z oddali dobiegało dudnienie artylerii.

Usłyszała głosy — najpierw na zewnątrz obory, potem bardzo blisko — prawdopodobnie nad samym włazem do piwnicy. Skuliła się jeszcze bardziej, mocno zaciskając oczy. O Boże... o Boże... Zaczęła odmawiać wszystkie modlitwy, jakich nauczyła ją matka. Nigdy nie chodziła do kościoła, nie wiedziała nawet, jak wygląda to miejsce. Ale matka wyjaśniła jej dokładnie, na czym polegają praktyki religijne. Zrozumiała wszystko, choć była jeszcze dzieckiem. Uważnie słuchała tych opowieści i zapamiętała modlitwy powtarzane często przez matkę. Teraz... teraz nadszedł czas pacierza!

Dobiegające z góry głosy przerwały odmawianą po raz trzeci modlitwę. Dwaj mężczyźni w oborze krzyczeli coś do swych towarzyszy na zewnątrz. Nie rozumiała niemieckiego, choć rozpoznawała ten język. Nagle usłyszała, jak ktoś zawołał po rosyjsku.

— Idź i przyprowadź resztę! Odpoczniemy tu do wschodu słońca. — I natychmiast ten sam głos przeszedł na niemiecki.

Larysa straciła orientację. Rosjanie, których do tej pory poznała, rozmawiali jedynie w ich własnym języku. Po niemiecku mówili tylko żołnierze wroga, ale tu ktoś używał obu języków.

— Pospiesz się! — krzyknął po rosyjsku ten sam człowiek. Szósty zmysł podpowiadał jej, aby poczekać cichutko, dopóki

nie dowie się kto to taki, swój czy wróg. „Pamiętaj, hitlerowcy nie skrzywdzą cię, jeśli cię nie znajdą”.

Warkot silnika mieszał się z rozmowami żołnierzy. Schronili się w oborze przed deszczem. Może godzinę później usłyszała więcej głosów. Przybyli nowi ludzie. Była pewna, że wielu z nich mówiło po rosyjsku, chociaż huk czołgów niemal zagłuszał słowa. Rozmowa stała się wyraźna dopiero, gdy grupa żołnierzy stanęła nad włazem.

— Ten partyzant powiedział, że kwatera główna Rokossowskiego znajduje się dziewięć lub dziesięć kilometrów na wschód. Jestem pewien, że nie skłamał. Nikt nie jest w stanie kłamać, odczuwając taki ból.

— Ale dlaczego Rokossowski miałby trzymać swych ludzi tak blisko pola bitwy? Musi przecież wiedzieć, jak dobrze jesteśmy uzbrojeni. Możemy na niego w każdej chwili najechać. Tygrysy otoczą go migiem.

— A jednak ten człowiek zaklinał się, że to kwatera generała. Powinna być gdzie blisko. Właśnie na wschód od Poryni, to najwyższy punkt.

— Powiedz — odezwał się człowiek władający dwoma językami — czy ten partyzant wiedział o nas?

— Nie wydaje mi się, panie poruczniku. Kiedy go znaleźliśmy, był prawie martwy. Usłyszał nas, zanim zauważył mundury. Sądził, że jest uratowany.

— A więc nikt nie wie, że jesteśmy w pobliżu. W przeciwnym wypadku twój partyzant zorientowałby się, kim jesteśmy. Usiłowałby was zabić, choć sam konał.

— Dlatego nie lubię się tu pałętać — stwierdził ktoś inny. — Nie mielibyśmy najmniejszej szansy, gdyby nas złapali.

— To prawda. Pamiętacie, co partyzanci zrobili z oddziałem schwytanym koło Sewska w zeszłym tygodniu? Widziałem zdjęcia, zanim generał Własow kazał je zniszczyć. Powiedział, że żaden wieśniak nie zrobiłby tego drugiemu. Jeden z niemieckich oficerów, który to słyszał, zaśmiał się i powiedział, że on nie byłby tak delikatny, gdyby złapał niemieckich zdrajców.

— Nie jesteśmy zdrajcami! — krzyknął mężczyzna, którego głos Larysa odróżniała. — Kiedy wojna się skończy, będziemy w oczach naszych rodaków patriotami... — Resztę słów zagłuszył łoskot kolejnych czołgów. Larysa nie ruszała się wciśnięta w kąt piwnicy. Bolały ją mięśnie i przeraźliwie chciało się jej płakać, krzyczeć o pomoc, znaleźć matkę. Chciała być z dala od tych Rosjan, którzy rozmawiali z Niemcami. Nie wiedziała, jak dużo czasu upłynęło do chwili, kiedy zupełnie wyraźnie zaczęła słyszeć rozmowę dwóch mężczyzn.

— Poruczniku Sikorski... — W głosie mówiącego wyczuła napięcie.

— Szybko, Wasilij. Dnieje.

To na pewno Rosjanie, pomyślała.

— Poruczniku, jeśli nas złapią...

— Nie złapią, nie złapią, przynajmniej nie mnie!

— Rozumiem, proszę pana. Ale jeśli mimo wszystko tak się stanie...

— Byłeś mi wierny, Wasilij — odpowiedział po chwili oficer — więc powiem ci dokładnie, jakie mam plany. Założę mundur czerwonoarmisty i rzucę się w najgłębszy lej po bombie. Gdy przybędą tu ludzie Rokossowskiego, znajdą mnie bez przytomności... ale przy życiu.

— Nie wydaje się panu... nie wydaje się panu, że będą podejrzewać, że należał pan do dywizji Własowa?

— Nikt nie przeżyje, Wasilij. — Larysa usłyszała nutę okrucieństwa w jego głosie. — Zapewniam cię, że nie pozostanie nikt zdolny mnie zidentyfikować. A ponieważ byłeś mi wierny, odkąd przyjęliśmy ofertę Niemców, możesz być pewien, że nie zdradzę cię ani słowem... jeżeli zechcesz się przyłączyć.

— A jeśli przeżyje ktoś jeszcze?

— Nikt z naszej grupy! Nikt!

Ostatnie słowa były tak głośne, aż Larysa przestraszyła się, że mężczyźni zeszli do piwnicy. Potem jednak głos ucichł, stał się prawie niesłyszalny.

— Nie pozwolimy na to, zapewniam cię. Potrzebuję jednak twojej pomocy.

— Chce pan ich zabić?

— Zrobię wszystko, aby się ocalić. Masz teraz wybór. Jeśli generał Rokossowski zdobędzie nasze pozycje, a nie wątpię, że SS nie dopuści, byśmy się wycofali, wiesz, co zrobię. Jeżeli mi pomożesz, wtedy... — Resztę rozmowy zagłuszył ryk silników zwiększających obroty.

Larysa nie wiedziała, ile godzin upłynęło, zanim odjechali. Nie spała. Po pewnym czasie wszystkie dźwięki zlały się w ciągły szum, którego częścią zdawały się także jej myśli. Dopiero cisza wyrwała ją z odrętwienia.

Podniosła głowę. Łoskot wyraźnie się oddalał.

Nogi jej zdrętwiały, przez moment nie mogła się ruszyć. Gdy w końcu ustąpiło klucie igiełek, przeczołgała się do wyjścia. Uchyliła drzwiczki. Światło dzienne ją oślepiło. W powietrzu unosił się zapach papierosów zmieszany z zapachem wojny. Larysa nasłuchiwała. Było cicho. Wiedziała, że musi iść do domu. Matka wróciła pewnie dawno zjedzeniem i denerwuje się. Larysa bała się kary, ale strach przed Rosjanami mówiącymi po niemiecku był silniejszy od strachu przed gniewem matki.

Niebo miało szary odcień. Słońce było przyćmione, pewnie spadnie deszcz, pomyślała idąc przez las. Nagle zobaczyła dym unoszący się z płonących wiosek. Nitki dymu wyglądały niczym żdźbła trawy, poranny deszcz nie ugasił pożarów. Słyszała strzały po obu stronach, lecz nie dostrzegła najmniejszego ruchu. I wtedy przeszył ją dreszcz. Zza horyzontu dobiegło wycie tysięcy potężnych silników. Ze wszystkich stron, zza lasów, pagórków i płonących wiosek zaczęły się wylaniać czołgi. Hałas dobiegający jej uszu przekraczał granice wyobraźni. Gdy czołgi przybliżyły się, artyleria bluznęła ogniem. Wydawało się, że świat eksplodował. Powietrze i ziemia zadrżały. Larysa usiłowała zakryć uszy rękoma, ale to nie pomagało. Wypełniał ją przeraźliwy dźwięk. Rzuciła się do ucieczki.

Nie wiedziała, w jaki sposób dostała się do domu. Opowiadała potem matce, że biegnąc nie widziała niczego. Może miała zamknięte oczy? Nie pamiętała leśnej ścieżki ani drogi za gospodarstwem Katina, ani też zabłoconej drogi prowadzącej do Poryni.

— Dlaczego tam poszłaś? — dopytywała się matka, płacząc z radości.

— Wuj Michaił... obiecał dać mi mleka... i ja... ja myślałam... — Głos załamał się jej i wybuchnęła szlochem. Łzy ciekły po policzkach, gdy przypomniała sobie, jak nikogo nie znalazła w gospodarstwie, jak potem przyjechały czołgi i musiała się ukrywać.

Matka, również płacząc, kołysała ją w ramionach. Ucichła jednak, gdy dziewczynka opowiedziała o Rosjaninie mówiącym po niemiecku. Larysa odtworzyła rozmowę. Nie bardzo tylko wiedziała, o co w niej chodziło.

— Są na świecie tacy ludzie, Laryso, nawet wśród Rosjan. Partyzanci złapali kilku z nich tydzień temu.

— Jak się nazywali?

— To nie ma znaczenia.

— Ale ja słyszałam nazwisko! — Podłoga piwnicy zatrzęsała się na skutek bliskiego wybuchu i matka objęła małą mocniej.

— Był między nami zdrajca. Człowiek, który zwrócił się przeciwko własnemu krajowi! Nazywa się generał Własow i...

— Właśnie to nazwisko słyszałam! Właśnie to, Własow! — Przytuliła się mocniej. — Ale ciągle nie rozumiem.

— Dowiedziałam się o nich wiele, gdy poszłam po jedzenie. Niemcy przekupili niektórych z naszych ludzi, aby walczyli przeciwko swym rodakom. Rosjanie przeciwko Rosjanom — westchnęła. — Nie pojmuję, jak mogli się na to zgodzić. Niemcy przekonali Własowa, by przewodził zdrajcom. Rano słyszałam, że są w okolicy.

Pewnie właśnie ich spotkałaś. Ludzi w niemieckich mundurach, mówiących naszym językiem. Partyzanci ich szukają. Zdrajcom poszczęści się, jeżeli zabiją ich od razu.

Odgłosy bitwy się przybliżyły. Zabudowania wsi chroniły żołnierzy rosyjskich. Napierające wojska niemieckie niszczyły wszystko, co służyło za schronienie. Wczesną wiosną część północna wsi została zrównana z ziemią. Teraz wydawało się, że resztki domów runą od samego hałasu jadących czołgów. Z rykiem silników i łoskotem gąsienic mieszały się wystrzały artylerii. Niemcy prowa

dzili ostrzał, ale to Rosjanom było dane ostatecznie zniszczyć własną wieś. Stacja kolejowa na linii Orzeł—Kursk znajdowała się za wsią. Zarówno generał Rokossowski, jak i niemiecki generał Model uważali, że zajęcie stacji i torów ma dla bitwy znaczenie strategiczne. Model przesuwał swoje siły po linii biegnącej na północ i południe od Poryni. Za czołgami ciągnęła piechota, a z tyłu oddziały SS mające zapobiegać odwrotowi. Rokossowski postanowił utrzymać się na linii torów. Rozkazał okopać czołgi tak, aby jedynie wieżyczki wystawały ponad powierzchnię ziemi. Dopóki żyła załoga, musiała toczyć bój. Doszło w tej bitwie do nie znanej dotąd, nawet doświadczonym żołnierzom, rzezi. Kiedy okopane czołgi powstrzymały Niemców, inne próbowały zaskoczyć ich od tyłu. Rosyjskie czołgi nie ustępowały niemieckim. W rozbitych tygrysach i panterach rosyjscy saperzy dokładnie sprawdzali, czy załogi nie uszły z życiem. Bitwa wokół Poryni trwała od wielu godzin. Larysa z matką straciły rachubę, ile niemieckich czołgów przetoczyło się obok ich schronu. Rosjanie próbowali je powstrzymać ogniem z dział, a Rokossowski szykował już lepszą, skuteczniejszą pułapkę. Obie czuły, że linia frontu się przybliżyła. Wszystko wskazywało na to, że Niemcy są wypierani. Bez wątplenia będą wycofywać się przez Porynię. Nie stało się to jednak tak szybko, jak spodziewał się tego\* generał Rokossowski. Przez całe miesiące Hitler był pewien, że zwycięstwo na froncie rosyjskim będzie wstępem do ostatecznego podboju Wschodu. Fabryki niemieckie pracowały na pełnych obrotach, aby dostarczyć potrzebnego do walki uzbrojenia. Wysyłano coraz to nowe oddziały żołnierzy. Wokół małej wioski rozegrała się bitwa o niewyobrażalnych rozmiarach. Rosjanie zajmowali wzgórza na północy i południu. W miarę jak fala uzbrojonych po zęby Niemców przybliżała się, Armia Czerwona witała ją hukami wystrzałów potężniejszych od tych spod Stalingradu. Gdy dziesiątkowane oddziały niemieckie wycofywały się i dołączały do nich prace do przodu siły rezerwy, wtedy całe niebo zappełniało się samolotami. Walki powietrzne, nieustanny warkot, bombardowania — wszystko to tworzyło prawdziwe piekło. Człowiek nie został stworzony, aby doświadczać takiej rzezi.

Tego dnia słońce wyglądało jak blady dysk, a gdy zaszło, na horyzoncie pojawiły się lśniące, oleiste płomienie tysięcy płonących czołgów. Paliły się kępy drzew. Dym unoszący się z pola walki przykrył teren jak gęsta mgła, wdzierał się w każde zagłębienie i szczelinę. Dotarł nawet do piwnicy i o mało nie uduśli Larysy i jej matki. Schron pozostał nienaruszony i służył kobietom jako doskonała osłona przed walącymi się ścianami, rozpryskującymi się na skutek wybuchów grudami ziemi czy kłocami drewna. Czas nic nie znaczył. Straciły jego poczucie. Wycie czołgów i eksplozje pocisków armatnich przypominały nie kończącą się burzę. W pewnej chwili wybuch nastąpił bardzo blisko schronu. Larysa przeraziła się, że nadszedł ich koniec.

Gdy odgłosy bitwy przycichły na chwilę, matką podczołgała się do klapy i lekko ją podniosła. Larysa nie widziała wszystkiego, lecz zdołała zauważyć płonący czołg na drodze, a za nim... za nim nie zobaczyła już krytej strzechą chałupy. Co niedawno jeszcze- było wsią, teraz nie istniało. Pozostał jedynie punkcik na mapie i dym unoszący się ze zgliszcz.

Żywiły się czarnym chlebem. Nie przypominał on w niczym wspaniałych bochnów, jakie kobiety z wioski piekły dawniej, ale nadawał się do jedzenia. Larysa ciągle czuła głód. Brzuszek sześciolatki nigdy nie był pełen. Matka odgryzała tylko parę kęsów ze swych porcji, a resztę oddawała córce.

Tej nocy spały niespokojnie. Budziły je regularnie wystrzały artylerii, od czasu do czasu straszyły głosy dobiegające znad piwniczki. Pomimo że było mało prawdopodobne, aby ktoś je odkrył, ponieważ powłoka gruzu dobrze maskowała ich kryjówkę, za każdym razem, gdy usłyszały kogoś, Larysa czuła, jak napina się ciało matki.

O świcie huk wydawał się słabszy niż poprzedniego dnia. Larysa spostrzegła, że matka zachowuje się inaczej. Jeszcze parę godzin temu obejmowała małą mocno i mówiąc do niej, usiłowała ją pocieszyć. Teraz opierała się plecami o brudną ścianę, oddychając płytko i odpowiadając monosylabami na pytania córki. Kiedy Larysa przyczołgała się do niej i wślizgnęła w jej ramiona, ta nie zareagowała. Wiele lat później Larysa zrozumiała, że w pewnym momencie, podczas tej strasznej nocy, matka straciła chęć do życia.

Gdy nastał poranek i hałas nasilił się, matka powiedziała bezbarwnie, bez najmniejszych emocji w głosie:



— Potrzebujemy więcej chleba. Usiłowałam zdobyć trochę wczoraj... ale nie mieli. Powiedzieli... może dzisiaj — mówiła urywanymi zdaniami. — Musiało zginąć wielu ludzi... Może będzie więcej dla nas.  
— Proszę, nie idź! — Larysa była pewna, że odgłosy bit znowu się przybliżają. — Poczekaj. Wytrzymamy.  
— Nie mogą walczyć wiecznie... — Głos przerodził się w szept. Gwałtowny dreszcz wstrząsnął ciałem matki. Powoli, mechanicznie kobieta podczołgała się do kłapy, podniosła ją i wyjrzała. Na chwilę odwróciła głowę i płacząc popatrzyła na córkę. Potem wyszła na zewnątrz, zamykając za sobą wejście. Piwnicę znów wypełniła przygnębiającą ciemność.

Larysa długo klęczała, potem przysiadła na piętach. Wiedziała, że wyjście ze schronu oznacza śmierć, ale podniosła klapę. Nie płakała tak jak matka. Zbyt często w ciągu ostatnich dni zalewała się łzami. Teraz wydawała się pozbawiona wszelkich emocji. Na zewnątrz nie było nikogo. Czołgi i pobliskie budynki płonęły. Na południowym wschodzie, gdzie za ścianą dymu ukrywało się słońce, wrzała bitwa. Opuściła przykrywą wejścia i zasłoniła oczy rączkami. Była sama... i nagle zdała sobie sprawę, że od teraz będzie sama tak długo, jak potrwa jej życie. Wczołgała się do kąta piwnicy, szukając po omacku resztek chleba. Nie było ani kawałka. Oparła się plecami o ścianę i zamknęła oczy.

Mimo że nie zasnęła, obraz gospodarstwa wuja Michaiła pojawił się jak prawdziwy, jakby znajdował się przed nią. Do rzeczywistości przywołał ją nagle warkot czołgów. Poruszały się z taką prędkością, aż zlekła się, że wjadą prosto do jej piwnicy. Z południowego wschodu dobiegały odgłosy wystrzałów, więc Niemcy się wycofywali! Może jej rodacy wkrótce przybędą do Poryni? Potem na zewnątrz zapanowała oszałamiająca cisza. Larysa znów podczołgała się do kłapy i lekko ją uniosła. Zobaczyła jedynie tumany kurzu opadające na drogę. Otworzyła drzwiczki szerzej. Nie dostrzegła nikogo. Odetchnęła głęboko...

Nie usłyszała świstu pocisku, który chwilę potem spadł na drogę obok spalonego czołgu. Fala powietrza rzuciła nią w tył. Uderzyła głową w belki sufitu. Choć odczuła piekielny ból, nie straciła przytomności. Wiedziała, że coś upadło na klapę tak, że nie będzie mogła jej zamknąć. Czekala z rezygnacją na kolejny wybuch.

Zazwyczaj następowały całe serie. Tym razem jednak nie doczekała się następnej eksplozji. Poruszając się wolno i ostrożnie, dziękowała Bogu, że nie jest ranna. Musiała teraz zamknąć drzwiczki, mimo że nie miała pojęcia, co je unieruchomiło. Wówczas pojawili się żołnierze. Biegali, krzyczeli, klęli i zaglądali prawie wszędzie. Byli to Niemcy, ale niepodobni do tych, których do tej pory widziała. Na ich twarzach malował się strach. Niektórzy nie mieli hełmów, ale większość posiadała broń. Uciekali z pola bitwy! I krzyczeli do siebie po rosyjsku!

Nagle rozległy się wystrzały. Jeden z biegnących upadł. Usłyszała czyjeś krzyki.

— Tchórze... tchórze... skończycie z kulą w tyle głowy!

Padł drugi z uciekających. Strzelanina trwała. Trzeci mężczyzna przewrócił się obok czołgu, krzycząc coś w agonii. Pozostali zatrzymali się, jakby jego dogorywające ciało wyznaczało linię, której nie mogli przekroczyć. Niektórzy skulili się ze strachu za szczątkami domów, czołgali się po zgliszczach. Żaden nie przypominał żołnierza.

W polu widzenia pojawił się mężczyzna, który poprzednio krzyczał. Za nim szedł drugi. Obaj ciągle trzymali broń gotową do strzału i rozglądając się na wszystkie strony, wołali na pozostałych. Tamci szli wolno, ramię przy ramieniu, wyczerpani i pełni strachu. Ich przyszłość była w rękach ślepego losu.

— Wy żalosne tchórze... wy...! — krzyczał ten sam głos. Larysa nagle przypomniała sobie coś. Ten głos... brzmienie tego

głosu... Nie mogła się poruszyć, ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Wpatrywała się w mężczyznę, który gestykulował, zawzięcie rozmawiając z towarzyszem w niemieckim mundurze.

— Czy chcecie, żeby SS wystrzelało was uciekających jak psy? Ten sam głos, zapamiętany ze stodoły wuja Michaiła rozkazywał

reszcie w jej własnym języku. Każde słowo docierało do niej tak wyraźnie, jakby huraganowe wystrzały były odległe o setki mil. To był ten sam mężczyzna! Zdrajca, jej matka użyła tego określenia. Człowiek, który wystąpił przeciwko własnemu krajowi.

To, co Larysa zobaczyła potem, można porównać z piekłem. Na zawsze zapamiętała sceny rozgrywające się jakby w zwolnionym tempie. Pierwszy strzelił mężczyzna, którego głos rozpoznała. Przypomniała sobie, że nazywał się Sikorski. Potem zaczął strzelać drugi.

Na twarzach ofiar malowało się przerażenie. Śmierć, której nie mogli uniknąć, przyjmowali z rezygnacją. Tylko jeden rzucił się do ucieczki. Zatoczył się, gdy kula go trafiła, po czym upadł. Sikorski sprawnie poruszał się między ciałami, strzelając w głowę każdego, kto dawał jeszcze oznaki życia. Potem bez słowa odwrócił się do swego towarzysza i strzelił do niego cztery razy. Wszystko trwało bardzo krótko, ale dziewczynce wydawało się, że minęły godziny. Twarze ofiar zapadły jej głęboko w pamięć. Widok ostatnich chwil życia każdego z nich spowodował, że Larysa rozumiała, czym jest śmierć. Echo strzałów huczało jej w głowie jeszcze długo po egzekucji. Świat Larysy Aluszy skoncentrował się na drodze, którą widziała ze swej kryjówki. Zapamiętała wypalone szczątki czołgu i tuzin wymordowanych mężczyzn. Była świadkiem zbrodni. Do tej pory nie miała pojęcia, czym jest morderstwo z zimną krwią. Zobaczywszy krwawą masakrę, pozostała nieporuszona, pozornie obojętna.

— Larysa, Larysa! — głos dotarł do niej niczym dźwięk dzwonów Poryni.

Matka biegła drogą z wyciągniętymi rękoma, jakby chciała porwać w ramiona swą córkę. Wołała wciąż imię Larysy, nawet wtedy gdy Sikorski wymierzył do niej i strzelił. Potknęła się, lecz zdołała utrzymać równowagę. Krwawe plamy załśniły na ubraniu, ale nie powstrzymały jej biegu. Wówczas mężczyzna podniósł powtórnie broń i oddał dwa oddzielne, wyraźne strzały. Larysa zobaczyła, jak matka upadła na ziemię. Poruszała ciągle nogami, dopóki następna kula nie utkwiała w jej głowie. Sikorski wolno podszedł do niej i strzelił jeszcze raz, w nieruchome już ciało.

Larysa tej nocy słyszała dziwną rozmowę w oborze wuja Michaiła, ale teraz dopiero rozumiała, co ona oznaczała. Ani razu, gdy Sikorski strzelał, nie zmienił mu się wyraz twarzy. Larysie nie było dane nigdy o tym zapomnieć. Nie wiedziała, ile upłynęło czasu. Sekundy? Minuty? Nie miało to znaczenia. Obraz zbrodni wrył się w pamięć na zawsze.

Sikorski przebrał się w splamiony krwią mundur czerwoarmisty, a niemiecki uniform wrzucił do wraku czołgu. Rozejrzał się potem uważnie, jakby poczuł, że ktoś go obserwuje. Wówczas nastąpił wybuch. Sikorski nie miał nawet czasu, by rzucić się na ziemię, a dziewczynka, by zasłonić twarz. Pocisk uderzył tuż za

wrakiem, co prawdopodobnie ocaliło Larysę. Wybuch rzucił Sikorskim w pobliże drzwiczek kryjówki. Dziewczynce wydawało się, że to sam diabeł przybył na ziemię i chciał wtargnąć do jedyne miejsce, w którym czuła się bezpiecznie. W otworze mignęła jego twarz z szeroko rozwartymi oczami. Tuman kurzu zaciemniły obojgu pole widzenia. Larysa podniosła dłonie do oczu, ścierając kurz pokrywający jej buzię. Musiała widzieć, gdzie jest diabeł.

Bitwa wrzała. Droga przez wieś jechał czołg, za nim biegli żołnierze niemieccy. Walki toczyły się teraz tuż obok nich. Larysa dostrzegła, że diabeł poruszył się. Po raz pierwszy na jego twarzy odmalowało się jakieś uczucie — paniczny strach. Wycofujący się Niemcy byli koło niego, a on teraz nosił mundur czerwonoarmisty. Instynktownie podczołgał się w stronę otworu schronu, odgrzebując wejście. Gdy wślizgiwał się do kryjówki, przez jego twarz przebiegł grymas zaskoczenia. Białe światło dnia padło na skuloną w kącie dziewczynkę. Mężczyzna upadł na podłogę.

— Larysa? Larysa? — powtórzył słowa, jakie słyszał z ust biegnącej kobiety. Potem jęknął przeciągle i ucichł. Larysa czekała przerażona, niezdolna się poruszyć. Była pewna, że diabeł zamorduje również ją. Słyszała jego oddech, czuła jego obecność, lecz z niezrozumiałego dla niej powodu nie została zabita.

Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło, gdy odważyła się spojrzeć w górę. Dostrzegła wycelowane w nią lufy karabinów i ciemne sylwetki żołnierzy na jasnym tle otworu.

— Spójrzcie tutaj, maleńka księżniczka! — Ktoś odezwał się w jej języku.

Poczuła, jak dwie silne ręce oficera Armii Czerwonej unoszą ją w górę. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, był widok nieruchomego ciała Sikorskiego.

# HISTORIA STAŁBY

p

**I 1** osyjski marszałek Żuków powiedział pewnego razu do Eisenhowera: „Kiedy nasza piechota znajdzie się w pobliżu pola minowego, zaatakuj tak, jakby min nie było”. Jednak generałowie, którzy mieli dowodzić walkami pod Kurskiem, nalegali, aby w ich oddziałach znajdowało się jak najmniej ryzykanckich oficerów. W Liwnym, miasteczku na wschód od miejsca bitwy, w pobliżu nie istniejącej obecnie Poryni na polecenie generała Rokossowskiego utworzono szpital polowy. Szpital przyjmował jedynie oficerów, którzy byli w stanie powrócić na linię frontu w dostatecznie krótkim czasie.

Właśnie w Liwnym odzyskał przytomność Wiktor Stalbo. Pamiętał mgliście pewne obrazy z niedalekiej przeszłości — żołnierzy wyciągających go z kryjówki, wóz konny, którym został wywieziony z linii frontu, i lekarza ze szpitala. Ten badał Stalbę, uciskając boleśnie, aż w końcu oświadczył, że warto było utrzymywać go przy życiu. W pierwszych dniach powrotu do zdrowia Stalbo nie pamiętał nic więcej, ale coś dręczyło jego umysł... jakby sen o małej dziewczynce... Powiedziano mu, że został mocno poturbowany, jednak nie miał połamanych kości ani uszkodzonych głównych organów. Lekarze dziwili się, że przeżył. Ciało naszpikowane było odłamkami, których wyjęcie miało zająć tygodnie. Mógł jednak wrócić na front.

Parę dni później Stalbo został rano wyrwany ze snu badaniem przeprowadzonym przez lekarza, który w jego mniemaniu był sadystą.

— Jak się pan czuje?  
— Czy musicie być tacy niedelikatni?  
— Gdybyśmy nie byli, nie moglibyśmy stwierdzić, że stan pana zdrowia ulega poprawie — powiedział lekarz, ściskając mocniej bandaż. — Widzi pan? Parę dni temu nie zareagowałby pan nawet. Teraz jest z panem o wiele lepiej.  
— Czy mogę porozmawiać z ludźmi, którzy mnie tutaj przywieźli?  
— Prawdopodobnie nie.  
— Dlaczego?  
— Są martwi — odpowiedział chłodno lekarz. — A przynajmniej powinni — dodał. — Większość nie jest w stanie przeżyć nawet dnia po tej bitwie.  
— Gdzie mogę ich odnaleźć? — nalegał Stalbo. Lekarz ponownie ucisnął bolące miejsce.  
— Ciągłe znoszą tu nowych rannych. Proszę się dobrze przyglądać, może pan któregoś rozpozna.  
— Byłem nieprzytomny, gdy mnie tu przywieziono. Nie mam najmniejszego pojęcia, jak wyglądali. Czy nie mógłby pan mi pomóc ich zidentyfikować?  
— Owszem tak, lecz jestem pewien, że już od dawna nie żyją. — powiedział i odszedł.  
Myśli Stałby — takie bowiem nazwisko przybrał sobie kilka dni wcześniej — krążyły wokół małej dziewczynki, która z nie znanego mu w tej chwili powodu zajmowała ważne miejsce w jego pamięci. Zanim nazwał się Wiktorem Stalbo, znany był jako Jurij Sikorski, starszy sierżant Armii Czerwonej. Wszystkich zadziwiała jego zdolność wychodzenia cało z opresji. Inteligencja stanowiła jego główny atut. Sikorski utrzymywał się przy życiu dzięki spychaniu roboty na swych współtowarzyszy. Inni przechodzili pola minowe, gdy on pozostawał nieco z tyłu, obsługując radio pułku. W niektórych bitwach, jak sam przyznawał, dopisywało mu szczęście. Nikomu z jego oddziału nie udało się przeżyć Łuku Kurskiego. Wiosną, gdy Hitler pozwolił swym generałom wycofać się, Jurij Sikorski został złapany podczas misji, jaką wypełniał poza liniami niemieckimi. Dokładniej: nie został złapany w pełnym sensie tego słowa, lecz dał się złapać. Kiedy jego patrol dostał się pod ostrzał, trzech żołnierze polegli na miejscu. Ocalało dwóch. Sikorski podjął

decyzję, którą uznał za najbardziej logiczną: zabił swego towarzysza strzałem w tył głowy i poddał się. Tak sprawnie władał niemieckim, że jego dotychczasowi wrogowie zaproponowali mu przyłączenie się do dywizji Własowa w stopniu oficera. W tym czasie zdawał sobie doskonale sprawę, że Wehrmacht jest lepszy od Armii Czerwonej, więc przystał skwapliwie na tę propozycję. Możliwość służenia pod dowództwem generałów, którzy forsowali pola minowe za pomocą maszyn, a nie piechoty, przemawiała do jego zdrowego rozsądku. Fakt, że większość oddziałów radzieckich lubowała się w torturowaniu zdrajców, nie przerażał go. Sikorski miał nadzieję, że uniknie marszu na linię frontu. Nie wiedział jednak nic o zadaniach SS polegających na zmuszaniu oddziałów Własowa do przemarszu naprzód. SS było gotowe zastrzelić każdego, kto chciał się wycofać. Sikorski zapobiegliwie zgłosił się na ochotnika w charakterze przesłuchującego rosyjskich jeńców. Jego okrucieństwo wobec rodaków zaimponowało hitlerowcom, ale szybko doszły o nim słuchy do Sowietów. Za jego głowę wyznaczono dużą nagrodę. Sikorski zastanawiał się, co począć, podczas gdy hitlerowscy generałowie opóźniali atak na Kursk. Nie wydawało mu się korzystne pozostanie z Niemcami, gdy zorientował się, że SS miała zamiar przeznaczyć własowców na mięso armatnie. Nie widział także sensu występowania pod nazwiskiem Jurij Sikorski, skoro marszałek Żuków miał wyprzeć Niemców z powrotem na zachód. SS wykonywało brudną robotę, dozoruując jeńców sowieckich przeznaczonych do przesłuchania. Najczęściej, zwłaszcza gdy wydawało się, że nie posiadają istotnych informacji, przesłuchującym dawano możliwość dysponowania nimi według własnego uznania. Sikorski zarabiał parę dodatkowych plusów, oddając ich oficerom SS jako żywe tarcze strzelnicze. Pod koniec czerwca zorientował się, że pozostało kilka dni do rozpoczęcia pod Kurskiem ofensywy. Musiał coś postanowić. Kazano mu przesłuchać porucznika Armii Czerwonej. Oficer ten, Wiktor Stalbo, pochodził z tych samych stron co on. Miał podobny akcent i był tej samej postury. Jego rodzina zginęła podczas bombardowania i jak Sikorski orientował się, z jego kompanii nie pozostało żywej duszy. Człowiek ten ocalał jako jedyny ze swej jednostki.

Sikorski postępował ze Stalbą w zupełnie odmienny sposób niż z resztą jeńców. Zaprzyjaźnił się z nim, częstował go jedzeniem i wódką, wyjaśniał, jak wiele dobrego zdołał od czasu przyłączenia się do własowców. Jego plan powiódł się. Szybko przekonał Stalbę, że powinien zamienić mundur czerwonoarmisty na mundur oficera Wehrmachtu, oczywiście z zachowaniem tego samego stopnia wojskowego. Stalbo zgodził się. Gdy wręczył Sikorskiemu swoje umundurowanie, otrzymał strzał w tył głowy. Sikorski posiadał teraz mundur porucznika i miał możliwość po raz kolejny się uratować.

Parę dni później przyszedł rozkaz wymarszu na front. Uniform i dokumenty Stałby Sikorski bezpiecznie ukrył w swych rzeczach.

Czołg, za którym ciągnęła grupa żołnierzy, przedarł się przez zarośla i z wielkim pluskiem przejechał przez strumień, zanim ruszył w kierunku przeciwnego zbocza ku zabudowaniom gospodarczym. Gdy pierwsi upewnili się, że teren jest wyludniony, sygnałem radiowym wezwali pozostałych. Wkrótce obszar zapełnił się czołgami i żołnierzami odpoczywającymi przed natarciem na wroga. Na końcu grupy pozostali dwaj oficerowie SS gotowi, by ją popędzać.

Porucznik Sikorski nienawidził SS. Odczuwał strach przed tymi ludźmi i unikał ich. Wiedział, że ma trudne zadanie. Rosyjski mundur leżał w jego torbie, na szczęście nikt nie miał żadnych podejrzeń. Teraz czekał na stosowny moment. Był pewien, że w odpowiednim czasie zorientuje się, kiedy należy zacząć działać.

Nocą oddział zatrzymał się we wsi. Sikorski pomyślał, że dobrze byłoby zjednać sobie sierżanta. Wezwał go na stronę.

— Poruczniku Sikorski...

— Szybko, Wasilij. Dnieje.

— Poruczniku, jeśli nas złapią...

— Nie złapią, nie złapią, przynajmniej nie mnie!

— Rozumiem, proszę pana. Ale jeśli mimo wszystko tak się stanie...

Musiał teraz przygotować przynętę.

— Byłeś mi wierny, Wasilij, więc powiem ci dokładnie, jakie mam plany. Założę mundur czerwonoarmisty i rzucę się w najgłębszy lej po bombie. Gdy przybędą tu ludzie Rokossowskiego, znajdą mnie bez przytomności... ale przy życiu.



— Nie wydaje się panu... nie wydaje się panu, że będą podejrzewać, że należał pan do dywizji Własowa?

— Nikt nie przeżyje, Wasilij. Zapewniam cię, że nie pozostanie nikt zdolny mnie zidentyfikować. A ponieważ byłeś mi wierny, odkąd przyjęliśmy ofertę Niemców, możesz być pewien, że nie zdradzę cię ani słowem... jeżeli zechcesz się przyłączyć.

— A jeśli przeżyje ktoś jeszcze?

— Nikt z naszej grupy! Nikt! — Obejrzał się nerwowo dookoła przestraszony, że ktoś z SS mógł usłyszeć jego słowa. Potem ciszej dodał: — Nie pozwolimy na to, zapewniam cię. Potrzebuję jednak twojej pomocy.

— Chce pan ich zabić?

— Zrobię wszystko, aby się ocalić. Masz teraz wybór. Jeśli generał Rokossowski zdobędzie nasze pozycje, a nie wątpię, że SS nie dopuści, byśmy się wycofali, wiesz, co zrobię. Jeżeli mi pomożesz, wtedy sprawię, że pewnego dnia zostaniesz uznany za bohatera narodowego. Może nawet wzniosą ci pomnik.

Przerwało mu nadejście oficera SS. Ryk silników uniemożliwił dalszą rozmowę.

Nakazano im skierować się na południe od stacji na tyły wojska, tuż obok wsi Poryni. Mieli za zadanie utrzymać pozycję na linii kolejowej Orzeł—Kursk. Generał Model uważał za nieodzowne, aby oba miasta utrzymywały stałą łączność. Zniszczone szyny nie stanowiły przeszkody, można je było naprawić.

Porucznik Sikorski zaczął się bać, że nie doczeka okazji, kiedy będzie mógł przebrać się w rosyjski mundur. Nigdy przedtem nie znajdowali się pod tak silnym ostrzałem. Niebo roiło się od samolotów zrzucających bomby na niemieckie czołgi. Piechota dostawała takie cięgi, jakby były w nią wycelowane działa całej Rosji. Żołnierze nie mieli dostatecznej osłony przed pociskami. Gdy ruszyli do przodu, Sikorski starał się znajdować jak najdalej od czołgów. W pewnym momencie zauważył rozciągającą się przed nimi dolinę i lekkie wzniesienie. Przez lornetkę dostrzegł radzieckie czołgi zamaskowane lub wkopane na wzgórzu aż po wieżyczki. Mógł się założyć, że artyleria na przeciwległym wzgórzu miała na muszce każdy centymetr doliny.

Trzy kompanie po jego lewej stronie wkroczyły na otwarty teren, idąc za tygrysami. Sikorski obserwował je pewien, że dolina na

szpikowana została większą liczbą min, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Saperzy pod ochroną własnego ognia wysunęli się do przodu. Pozwolono im dojść do pewnego punktu, po czym zatrzymała ich nawała ognia zaporowego. Sikorski zobaczył, jak spadające pociski powodują masową eksplozję min. W tym samym czasie z nieba posypały się bomby. Czołgi znalazły się w pułapce niezdolne do jakiegokolwiek manewru. Dobrze ukryci zwiadowcy dawali szczegółowe wskazówki artylerzystom. Co chwila czołgi znikały z pola widzenia we wzbitych licznymi wybuchami tumanach kurzu. Za każdym razem, gdy wiatr zwiewał je na jedną stronę, Sikorski widział coraz to nowe palące się kupy żelastwa. Po żołnierzach idących za czołgami nie pozostawało nic. Nie trzeba będzie urządzać pogrzebów!

Hałas ogłuszał Sikorskiego. Nie była to bitwa podobna do żadnej, jaką przeżył. Żadnych jęków rannych, żadnych odgłosów piechoty biegnącej naprzeciw wrogowi. Zamiast tego — tony żelastwa miotane we wszystkie strony. Ukrył się w leju po wybuchu i przez lornetkę obserwował pole bitwy. Nagle poczuł drżenie cudzego ciała. Usta Wasilija były tuż przy jego uchu.

— Jesteś wariatem, jeśli myślisz, że uda ci się przez to przedrzeć — powiedział sierżant. — Nikt nie utrzyma się przy życiu dłużej niż przez parę minut... — Przerwał mu gwizd pocisku, po którym nastąpił ogłuszający wybuch. Pokrył ich kurz i opadające grudy ziemi.

Sikorski kiwnął głową. Nie wypowiadając słowa, wskazał gestem na lewo, gdzie kręcili się oficerowie SS. Nie mieli zamiaru pozwolić nikomu na odwrót i ucieczkę. Jedynym atutem, zauważył Sikorski, był fakt, że ogień artyleryjski trwał nieprzerwanie i nie oszczędzał nikogo, esesmani stanowili równie dobry cel jak ktokolwiek inny. Jeżeli przeżyje dłużej niż oni, wtedy będzie miał szansę.

Podczołgał się nieco i krzyknął do Wasilija:

— Strzelaj do nich! — Wskazał palcem na oficerów SS. — Jeden dobrze obliczony strzał, tylko jeden i może ocalimy nasze karki.

— Czy nie lepiej podejść ich bliżej?

— Myślałem o tym, ale któryś mógłby cię sprzątnąć albo ktoś cię zobaczy i wyda. — Potrząsnął głową. — Poczekaj chwilę. Może trafią ich Rosjanie.

— Ale wkrótce ruszymy dalej — powiedział Wasilij, widząc, że kilka tygrysów zdołało zniszczyć parę okopanych czołgów rosyjskich.

Luftwaffe z zacięłą determinacją bombardowała nieprzyjaciela po przeciwnej stronie wzgórza. Upór niemiecki równoważył liczebność Rosjan. Było to starcie sił woli, pojedynek uporu ukształtowanego na przestrzeni wieków. Obie strony miały zamiar walczyć do ostatniej kropli krwi, do ostatniego żołnierza. Żadna ze stron nie przewidywała poddania się. W końcu Luftwaffe osłabiła ogień wroga do tego stopnia, że czołgi mogły przebić się w stronę pagórków po ścieżkach oczyszczonych z min. Za pojazdami ciągnęli żołnierze, którym udało się przeżyć.

Ludzie Sikorskiego otrzymali rozkaz marszu. Esesmani, pozostający jak zwykle z tyłu popędzali ich niecierpliwie. Żołnierze mieli większe szanse przeżycia ataku, prac do przodu, bowiem było jasne, iż nie ominie ich śmierć z ręki SS, gdy spróbują odwrotu. Przed nimi sunęło osiem czołgów. Sikorski nie był pewien, czy powinien trzymać się blisko jednego z nich, czy też jak najdalej oczywistego celu wroga. Ogień zaporowy rozwiał jego wątpliwości. O jakieś sto metrów w bok cała kompania, która oddaliła się od swego czołgu, została zmieciona z powierzchni ziemi. Przywołał Wasilija i obaj zaczęli ostrożnie stąpać za czołgiem. Jediną rozsądną rzeczą było przetrwanie tak długo, jak wrogowie pozostawali przy życiu. Na środku pagórka tuż przed ich czołgiem wybuchł pocisk. Instynktownie schronili się za tygrysem. Rozległ się potężny huk. Gdy ucichło, Sikorski wyjrzał zza czołgu, by przekonać się, ilu zginęło żołnierzy. Z rowów i lejów po wybuchach sterczały głowy, nogi i ręce zabitych. Naliczył dwanaście hełmów, które mógł rozpoznać, ale nigdzie nie dostrzegł oficerów SS.

— Zostań tu — powiedział do swego podwładnego.

Podbiegł do tych, którzy przeżyli, i zaczął wypytywać o SS. Jeden z żołnierzy wskazał w bok. Esesmani nie wydawali się teraz wszechmocni. Sikorskiego zawsze dziwiło, że w ramionach śmierci nawet wrogowie wyglądali tak żałośnie.

— Mamy teraz szansę — powiedział głośno do siebie. — Wreszcie możemy samodzielnie podjąć decyzję.

Wystrzał z uszkodzonego czołgu przeraził go. Wszyscy dowódcy mieli rozkaz pozostać wewnątrz maszyn, dopóki te mogły strzelać. Oznaczało to zazwyczaj, że w końcu tam ginęli, ponieważ uszkodzony czołg był świetnym celem. Sikorski spojrzął przez lornetkę w kierunku pozycji sowieckich. W pierwszym momencie nie mógł

nic dostrzec poprzez gęste chmury kurzu i dymu unoszące się nad polem bitwy. Potem ujrzał poruszenie na skraju pagórka. Armia Czerwona atakowała, piechota parła w ich stronę. Wydawało mu się niemądre, że żołnierze radzieccy biegli naprzeciw czołgom, dopóki nie spojrział bardziej w lewo. Za piechotą nadciągały sowieckie T-34. To miało sens! Nie byli tak dobrze uzbrojeni jak Niemcy ze swymi tygrysami, ale byli szybsi i równie niebezpieczni, gdy zbliżyli się dostatecznie blisko. Żuków znalazł więc nowy sposób na wykorzystanie swych oddziałów! Posłał je wprost na Niemców z bronią przeciwczołgową pod osłoną artylerii. Taki plan mógł się powieść. Jednakże Sikorski nie miał ochoty sprawdzić tego na własnej skórze.

— Wycofaj się, Wasilij! — krzyknął. — Upewnij się, czy wszyscy idą za nami i dobij każdego, kto jest ranny! Nie ma sensu zostawiać ich na łup czerwonoarmistów!

Sikorski nie zamierzał pozostawić przy życiu nikogo, kto mógłby go zidentyfikować.

Atak sowiecki spowodował takie zamieszanie, jakiego oczekiwał. Uszkodzone czołgi, setki rannych i zabitych po obu stronach, zestrzelone samoloty, żołnierze miotający się w panice — wszystko spowodowało absolutny chaos. Po paru minutach sytuacja zmieniła się. Rosjanie zmusili Niemców do odwrotu. Trudno było odróżnić wroga od swojego, a tym bardziej dostrzec małą grupkę oddalających się żołnierzy. Nikt nie miał prawa winić ich, że znaleźli się na przodzie w stosunku do reszty.

Gdy dotarli do drogi wiodącej do Poryni, Sikorski zaczął się martwić. Wycofując się, jego ludzie popadali w histerię. Niektórzy odrzucając broń i hełmy pobiegli w stronę wsi, która w tym momencie wydawała się im oazą bezpieczeństwa. Jeśli znajdowali się tam esesmani, zastrzelą ich jak psy. Jemu, jako dowódcy, przygotowują okrutniejszą śmierć. Nie mógł też pozwolić im na ucieczkę poza wieś. Jeśli któryś by uciekł, jego plan byłby zagrożony. Wasilij zawołał instynktownie na żołnierzy. Sikorski wystrzelił w powietrze. Kilku zwolniło oglądając się. Przeklinali strzelających, których uważali za wrogów czy też, jeszcze gorzej, esesmanów. Nie powstrzymało ich to jednak od dalszej ucieczki. Sikorski podniósł broń i mierząc dokładnie, oddał serię strzałów. Człowiek, który prowadził, upadł twarzą w błoto. Potem, bez opuszczania broni Sikorski krzyknął:

— Tchórze... tchórze! — Kilku niepewnie zwolniło. — Skończycie z kulą w tyle głowy! — wrzasnął co sił w płucach.

Trafił dwóch następnych. Jeden z zabitych groteskowo potoczył się środkiem drogi, dopóki ciało nie zatrzymało się na wraku czołgu. Jego śmierć wywarła pożądany rezultat. Pozostali, ciągle niepewni, kto do nich strzelał, padli na ziemię i czołgali się po zgliszczach lub chowali za wrak. Sikorski wybiegł na środek drogi z bronią gotową do strzału.

— Wy żałosne tchórze! Wy...! — bluznął potokiem przekleństw. — Czy chcecie, by SS wystrzelało was uciekających jak psy?

Spoglądając jeden na drugiego oczami pełnymi strachu, szukali przywódcy, który pierwszy zdecydowałby się wstać. W końcu jeden, ciągle w hełmie i z bronią, wyłonił się zza czołgu. Odwrócił się i spojrzął na swych towarzyszy, potem powoli udał się w miejsce, które wskazywał Wasilij. Sierżant z aprobatą skinął głową i spojrzął ostro na pozostałych. Powoli podnosili się i szli za przywódcą.

— Tak jest o wiele lepiej — powiedział spokojnie. — O wiele lepiej. A teraz chodźcie. Jeżeli nas znajdzie SS, chciałbym, żebyście wyglądali na żołnierzy.

Sikorski wybrał tego, który posiadał hełm i karabin. Mógł być niebezpieczny w przeciwieństwie do reszty. Schwycił jego broń i wypalił mu w pierś. Ciało upadło w tył, wprost na czołg, a otwarte oczy wyrażały przedśmiertne przerażenie. Pozostali nie ruszyli się, nawet gdy Sikorski wymierzył w nich broń i oddał serię strzałów. Strzelał także Wasilij, który w ten sposób chciał przypodobać się człowiekowi mogącemu go ocalić. Nie miał pojęcia, gdzie znaleźć mundur rosyjski, co doradzał mu porucznik, ale ufał swemu dowódcy. Strzelali, dopóki ostatni żołnierz nie padł martwy. Wtedy Sikorski przeszedł się wolno pomiędzy ciałami, dobijając każdego, kto wydawał się jeszcze oddychać.

— Dobrze. A teraz dalej — zamruczał do siebie. Spokojnie sięgnął po naboje, oglądając je dokładnie. — Niedobrze, niedobrze — szeptał, gdy ładował broń.

Nagle strzały zaskoczyły Wasilija, który przyglądał się ofiarom rzezi leżącym u jego stóp. Pierwsza kula dosięgła go, zanim podniósł oczy na spokojną twarz Sikorskiego. Może nie zrobił tego celowo, pomyślał, gdy rzuciło go w tył i upadł. Po upływie paru sekund nie myślał już nic.

Sikorski nie miał czasu do stracenia. Wiedział, że wkrótce do Poryni dotrą czerwonoarmiści i chciał, żeby znaleźli go jako oficera radzieckiego pomiędzy ciałami Niemców.

— Larysa! Larysa! — Usłyszał nagle.

Zadrżał. Mój Boże, niemożliwe, żeby tu była żywa istota. Nikt nie powinien żyć.

— Larysa! Larysa! — krzyczał ktoś, powtarzając w kółko to imię.

Sikorski odwrócił się, by sprawdzić, czy za nim nie ma kogoś, ale dojrzał tylko martwe ciała i wrak rozbitego czołgu. Kogo wołała ta istota? Zorientował się po głosie, że była to kobieta. Wkrótce dostrzegł ją. Wyglądała jak nieziemskie stworzenie ze skudlonymi włosami opadającymi na brudną twarz, przyodziana w poszarpane szmaty. Ramiona miała rozwarłe, jakby go chciała w nie porwać.

— Larysa!

Podniósł karabin, rozglądając się znowu.

— Larysa!

Nacisnął spust. Trafił, ale mimo to zataczała się dalej w jego kierunku.

— Larysa!

Wycelował teraz bardzo dokładnie i strzelił dwa razy. Upadła, kiedy kula przeszła jej czaszkę, lecz nogi się ciągle ruszały. Nie wydała z siebie najmniejszego dźwięku, gdy potoczyła się do zabłoconego rowu.

Czas nieubłaganie płynął. Pośrodku pobojuwiska, które kiedyś było główną drogą Poryni, Sikorski zdjął pośpiesznie z siebie wszystkie rzeczy i wrzucił je do spalonego czołgu. Potem ubrał się w mundur czerwonoarmisty. Gdy zapinał bluzę, doznał uczucia, że jest obserwowany. Nie miało to sensu. Otaczały go tylko zwłoki.

Larysa, Larysa... — zastanawiał się, czyje to imię.

Niespodziewanie za spalonym czołgiem eksplodował pocisk. Podmuch odrzucił go na odległość kilku metrów. Kiedy odzyskał przytomność, leżał na ziemi. Wszystko go bolało, lecz skoro czuł, był żywy! Kręciło mu się w głowie. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, dopóki nie spojrzął do tyłu. Czołg i ciała nadal leżały tam gdzie poprzednio.

Nagle usłyszał wyraźne krzyki i strzały. Żołnierze niemieccy biegli w jego kierunku. Wycofywali się. Uzmysłowił sobie, że nosi teraz mundur oficera Armii Czerwonej. Zginie przez to na miejscu! W panice gapił się przed siebie. Naprzeciwko znajdowała się dziura w ziemi — miejsce na kryjówkę! Zaczął czołgać się w jej kierunku, wyginając obolałe ciało. Po chwili był już nad otworem i zsuwał się w dół. Z hukiem spadł na posadzkę piwniczki. Mała dziewczynka... dziewczynka z szeroko rozwartymi oczami. Przyglądała mu się z wyrazem tak panicznego strachu, że nie dane mu było nigdy zapomnieć tego spojrzenia. Sikorski poczuł, że znów traci przytomność.

— Larysa? Larysa? — wyrwało mu się. Czy była to ta, którą wołała kobieta?

Potem niemiecki porucznik Sikorski z formacji Własowa stał się porucznikiem Stalbą z Armii Czerwonej. Na zawsze.

Stalbo musiał odszukać ludzi, którzy go znaleźli, by dowiedzieć się od nich, co stało się z dziewczynką. Był teraz pewien, że nie wyśnił jej sobie. To jedyna istota na ziemi zdolna powiedzieć, co stało się w Poryni. Dopóki pozostawała przy życiu, znajdował się w niebezpieczeństwie.

Nadszedł dzień, kiedy pozwolono mu po raz pierwszy wyjść na zewnątrz i wygrzewać się w wiosennym słońcu.

Dostrzegł go przechodzący obok lekarz, który wcześniej się nim zajmował.

— Cóż, poruczniku, wygląda na to, że wkrótce będzie pan zdolny do wyruszenia na front. Twardy z pana typ. Stalbo spojrzał na mówiącego sierżanta.

— Kim pan jest, że zwraca się pan w ten sposób do oficera? Mężczyzna zaśmiał się arogancko.

— Jestem kimś, kto ocalił panu skórę w zeszłym tygodniu. Był pan ledwie żywy, gdy pana znalazłem, więc mógłby pan okazać mi nieco wdzięczności.

— Pan mnie znalazł... w... w tej dziurze?

— Zgadza się, poruczniku. Był pan w oplakanyim stanie, leżąc w kałuży własnej krwi. I nie była to jakaś tam dziura w ziemi. Udało się panu znaleźć piwnicę, w której mieszkała dziewczynka z matką.

— Dziewczynka. — A więc naprawdę istniała, pomyślał.

- Właśnie. Nie mam pojęcia, jak mogły tam żyć. Jej matce udało się zamaskować piwnicę ich domu, który zniszczyła bomba. Jak znalazł się pan w tej wsi?

— Nie mam pojęcia — skłamał Stalbo. — Nastąpiła eksplozja...

— Sądząc po tym, jak pan wyglądał, musiał się pan znaleźć w pobliżu wybuchu. Zabrało mi masę czasu przekonanie się, czy j<sub>est</sub> pan w ogóle żywy. A ta mała nie chciała powiedzieć ani słowa.

Stalbo na wpół uniósł się z krzesła, zaciskając z bólu zęby.

— Ta dziewczynka... jak miała na imię? Pamięta pan?

— Śliczne imię, Larysa. Nie mógłbym zapomnieć. Gdy ją trochę umyliśmy, okazało się, że jest ładniutka.

Prawie zagłodzona, lecz śliczna. — Zastanowił się. — Proszę sobie wyobrazić, poruczniku, dziecko żyjące w ten sposób. Ocalała jedyna z całej wsi, mieszkając w norze jak małe zwierzątko. Było tam mokro, zimno i brudno. Jedno zagłodzone dziecko i pan wyglądający jak zdechły szczur. — Sierżant roześmiał się z porównania.

Stalbo nie przejmował się tym, co myśli o nim jakiś lekarz. Wiedział, że zginąłby wtedy, gdyby nie on.

— Miło jest widzieć ludzi, których się uratowało, poruczniku ■  
dodał lekarz i odwrócił się.

— Chwileczkę, sierżancie, niech pan nie odchodzi! — zawołał Stalbo. — Muszę się dowiedzieć paru rzeczy. W końcu pan naprawdę uratował mi życie.

Wielu rannych chciało rozmawiać z lekarzem. Ocaleni czuli wdzięczność do swych zbawców, chociaż zapominali o nich, gdy w pełni dochodzili do siebie.

— Tylko szybko, poruczniku. Mam dużo pracy—odpowiedział.

— Dziewczynka... — rzekł Stalbo. — Jej nazwisko. Jak brzmiało jej nazwisko?

— Nie mam pojęcia. Nie chciała, a może nie umiała nic powiedzieć. Nigdy nie widziałem nikogo tak przerażonego. Ledwo mogła mrugać oczami. Gapiła się na nas, jakbyśmy byli potworami. Na pana nawet nie spojrziała.

— Ale nazwał ją pan Larysą. — Stalbo nie mógł uwolnić się od wspomnienia. Obraz kobiety biegnącej w jego kierunku z rozpostartymi ramionami i powtarzającej w kółko: „Larysa”. Nigdy „j<sub>e</sub> zapomni tego imienia.

Kobieta, którą zabił, musiała być jej matką. — Jak się pan dowiedział, że ma na imię Larysa? — zapytał.



— Parę dni później przyszło kilku partyzantów po jedzenie. Kobieta od nich rozmawiała z dziewczynką. Myślę, że ktoś powiedział jej o małej w szpitalu wojskowym i odezwał się w niej instynkt macierzyński. Wie pan, jakie są kobiety — odpowiedział sierżant.

— Co jeszcze pan wie o niej?

— Nic. Tylko znam jej imię. Zdradziła je kobiecie, zanim odeszła.

— Kto odszedł? Kobieta? Dziewczynka?

— Obie. Dziewczynka przywiązała się do kobiety, nie opuszczała jej na krok. Nie było powodu zatrzymywać jej w szpitalu. Nie była ranna, tylko głodna. Szpital z jęczącymi i umierającymi żołnierzami nie jest odpowiednim miejscem dla dzieci. Oddaliśmy ją partyzantom, gdy byli gotowi do drogi.

— Oddaliście ją?

— Pewnie. Co pan zrobiłby na naszym miejscu, poruczniku? — Odczuł wyraźną niechęć do oficera, choć nie potrafił dokładnie wyjaśnić jej przyczyn.

Stalbo opuścił głowę. Ciągle żył świadek jego zbrodni.

— Niech pan odejdzie, sierżancie — powiedział cicho. — Niech pan wróci do swych truposzy... — dodał szeptem.

W samotności zastanawiał się, czy kiedykolwiek ją odnajdzie.

# HISTORIA MORRISONA BERLIN

1962

Jak Morrison nigdy wcześniej nie był naprawdę, wiele kobiet, kilkoma historiami do powieści i opowiadań. W tym czasie nie było jeszcze młodych mężczyzn, którzy go do siebie zwrócili, widząc w nim człowieka, który nie tylko był, ale i myślał. Nie było też takich, którzy go nie tylko widzieli, ale i czuli. Nie było też takich, którzy go nie tylko widzieli, ale i czuli. Nie było też takich, którzy go nie tylko widzieli, ale i czuli.

Dziś, w tym momencie, widzieli go tylko ci, którzy go widzieli. Dziś, w tym momencie, widzieli go tylko ci, którzy go widzieli. Dziś, w tym momencie, widzieli go tylko ci, którzy go widzieli.

— Dziś, w tym momencie, widzieli go tylko ci, którzy go widzieli. Dziś, w tym momencie, widzieli go tylko ci, którzy go widzieli. Dziś, w tym momencie, widzieli go tylko ci, którzy go widzieli.

— Proszę ci pozwolić opisać — powiedział jego najbliższy przyjaciel — Europa, Włochy, Włochy, Włochy? — zawykrzykiwał do niego, jakby nie był z tym samym krajem.

# HISTORIA MORRISONA

## BERLIN

**J**ack Morrison nigdy przedtem nie był naprawdę zakochany. Znał wiele kobiet, kilkoma interesował się poważniej i czuł dość nietypowy w młodym wieku szacunek dla ich zalet, a nawet wad. Ci, którzy go dobrze znali, wiedzieli, że wołał towarzystwo kobiet, którym zależało na nim samym, a nie na jego pozycji. Nie wszystkie z wybranek olśniewały urodą, lecz zawsze sprawiały dobre wrażenie na jego przyjaciółach. Morrison posiadał niecodzienny dar dostrzegania szczególnego rodzaju piękna.

Dzień, w którym po raz pierwszy zobaczył Larysę Alusztę, zaliczał do najwspanialszych w swoim życiu. Nie była klasycznie piękna, ale promieniała niezwykłym blaskiem, który go oszałamiał. Blask ten skrywał się głęboko w jej oczach, w które mężczyźni nastawieni wyłącznie na urodę nie zagłędali. Zdawał sobie sprawę, że za ślicznymi zielonymi oczami ukrywała się niezwykła dusza.

— Dzień dobry panu — zaczęła. — Czy mogę panu pomóc w... — mówiła po niemiecku z akcentem, którego nie mógł początkowo rozpoznać. Oczywiście w świecie biznesu we wschodniej części Berlina trudno było znaleźć kogoś mówiącego poprawnie po niemiecku.

— Proszę mi pozwolić zgadnąć — przerwał swą nienaganną niemczyzną. — Europa Wschodnia, może Węgry?

— zaryzykował domyślając się, że nie pochodzi z Zachodu.

...77) ...

... Ma tylko znam jej imię. Zgadnieś je, kochanie, z tym

...

... Co jaż pan wie o niej?

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

— Przykro mi. — W kącikach jej zielonych oczu pojawiły się drobne zmarszczki, które natychmiast polubił. — Nie rozumiem, co ma pan na myśli. Czy mogę w czymkolwiek pomóc?

Przechyliła lekko głowę ze zdziwienia i przyjrzała się młodemu mężczyźnie stojącemu po drugiej stronie biurka. Miał około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu i mocne ramiona. Najbardziej podobał się jej garnitur. Z całą pewnością zachodni, nie miała co do tego wątpliwości. Żaden ze znanych jej mężczyzn nie nosił ubrań uszytych z materiału tak świetnej jakości, również krój był niezwykle. Jedynie wysocy dostojnicy partyjni posiadali podobne garnitury. Mężczyzna uśmiechał się szeroko — było mu z tym do twarzy i dobrze o tym wiedział. Zbiło ją lekko z tropu jego zachowanie, co zdawało się sprawiać mu przyjemność.

— Wiem — ciągnął dalej. — Poznaję po oczach i wystających kościach policzkowych — mówił teraz płynnie po rosyjsku. — I te włosy... te miękkie włosy mogą pochodzić tylko z Ukrainy, czyż nie?

Przechyliła głowę w drugą stronę i odpowiedziała po rosyjsku:

— Prawie pan zgadł, ale nie całkiem. Kursk... jestem Rosjanką! — Ucieszyło ją; że ktoś taki przyszedł do biura. Zazwyczaj klientami byli członkowie partii, starsi, strasznie formalni i nudni Niemcy lub Rosjanie. Ten mężczyzna stanowił wyjątek. Przeszła z powrotem na niemiecki: — Przybywa pan zapewne w interesach, a moim zadaniem jest upewnić się, czy skontaktuje się pan z właściwą osobą. Co mogę dla pana zrobić? — Wyprostowała się i przybrała wyraz twarzy typowy dla urzędniczek Radzieckiego Biura Handlowego w Berlinie.

— Elektronika, radary, lampypróżniowe i tym podobne rzeczy. — Wręczył jej wizytówkę. — Derek Willem z Antwerpii. Chciałbym zobaczyć się z kimś z branży elektronicznej, lecz najpierw poznałbym chętnie pani nazwisko, skoro zna pani już moje. — Uśmiechnął się szeroko, gdy spojrzała na niego ze zdziwieniem. — Może pani rodacy z Kurska nie są tak bezpośredni, ale ja zawsze oczekuję na odpowiedź, kiedy się przedstawię pierwszy. Nie byłoby to takie złe, gdybyśmy się poznali. — Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. — Derek Willem. Miło mi panią poznać.

Jego zachowanie oszołomiło ją całkowicie. Nie spotkała takiego mężczyzny od czasu, kiedy przysłano ją do Niemiec parę miesięcy

temu. Ścisłej mówiąc, nigdy jeszcze nie spotkała kogoś tak bezpośredniego.

— Larysa Alushta. Miło mi pana poznać. — Poczula, jak się rumieni.

— Cóż, teraz, kiedy formalna prezentacja jest za nami, mam nadzieję, że porozmawiamy mniej oficjalnie, gdy już załatwię moje sprawy. W czyjej gestii leży elektronika?

— Pana Piętrowa, ale nie wiem, czy jest teraz wolny. Nie wydaje mi się, aby był pan umówiony. — Policzki płonęły jej, gdy patrzyła mu w oczy.

— Nie jestem umówiony, to prawda. Ale nie miałem nawet pewności, czy wasi chłopcy na granicy mnie przepuszczą. Czasami działają w sposób irracjonalny. — Nie przestawał się uśmiechać, wyjaśniając Larysie, jakie kompanie reprezentował i dlaczego chciał się widzieć z Piętrowem.

Nie wygląda na Holendra, pomyślała. Miał ciemne włosy, brązowe oczy i śniadą cerę. Zbyt śniadą jak na Holendra.

— Czy mogłaby pani sprawdzić, czy Pietrow mnie przyjmie?

— Oczywiście, chwileczkę.

— A po rozmowie z Pietrowem bardzo chciałbym znów panią zobaczyć.

Nikt nie mówił do niej w ten sposób... Nigdy! Jej klienci byli albo żonaci, albo nudni i arogancy. Ten mężczyzna był wyjątkowy. Znał wiele języków, wyglądał młodo i atrakcyjnie.

— Dlaczego... dlaczego miałabym? — Nie przyszła jej do głowy inna odpowiedź.

— Założę się, że czuje się pani samotna w tym okropnym mieście. Tak jak ja. Chciałaby pani zjeść obiad w towarzystwie miłej osoby i porozmawiać o rzeczach, które panią interesują? — Uśmiechnął się. — Jeśli nie mam racji, może się pani nie odzywać do mnie więcej. Byłbym wdzięczny, gdyby pan Piętrow znalazł dla mnie chwilę dziś przed południem.

Piętrow wyszedł ze swego gabinetu.

— Słyszałem o panu, panie Willem. Sprawił nam pan dziś miłą niespodziankę swym przybyciem — powiedział, wyciągając rękę na przywitanie.

Larysa stała bez ruchu, oczarowana szarmanckim nieznajomym. Miała nadzieję, że dotrzyma przyrzeczenia i zobaczy się z nią po załatwieniu sprawy.

Restauracja należała do najlepszych we wschodnim Berlinie. Morrison wiedział, że w Waszyngtonie nie utrzymałaby się nawet paru tygodni. Z pomalowanych na jednolity kolor ścian odpadał tynk. Światło raziło w oczy, a hałas zagłuszał rozmowę. W powietrzu unosił się zapach starego tytoniu. Wybrał ją jednak jako najlepsze dostępne miejsce dla osób nie należących do aktywów partyjnych.

Morrison nie był jednym z nich. Pracował dla agencji, odkąd ukończył college. Uważał, że udało mu się znaleźć jedną z ciekawszych posad oferowanych w tamtych czasach. Z Nowego Jorku przeniósł się do Waszyngtonu i zgłosił do przyjaciela ojca. Ani się obejrzał, a już stał się ekspertem w operacjach wymiennych. Lubił swą pracę. Dzięki temu, że dużo podróżował, nie nudził się. A teraz spotkał w Berlinie piękną Rosjankę. Jedną z najpiękniejszych dziewcząt, jakie do tej pory znał.

— Proszę mi powiedzieć, skąd Pietrow wiedział, kim pan jest? Bardzo mnie to intryguje. Może kiedyś dostanę awans? — Przechyliła głowę na bok.

— Jestem znany, bo zajmuję się sprzętem elektronicznym mało dostępnym w pani kraju. To bardzo prosta metoda nadrabiania zaległości bez pakowania się w kłopoty. Nie potrzeba szpiegów, aby dotrzymać kroku najnowszym osiągnięciom technologicznym. — Wzruszył ramionami. — Po prostu składa u nas pani zamówienie. Po kilku miesiącach otrzymuje pani to, czego szukanie zajęłoby całe lata.

Larysa była rozczarowana.

— To nie jest uczciwe — powiedziała.

— Przeciwnie. Jestem biznesmenem. Tak się składa, że czuwam nad transakcjami, które nie dla wszystkich są dostępne. To bardzo korzystne. Poza tym nikt nie jest oszukany. Przestrzegamy prawa, a ja jestem tylko pośrednikiem.

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

— Słyszałam już o tym. — Podobał jej się ten mężczyzna, lecz postanowiła trochę się podroczyć. — Moja matka nie byłaby zachwycona, gdyby dowiedziała się, że jadłam obiad z kimś takim jak pan.

— Czy musi jej pani mówić?

Odrzuciła głowę do tyłu. Morrison z zachwytem obserwował, jak włosy muskały jej kark.

— Nie. — Wypiła odrobinę szampana. — Matka nie żyje od jawną. Nie ma się pan czego obawiać. Poza tym nie powiedziałabym J<sup>e</sup>J<sup>8</sup>°- Mężczyzna, który zaczyna obiad w ten sposób...

— Przyjmę to za komplement i oświadczam, że w rzeczywistości „je jestem taki zły. W tym biznesie pracuje nas wielu.

Morrison nie dodał jednak, że Amerykanie zajmujący się tego rodzaju działalnością to wygnańcy i żaden nie pracuje dla agencji. Pod pseudonimem Derek Willem Morrison mógł śledzić i demaskować przecieki amerykańskich wynalazków technicznych do Związku Radzieckiego. Praca stałaby się o wiele ciekawsza, gdyby nawiązał romans z tą piękną rosyjską dziewczyną.

Larysa uważała, że obiad jest wspaniały. Posiłki, które sobie przyrządzała, nie należały do smacznych. Mięso wystane w długich kolejkach nie grzeszyło świeżością. O wiele bardziej podobał jej się pomysł stołowania w restauracjach. Zwłaszcza w towarzystwie mężczyzny, który dokładnie wiedział, co zamówić. Delektowała się każdym kąskiem.

Morrison zostawił na talerzu tłuszcz i najtwardsze części mięsa. Smak warzyw z puszki nie zniknął nawet w gęstym pomidorowym sosie. Zastanawiał się, jak ona mogła zjeść wszystko. Sądził, że wino pochodzi ze Związku Radzieckiego. Na butelce brakowało etykiety. Dziewczyna piła dużo i trochę zaszumiła jej w głowie. Jest niezwykła, pomyślał. Nie wykorzystam jej tej nocy. Będę dżentelmenem... dżentelmenem... — powtarzał w myślach, podziwiając jednocześnie urodę Rosjanki. Wydawało się niemożliwe, aby ta kobieta żyła samotnie. Odwiózł ją do domu taksówką. Trzymając jej delikatną rękę, usiłował nie patrzeć w głębokie, zielone oczy. Gdy samochód zatrzymał się, odprowadził ją do drzwi domu, ciągle ściskając jej dłoń.

— Piękny wieczór — zaczął. — To miasto jest najsmutniejsze na świecie, ale dzięki tobie... — Zamilkł, szukając odpowiednich słów. Nagle wziął jej twarz w dłonie i pocałował delikatnie w usta. — Cóż, nie muszę mówić nic więcej, prawda?

Larysa wolno potrząsnęła głową.

— Nie musisz. To najcudowniejszy wieczór, jaki przeżyłam w Berlinie. Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze.

— Jutro wieczorem? — Skinęła głową. — Przyjadę po ciebie o tej samej porze.



Uśmiechnęła się. Weszła do budynku, zatrzymując się na moment, by spojrzeć na Morrisona. Ciemne ulice Berlina zdawały się bardziej ciemne niż zazwyczaj, ale Morrison nie zwracał na to uwagi. Nigdy jeszcze żadna kobieta nie wywarła na nim takiego wrażenia. Czuł się dziwnie. Chciał dokładnie przeanalizować wszystko, co zdarzyło się podczas wspólnej kolacji. Zasnął po długich rozmyślaniach bardzo z siebie zadowolony. Zachował się jak dżentelmen. Larysa była tego warta.

W 1962 roku Stany Zjednoczone osiągnęły znaczny postęp w morskiej technice radarowej. Wywiad sowiecki zdawał sobie sprawę, że wkrótce amerykańskie niszczyciele będą w stanie wyśledzić samoloty w promieniu trzech tysięcy mil i że nowe pociski zestrzelą radzieckie odrzutowce, zanim te zdążą odpowiedzieć ogniem. Moskwa miała dwa wyjścia. Jedno gwarantowało szybkie rozwiązanie problemu. Dlatego też owego dnia Pietrow gorąco witał Derka Willema w swoim biurze.

Holender nie miał skrupułów w wybieraniu kupców nowego sprzętu. Ewentualnym kandydatem na otrzymanie nowego radaru było NATO. Willem znał sposoby na uzyskanie wersji cywilnej. Piętrowa nie interesowała metody Willema, jeśli mógł tylko oznajmić swym zwierzchnikom o dokonaniu transakcji.

Po pierwszej wizycie Holendra Pietrow polecił Larysie przygotować ściśle tajną wiadomość, że rozpoczął negocjacje o dostarczenie wyposażenia. Wiedział, że następnego dnia jego raport znajdzie się na biurku Wiktora Stałby. Przy odrobinie szczęścia mógł uzyskać wysoki awans i opuścić swą nędzną posadę w Berlinie. Żeby tylko przygotowania trwały trochę krócej! Willem miał zadzwonić nazajutrz w sprawie przewozu sprzętu, gdy ten już dotrze do Rotterdamu.

Kiedy rankiem Morrison przybył do Radzieckiego Biura Handlowego, po raz pierwszy w życiu doznał wielkiego zauroczenia. Larysa siedziała pochylona nad biurkiem. Uniosła głowę, gdy powiedział impulsywnie: — Jesteś równie piękna, pisząc na maszynie, jak sącząc szampana.

Zaczerwieniła się.

— Dzień dobry, panie Willem.

— Dzień dobry, panno AlusztO:

Znów zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen. Było to niezwykle uczucie. Mężczyźni prowadzący jego tryb życia nie mieli czasu na kurtuazję i powolne nawiązywanie znajomości. Zdziwiło go, że dwa wieczory z rzędu stać go było na nienaganne maniery. Uczucie, jakie żywił do Larysy, rekompensowało mu akt miłosny, którego zwykle oczekiwał.

— Pan Pietrow czeka na pana... — zawahała się. — I... wspaniale bawiłam się wczorajszej nocy.

Morrison położył palec na jej ustach.

— Ciii, nie musi pani mówić więcej. Czy spotkamy się i dzisiaj wieczorem?

— Bardzo bym chciała. — Obejrzała się na dźwięk kroków Piętrowa. — O tej samej godzinie?

Kiwnął głową.

— I w tym samym miejscu.

— Dzień dobry, panie Willem. Jest pan bardzo punktualny — promieniał Pietrow. — Lubię pracować z takimi ludźmi. Panno AlusztO, czy wysłała pani moją wiadomość? — Przytaknęła. — Żadnego odzewu?

— Jeszcze nie. Nie upłynęły nawet dwadzieścia cztery godziny. Cierpliwości, a uzyska pan odpowiedź.

Wiedziała, że ten Stalbo, którego nigdy nie spotkała, był bardzo skuteczny. Intuicyjnie czuła, że za normalną z pozoru transakcją kryła się tajemnica. Jednak sympatia do Willema zagłuszała wątpliwości. On i Pietrow mogli zawierać umowy, jakie chcieli. Robiła wszystko, by okazać się jak najbardziej pomocną. Nigdy nawet nie śniła, że spotka kogoś tak olśniewającego jak Derek Willem.

# HISTORIA LARYSY

2»ycie jest cudowne!

Larysa uśmiechała się promiennie, czekając na Derka Willema na zewnątrz budynku swego mieszkania. Dzień był słoneczny, a ponury zazwyczaj szary tynk ścian zdawał się emanować światło. Ale to nie piękna pogoda była powodem radości Larysy. Równie dobrze mogło padać, a ona cieszyłaby się jednakowo. Zakochała się. Nie miała wątpliwości, że ten dziwny Holender stał się najważniejszą osobą w jej życiu. Z trudem usiłowała się skoncentrować na pracy dla Piętrowa. Myślała o Derku ustawicznie. Pragnęła kochać się z nim. Do tej pory obce jej były takie myśli. Z własnego wyboru pozostała dziewicą. Zanim poznała Derka, żaden mężczyzna nie działał na nią w ten sposób. O seksie słyszała od znajomych. Przeczytała też parę książek. Matka umarła, nim Larysa dorosła do wieku, w którym wprowadza się dziewczynkę w tajniki dorosłego życia. Przed zniszczeniem Poryni dowiedziała się jedynie, że należy unikać niemieckich żołnierzy, bo gwałcą kobiety. Wtedy nie wiedziała nawet, czym jest gwałt.

W powojennej Rosji nie mówiono młodzieży o seksie. Młode pokolenie nurtowały inne problemy. Trzeba było odbudować kraj, którego zachodnia część została zniszczona. Miasta leżały w gruzach. Wsie zniknęły z powierzchni ziemi. Partia tworzyła szkoły, ale w zamian za to oczekiwała od młodych pomocy w odbudowie ojczyzny. Młodzież sprzątała gruz, rozładowywała wagony i ciężaró

wki przywożące materiały budowlane i pomagała starszym w budowie nowych domów. Larysa, tak jak wszystkie dzieci w jej wieku, dowiedziała się o istnieniu miłości fizycznej, gdy partia uznała to za stosowne. Seks został sprowadzony do funkcji rozrodczej. Nie wydał jej się zbyt interesujący. Nie miała ochoty na doświadczenia. Właściwie nigdy nie traktowała seksu poważnie. Założyła sobie, że kiedyś i na nią przyjdzie pora, a wtedy będzie gotowa.

Teraz wiedziała, że nastał właściwy moment. W wieku dwudziestu pięciu lat nie miała wątpliwości, że spotkała odpowiedniego mężczyznę, człowieka, któremu na niej zależy i który jest w stanie ją zrozumieć. Zazwyczaj przyjeżdżał po nią klekocącą taksówką. Tego wieczoru usłyszała jego głos spod sąsiedniego bloku:

— Dzięki tobie zachód słońca staje się jeszcze piękniejszy! Larysa obejrzała się. Biegł ulicą w jej kierunku, manewrując

między samochodami. Przeraziła się, że tak nierozważnie ryzykuje swoje życie. Było jeszcze coś w Derku, czego nie mogła rozszyfrować. Może krój marynarki, może jego fryzura sprawiały, że nie wyglądał na mieszkańca Europy. A jednak mimo inności wydawał się jej bardziej czarujący niż niejeden Europejczyk.

— Cóż! — powiedział przybliżając się do niej. — Czy nie masz mi nic do powiedzenia po tym, jak przebiegłem pół drogi z hotelu, aby cię zobaczyć? — drażnił się z nią.

— Dlaczego biegłeś? — Uśmiechnęła się. — Mogłeś wziąć taksówkę.

— Nie dowierzam tym starym wrakom. Boję się, że kierowcy w tym kraju zmuszają pasażerów do pomocy w reperowaniu samochodów, gdy ten stanie pośrodku ulicy. Nie chciałem ryzykować spóźnienia na spotkanie z piękną damą. — Położył ręce na jej ramionach i spojrzał w oczy. Potem przyciągnął ją do siebie i pocałował szybko, tak jak kochankowie w parku na filmie, który ostatnio widziała. Czują, że był to specjalny pocałunek świadczący

o tym, że bardzo mu na niej zależało.

— Bardzo miłe — zamruczała, po czym wspięła się na palce

i pocałowała go w ten sam sposób. Była to z jej strony całkowicie nowa reakcja. Nie robiła tego z nikim do tej pory. Teraz wydało się jej to łatwe i naturalne. — Mam nadzieję, że nie jesteś zakłopotany, gdy całuję cię publicznie — dodała, nagle ogarnięta wątpliwościami, czy postąpiła właściwie.

Uśmiechnął się i wziął ją za rękę.

— To było bardzo miłe. Możesz mnie całować na oczach **1** innych, kiedykolwiek zechcesz. A teraz znajdziemy lokal, w którym jeszcze nie byliśmy. Znasz miasto, więc prowadź.

Szli przytuleni do siebie. Wybór wydawał się Larysie bardzo trudny. Rzadko mogła sobie pozwolić na obiady w lokalu. Poza tym w mieście nie było wielu przytulnych miejsc godnych dzisiejszej okazji. Przypomniała sobie nagle o restauracji, w której była parę razy z koleżankami z Moskwy.

— Niedaleko stąd, parę przecznic w lewo, jeśli dobrze pamiętam. — Zawahała się. — To mały lokal w piwnicy, prawie pod ulicą. — Patrzył na nią z uśmiechem. — Byłam tam przedtem z przyjaciółmi. Jedzenie jest przeciętne, ale dają dobre wino i ceny są przystępne.

— Czy byłaś tam z mężczyzną?

— Nie. — Spojrzała ze zdziwieniem. — Dlaczego pytasz?

— Ponieważ jeśli jest naprawdę przytulne i spodoba się nam obojgu, będzie to nasze wyjątkowe miejsce.

— Dlaczego potrzebujemy wyjątkowego miejsca?

— W zasadzie nie potrzebujemy. — Objął ją mocniej. — Pomyślałem tylko, że powinniśmy takie wybrać, bo... bo będziemy się często widywać. Jeżeli zechcesz, naturalnie.

Przeszedł ją dreszcz. Dotąd nie znała podobnego uczucia. Czowała, że jest zakochana. A przecież nie znała Derka Willema! Spotkała go zaledwie kilka dni temu. I choć pracował dla Rosji, był człowiekiem Zachodu. To nie podobałoby się w jej kraju, ale nie dbała o nic.

— Wspaniały pomysł — odpowiedziała, przytulając się do niego.

Restauracja faktycznie znajdowała się tuż pod ulicą. Potrawy były typowo wschodnie. Szef kuchni robił, co mógł, by z dostępnych produktów przyrządzać smaczne dania. Przytulne światło z lichterzy i delikatny dźwięk pianina stwarzały romantyczny nastrój.

— Jak nazywa się ta restauracja? Nie zauważyłem, gdy wchodziliśmy — powiedział.

— Nie wiem. Nigdy nie pamiętam nazw. Wiedziałam tylko, jak tu trafić.

— Musimy się dowiedzieć, zanim wyjdziemy. Jeśli to ma być nasze wyjątkowe miejsce, powinniśmy znać jego nazwę.

— Wiesz, nie będę w stanie dokończyć tej butelki wina. Nie chcę zasnąć. Nie dzisiejszej nocy. — Roześmiała się.

— W porządku. Dam sobie radę. — Podniósł kieliszek do ust. Larysa położyła rękę na jego dłoni. Przyglądała się, jak sączy kolorowy płyn.

— Nic o tobie nie wiem — zaczął. — Ani gdzie się wychowałaś, ani co robiłaś. Opowiedz mi. Chcę wiedzieć wszystko o... — przerwał raptownie w pół zdania na widok reakcji Larysy.

Pobladła, a uśmiech zniknął z jej twarzy. Wolną ręką ścisnęła kieliszek, jakby chciała go zgnieść. Wpatrywała się martwo w punkt ponad jego ramieniem.

— Uważaj, zbijesz kieliszek.

Nie odpowiedziała. Odstawił swą szklanekę i dotknął ręki dziewczyny.

— Nie zbiję. — Spojrzała na niego i potrząsnęła głową. Loki rozsypały się wokół twarzy. — Obiecuję, że nie zbiję. — Zmusiła się do uśmiechu, ale wiedziała, że go nie oszuka. Patrzyli na siebie w milczeniu. Po chwili uspokoiła się i uśmiechnęła, tym razem szczerze. — Czy tak jest lepiej?

— Cudownie. — Pociągnął łyk wina. — Ale chciałbym zadać ci to samo pytanie jeszcze raz. — Skinęła głową.

— Czy otrzymam odpowiedź?

Otworzyła usta, ale nie była w stanie wymówić słowa. Po chwili dopiero powiedziała:

— Musiałam przemyśleć, dlaczego mam opowiedzieć ci wszystko... streścić moje życie... i tak dalej.

— Dlaczego więc zdecydowałaś się to zrobić?

Wzruszyła ramionami. Ponownie spojrzała mu w oczy, oczekując wsparcia. Potem pogłaskała go po rękę.

— Nie mogę powiedzieć, a raczej: nie wiem — przyznała. Mówiła tak cicho, że ledwie ją słyszał. — Nigdy przedtem nie chciałam o tym mówić. Wydawało mi się, że nikogo to nie interesuje. Ale może dla ciebie to ważne...

Dolał sobie wina, czekając na dalszy ciąg zwierzeń. Zrozumiała wtedy, że jeśli mają być sobie bliscy, musi kontynuować.

— Skoro mam opowiadać o sobie, muszę napić się więcej wina. Odwołuję, co powiedziałam wcześniej. Zamów następną butelkę.

Rozpoczęła opowiadać o Poryni. Mówiła o leśnych ścieżkach wiodących do gospodarstwa wuja Michaiła i o tym, jak cieszyły ją przejażdżki na grzbiecie konia, gdy orano pole. Mgliście pamiętała ojca i brata. Niemcy zabrali ich, gdy była bardzo mała. Opowiedziała o schronie w piwnicy i o zniszczeniu ich domu przez pocisk artyleryjski, o nacierających i wycofujących się oddziałach niemieckich, a w końcu o wielkiej bitwie pod Kurskiem, która zrównała z ziemią dosłownie wszystko. Gdy relacjonowała, jak zginęła matka i jak zabójca wpełzł do kryjówki, w jej głosie nie było śladu emocji. Mówiła spokojnie i monotonię z oczami utkwionymi przed siebie. Nie opuściła najmniejszego szczegółu. Jednakże jej bladość i drżące ręce świadczyły, że przeżywała tamtą masakrę raz jeszcze. Morrison nie przerywał tej opowieści. Wojnę przeżyła jak dziecko cygańskie. Potem urzędnicy państwowi zabrali ją do domu dziecka, gdzie sieroty wychowywano według programu partii. Uczyła się świetnie. Była zdolna ponad przeciętną. Dzięki temu w wieku dwudziestu lat zaferowano jej pracę w biurze eksportowo-importowym.

— W ten sposób znalazłam się tutaj, po kilku latach spędzonych w Moskwie. — Nie dodała jednak, że przybycie do Berlina traktowała jako zakończenie pewnego okresu w jej życiu. W głębi serca wiedziała, że spotkanie Derka Willema rozpoczynało nowy etap. Opuściła wzrok.

Zauważył, że oczy miała przepelnione łzami. Wyciągnął chusteczkę i bez słowa starł łzy z policzków. Potem dolał wina. Piła wolno, nadal nie podnosząc wzroku. W końcu spojrzała na niego. Wzięła go za rękę i podniosła ją do ust, a potem przytuliła do policzka. Siedzieli w milczeniu. Kelner przyniósł drugą butelkę wina.

Morrison bał się, że wypowiedziane przez niego słowa przerwa-, łyby łączącą ich magiczną nić porozumienia. W końcu odezwał się:

— Nie, nie trzeba.

Puściła gwałtownie jego rękę i westchnęła. Nastrój przysł. Larysa była rozczarowana. Wiedziała, że on czuje to samo. Akt przytulenia jego dłoni do policzka wyrażał więcej, niż mogłaby przekazać słowami. Opowiadając mu historię swego życia wyczerpała się emocjonalnie. Czuła się, jakby ktoś zadał jej bolesny cios. Po chwili uspokoiła się nieco i ponownie wzięła go za rękę. Całując jego palce, wyszeptwała bardzo cicho:

— Nie chcę zostawać dzisiaj sama. — Zamknęła oczy. — Boję się, że jeśli zostawisz mnie teraz, nigdy więcej cię nie zobaczę.

— Nie wolno ci myśleć w ten sposób. Bez ciebie byłoby mi bardzo źle — odpowiedział szczerze. Do tej pory często składał kobietom fałszywe obietnice. Następnego dnia zastanawiał się, czy spowodował to alkohol, czy nastrój chwili. Teraz jednak mówił zupełnie poważnie. Zależało mu na tej kobiecie.

— Tak długo byłam samotna — zaczęła.

— Czy pójdziesz ze mną? — przerwał.

— Do twojego mieszkania? Skinął głową.

— Nie chcę zostawiać cię samej.

Larysa wiedziała, że znalazła właściwego mężczyznę. Czuła do niego coś więcej niż pociąg fizyczny. Chciała mieć go przy sobie, rozmawiać z nim, trzymać go za rękę. Bała się wrócić samotnie do domu.

— Pójdę z tobą — wyszeptała.

Spędzili ze sobą wyjątkową noc. Kiedy zgasił światło, powiedziała cicho:

— Nie, włącz z powrotem. Chcę zapamiętać każdy szczegół. Chcę wiedzieć o tobie wszystko. I pragnę, abyś i ty nigdy o mnie nie zapomniał.

Kiedy zasnęła wiele godzin później, zgasił lampę. Czuwał, aby spała spokojnie. Nie podejrzewał siebie dotąd o zdolność do troskliwości. Co stanie się z Derkiem Willem za sprawą tej kobiety? — pomyślał.

Larysa obudziła się pierwsza. Przyglądała się jego twarzy w świetle dnia. Czuła instynktownie, że Willem coś przed nią ukrywa. Jego dotknięcia i sposób, w jaki się z nią kochał, nie pasowały do pewnego siebie Holendra, który wszedł do jej biura parę dni temu. Pochyliła się i ucałowała jego ramię.

— Cokolwiek się stanie, wierzę, że będziesz mnie kochał tak mocno, jak ja ciebie — wyszeptała do siebie.

Budził się powoli. Musiał odespać emocje wczorajszego dnia. Był zakochany. Co ważniejsze — uczucie zostało odwzajemnione! Nigdy jeszcze nie przeżył czegoś równie wspaniałego. Tego ranka nie

~ Cienie zemsty



zastanawiał się, jak to miał w zwyczaju, co przyniesie dzień. Larysa zajmowała jego myśli do tego stopnia, że nie był w stanie skoncentrować się na czymkolwiek innym. Nie otwierając oczu, wyciągnął rękę w jej kierunku i...

— Larysa! — Przestraszył się.

Nie było jej w łóżku. Co się stało? Rozejrzawszy się po pokoju, dostrzegł sukienkę leżącą na krześle. Nie odeszła, dzięki Bogu. Odetchnął z ulgą. Drzwi do łazienki były zamknięte. Słyszał szum prysznic. Odprężony zastanawiał się, jak to możliwe, aby przeraził się do tego stopnia jej nieobecnością. Z rękoma założonymi pod głowę czekał cierpliwie. Czy jest tak piękna, jak pamiętał?

Pchnęła drzwi i weszła naga do pokoju. Patrzył na nią z rosnącym zachwytem. Twarz odbijała jej myśli. Larysa poczuła, jak się czerwieni pod jego spojrzeniem. Nigdy jeszcze nie stała rozebrana przed mężczyzną. Nie była w stanie wykonać ruchu w stronę krzesła z ubraniem ani osłonić się rękoma. Nie mogła wymówić słowa. Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło, zanim przemówił:

— Kocham cię, Laryso! — Te słowa wyrwały ją z odrętwienia. — Słyszysz mnie? Kocham cię! Kocham!

Naprawdę! — Nie odpowiadała. — Laryso?

Podbiegła do niego i przytuliła się mocno.

— Tak... tak, słyszę... ja... ja też bardzo cię kocham. — Wbiła paznokcie w jego kark. — Obejmij mnie!

Drżała. Głaskał jej plecy, dopóki się nie uspokoiła.

— Zostańmy tu cały dzień — poprosił.

— Nie mogę. Muszę wracać do siebie, przebrać się i iść do pracy.

— Zadzwoń, że jesteś chora.

— Nie. Och, nie rozumiesz tego, bo nie jesteś jednym z nas. Ciii, nic nie mów — dodała szybko na widok jego zaskoczenia. — Musisz zrozumieć, że nie mogę tak postąpić. Jeśli się nie przebiorę, ktoś doniesie Pietrowowi. Tak już u nas jest. A jeśli powiem, że byłam chora, sprawdzą to. — Uśmiechnęła się na widok niechęci na jego twarzy. — Widzisz? Nigdy tego nie będziesz w stanie pojąć. Jesteś Holendrem i przyzwyczyłeś się do wolności.

— Nie chcę, żebyś mnie zostawiła. Po ostatniej nocy...

— Nie musisz nic mówić. — Dotknęła jego nosa koniuszkiem palca. — Kocham cię. Wiem, że i ty mnie kochasz. Spędzimy ze sobą

jeszcze wiele czasu, ale nie teraz. — Podeszła do krzesła i zaczęła się ubierać. — Jak myślisz, co powiedziałby Pietrow, gdyby zobaczył mnie w pracy w takiej sukience? — Skrzywiła się lekko i mówiła dalej: — Muszę jechać do siebie, żeby się przebrać. Wścibscy i tak zorientują się, że nie było mnie w domu całą noc. Ale może nie będą się tym zajmować, jeśli przyjdę w codziennym stroju.

— Bał się skończył. Kopciuszek musi wracać do domu.

— Co powiedziałaś? Nie rozumiem. — Przechyliła głowę, ze zdziwieniem.

— Kopciuszek z bajki. Nigdy nie słyszałaś?

— Powiedziałaś wiele rzeczy, których nie zrozumiałam. A gdy się kochaliśmy, używałeś nie znanych mi słów. Nie były ani rosyjskie, ani niemieckie.

— Mężczyźni mówią wiele głupich rzeczy w takich chwilach.\*

— W obcych językach? — drażniła się.

— Owszem. Z tobą prawdopodobnie będę robił i mówił rzeczy, o jakich nigdy nie śniłem.

— Mam nadzieję. Chcę wiedzieć o tobie wszystko, a najpierw muszę dowiedzieć się, kim jesteś. Wiem tylko, że po raz pierwszy w życiu zakochałam się. A mężczyzna, którego kocham, stanowi dla mnie zagadkę. —

Roześmiała się. — Co myślisz o takiej kobiecie?

— Kocham ją, ale wygląda na to, że ona chce mnie opuścić. Kiedy spotkamy się ponownie? Poza biurem, oczywiście.

— Dziś wieczorem?

— To niezbyt prędko, ale wydaje mi się, że tylko ten termin nam pozostał. Czyż nie?

Nałożyła sweter i wzięła torebkę.

— Chcesz, żebym przyszła tutaj?

— Tak. Bardzo. Chociaż właściwie nie. Najpierw pójdziemy na obiad. Chciałbym cię przekonać, że jestem cywilizowany, zanim uznasz, że jestem maniakiem seksualnym.

Pochyliła się i ucałowała go szybko.

— Dzięki tobie przeszłam niezwykłą transformację. Odnalazłam nową Larysę i bardzo ją polubiłam. Do wieczora! — Uśmiechnęła się na pożegnanie i zamknęła za sobą drzwi.

Długo nie wstawał z łóżka. Myślał o niej nieustannie. Przed oczami przesuwały mu się kolejne obrazy. Larysa z włosami upiętymi w kok. Larysa z włosami rozsypanych na ramiona. Jej twarz



na poduszce... wystające kości policzkowe... zielone oczy... uśmiech... i to egzotyczne imię — Larysa.  
Larysa... Larysa... Larysa...

Życie Morrisona zmieniło się całkowicie od momentu, w którym zobaczył ją po raz pierwszy. Derek Willem przestał istnieć. Jack zorientował się, co jest naprawdę ważne. Miłość!

Późnym popołudniem dźwięk telefonu wyrwał go z marzeń. Dzwonił Daken. Mówił krótko:

— Zostałeś zdemaskowany, czekaj przy telefonie! Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby cię z tego wypłatać. Nie kontaktuj się z nikim! Nawet z kobietą, z którą się spotykałeś!

# HISTORIA STAŁBY MOSKWA

Nie istniał powód, aby Wiktor Stalbo przeniósł się do Berlina. Posada w Moskwie była równie dobra jak biurko Piętrowa. Miał wysoką pozycję w partii. W zasadzie posiadał nieograniczoną władzę. Przeżył bitwę jako jeden z nielicznych. Podczas jego rekonwalescencji raport lekarza ze szpitala polowego w Liwriym dotarł do Kwatery Głównej generała Rokossowskiego. Głosił, że porucznik Wiktor Stalbo został odnaleziony żywy wśród ciał hitlerowców w spalonej wsi koło Kurska. Wiadomo było, że Niemcy wycofywali się przez te tereny po zacieklej bitwie pancernej. Raport informował dalej, że porucznik utracił pamięć i nie mógł wyjaśnić, w jakich okolicznościach odłączył się od swej jednostki. Podczas rozmowy z pracownikami wywiadu Stalbo przypomniał sobie jedynie, że Niemcy ich otoczyli. Zabił kilku lub kilkunastu. Nie wiedział, ilu zginęło od wybuchu pocisku, który go ranił. Ponieważ wielu żołnierzy radzieckich odłączono od własnych jednostek i przyłączono do innych w trakcie trzymiesięcznej kampanii zakończonej bitwą Pod Kurskiem, nikt nie podważał historii Stałby.

Było zbyt wielu bohaterów tej wojny godnych wyróżnienia. Stalbo miał szczęście. Dano mu szansę wyboru przyszłej pracy. Zdecydował się na NKWD — tajną policję. Szybko piął się do góry. Prot egował go sam Ławrientij Beria, prawa ręka Stalina. W miarę jak Beria rósł w siłę, Stalbo umacniał swą pozycję. Miał reputację

rzeźnika i oprawcy. Nikt nie śmiał kwestionować jego decyzji. We właściwym czasie przeniósł się do potężniejszego MWD, a potem do KGB. Już miał ogromną wiedzę. Rozumowanie Stałby było proste i logiczne. Doszedł do wniosku, że zdoła utrzymać tajemnicę swojego nazwiska dzięki pracy w tajnej policji. Tam upewnił się, że wszyscy krewni prawdziwego Stałby przepadli bez wieści. Istniała możliwość, że żołnierze rosyjscy lub niemieccy, którzy pamiętali go z armii Własowa jako Jurija Sikorskiego, ocalili ze straszliwej rzezi na froncie. Zanim jednostki sowieckie dotarły do Berlina, spowodował śmierć trzech osób, które mogły go rozpoznać. Gdy w 1946 roku NKWD stało się MWD, uznał, że jego przeszłość została zatarta. Pozostawał jednak do rozwiązania jeden problem. Każdego dnia dręczyła go świadomość, że istnieje osoba zdolna odkryć jego przeszłość. Myśl o niej stała się obsesją, mimo że ranga majora dawała mu szerokie pole do działania. Larysa. Znał tylko imię. Partyzanci, którzy zabrali ją ze szpitala polowego w Liwnym, zniknęli w lasach. Nie znał nawet nazwiska kobiety, która zabrała dziewczynkę. Odnalezienie małej wydawało się niewykonalne. Stalbo usiłował wmówić sobie, że zginęła w lesie z partyzantami, ale wspomnienie wyrazu jej twarzy, gdy wczołgał się do cuchnącej kryjówki, prześladowało go codziennie. Podejrzewał, że była świadkiem masakry żołnierzy oraz morderstwa matki. Jeden z najpotężniejszych ludzi w Moskwie drżał ze strachu na myśl o małej dziewczynce. Jej zabrudzona, blada twarz pojawiła mu się przed oczami, gdy przeczytał wiadomość od Piętrowa. Przypomniał sobie pełne przerażenia spojrzenie dziewczynki, gdy jego ludzie poinformowali go, że Derek Willem jest w rzeczywistości amerykańskim agentem. Myślał o niej, gdy wydał rozkaz schwytania Amerykanina i przeniesienia pracowniczki biura Piętrowa. Kimkolwiek była, jej przydatność dla biura skończyła się, choć raport zapewniał, iż nie miała pojęcia, kim jest Willem. Stalbo jednak nie miał czasu, by analizować takie problemy. Sprawa wydawała mu się prosta. Pierwsze dane o rozpoznaniu Amerykanina przyszły z pewnego źródła w Berlinie Zachodnim, gdy Willem przekroczył granicę. Wiadomość przekazano do Moskwy do KGB. Stalbo zainteresował się tym przypadkiem. Ostatnimi czasy Amerykanom udawało się przechwytywać wiadomości o działalności tajnej policji. Do jego zadań należało ukrócić

tych poczynań. Derek Willem stanowiłby wspaniałe źródło informacji. Można by go zwrócić Ameryce po uprzednim wypraniu mózgu. Jednakże raporty ze wschodniego Berlina świadczyły, że nic nie było łatwe w tych czasach. Stalbo przeczytał raport dwukrotnie.

Wywiad wykazał, że interesująca nas kobieta, L. Alusza, pracowniczka biura importowo-eksportowego, opuściła pokój podejrzanego o 6.15 rano. D. Willem prawdopodobnie otrzymał telefon wkrótce potem i pozostał w hotelu. Podsluch nie został dotąd założony. Na naszą prośbę agenci MWD zostali rozlokowani wokół wyjścia hotelowego, na klatce schodowej prowadzącej na piętro oraz po obu stronach korytarza. Zgodnie z rozkazem L. Alusza została zabrana z miejsca pracy, aby uzmysłwić towarzysowi Pietrowowi skuteczność KGB. Trzy godziny przesłuchiwania jej nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. L. Alusza знаła Amerykanina jako Derka Willema. Twierdziła, nawet po zastosowaniu serum, że nie miała pojęcia o jego pracy dla wywiadu. Nasz miejscowy specjalista, doświadczony w tego typu przesłuchaniach, potwierdził, że nie posiada ona istotnych informacji. Histeryczny wybuch po odzyskaniu przez nią świadomości wskazuje na emocjonalne więzi łączące ją z Willemem, co może zostać wykorzystane później.

Do godziny 15.13 nie miałem rozkazu aresztowania Willema. Przypuszcza się, że dwaj agenci amerykańscy pojawili się pod drzwiami Willema około 15.30. Przybyliśmy trzy minuty później. Ostrzeżono nas, że podejrzany znajduje się pod ochroną swoich ludzi. Wydałem rozkaz, aby uniemożliwiono Willemowi wyjście na ulicę. Jednak nie zostaliśmy poinformowani, że Amerykanie zajmowali również drugi pokój sąsiadujący z pokojem Willema.

Gdy wyszedł on na korytarz pod osłoną dwóch goryli, nastąpiła wymiana ognia. Willem schronił się z powrotem w pokój. Byłem pewien, że wyszedł bez szwanku. Nakazałem wzmocnionej załodze, złożonej z agentów KGB i MWD, wkroczyć siłą do pokoju Willema. W tym momencie agenci amerykańscy z sąsiedniego numeru otworzyli ogień.

Dwóch agentów KGB i dwóch MWD zmarło w wyniku strzelaniny. Dwóch zostało rannych. Straty amerykańskie wyniosły dwóch zabitych i trzech rannych. Willemowi udało się zbiec

do Berlina Zachodniego. Miejsca jego pobytu do tej pory nie znamy. Wywiad sugeruje, że Willem może być pseudonimem J. Morrisona (miejsce urodzenia i inne dane nieznane).

Polecenia: 1) W. Pietrow powinien przyjechać do Moskwy na przesłuchanie. Prawdopodobnie wiedział o związku Willema z L. Alusztą. Należy zapobiec dalszym koneksjom z Amerykanami. 2) L. Alusztą ma zostać przeniesiona do pracy w Moskwie. Wydaje się, że jej udział w sprawie miał charakter jedynie emocjonalny. Ocena jej dotychczasowej pracy – wzorowa. 3) Jest konieczne zdobycie dalszych danych o Willemie – Morrisonie z okresu, nim wykryto jego podwójną rolę. Należy rozpocząć pełne dochodzenie. Dodatkowe informacje o agencji amerykańskiej J. Morrisonie są przygotowywane przez nasze biuro.

Również raport amerykański zainteresował **Stalbę**. Pojawił się na jego biurku parę dni później w związku z opóźnieniem w Amsterdamie. Stalbo **był** w stanie uzyskać prawie każdy raport z przeciwnej strony, jeśli tego bardzo chciał. Zasadniczo Amerykanie potwierdzili dokładnie doniesienia jego agenta. Niepokoili go jednak pewne fragmenty.

1) W dniu gdy Morrison przekroczył granicę wschodniego Berlina, Kwatera Główna KGB w Moskwie została poinformowana o tym. Nasz moskiewski agent szuka źródła informacji.

2) Drugi agent został wysłany do biura w Amsterdamie, skąd z wewnętrznych źródeł informacji również dano znać Moskwie o misji Morrisona. Wszczęto oddzielne śledztwo przez Londyn.

3) Wszystkie raporty wskazują, że Wasilij Pietrow z sowieckiego biura Import- Export w Berlinie wschodnim nie znał prawdy o faktycznej działalności Morrisona. Metamorfoza Morrisona okazała się idealna dla celów jego misji. Jej niepowodzenie związane jest z działalnością wywiadu sowieckiego w naszym aparacie.

4) Morrison wykonywał wszystkie polecenia. Agenci są Instruowani, aby nawiązywać kontakty z pracownikami docelowych firm. Wstępne badania wykazały, że Morrison nie naraził misji na niebezpieczeństwo z powodów emocjonalnych. Daken

analizuje sytuację. Należy oczekiwać wyników w późniejszym terminie. Uwaga: potwierdzono, że Rosjanka nic nie wiedziała o misji Morrisona ani nie znała jego prawdziwego nazwiska.

**5) Nasze dochodzenie wykazało, że zarówno sowieccy, jak i amerykańscy agenci nie zdawali sobie sprawy ze stopnia zaangażowania strony przeciwnej w sprawę Morrisona. Zostanie on zwolniony z biura w Amsterdamie i przewieziony do Stanów przez Londyn. Możliwa zmiana trasy.**

Raport przekazywał jeszcze więcej informacji, ale Stalbo miał już dosyć. Do analizy raportów amerykańskich istniała specjalna instytucja. Postanowił zasięgnąć jej pomocy.

W następnych tygodniach Kwatera Główna KGB w Berlinie wschodnim oznajmiła, że agent amerykański usiłował nawiązać kontakt telefoniczny i listowny z kobietą, która pracowała w biurze Import-Export. Czy powinien pozwolić na wznowienie związku? Stalbo rozważał ten pomysł do momentu, gdy dowiedział się, iż Morrison w Stanach przechodził szkolenie zwane reorientacją. Rozumiał kryjące się za tym powody. Sam w podobny sposób szkolił swoich ludzi, **którzy** popełnili błąd, angażując się emocjonalnie w trakcie wykonywania zadania. Odpowiedź dla Berlina była krótka. Zrobić wszystko, aby przekonać zainteresowanych, że kobieta nie żyje! W KGB istnieli specjaliści od perswazji.



W tym celu należało przede wszystkim wypracować jednolity system polityki gospodarczej, któryby umożliwił państwu wywzrost i rozwój. W tym celu należało przede wszystkim wypracować jednolity system polityki gospodarczej, któryby umożliwił państwu wywzrost i rozwój. W tym celu należało przede wszystkim wypracować jednolity system polityki gospodarczej, któryby umożliwił państwu wywzrost i rozwój.

2) Drugi etap polegał na wypracowaniu jednolitego systemu polityki gospodarczej, któryby umożliwił państwu wywzrost i rozwój. W tym celu należało przede wszystkim wypracować jednolity system polityki gospodarczej, któryby umożliwił państwu wywzrost i rozwój.

3) Wzrost państwa w tym czasie był wynikiem jednolitego systemu polityki gospodarczej, któryby umożliwił państwu wywzrost i rozwój. W tym celu należało przede wszystkim wypracować jednolity system polityki gospodarczej, któryby umożliwił państwu wywzrost i rozwój.

4) Monopol państwa w tym czasie był wynikiem jednolitego systemu polityki gospodarczej, któryby umożliwił państwu wywzrost i rozwój. W tym celu należało przede wszystkim wypracować jednolity system polityki gospodarczej, któryby umożliwił państwu wywzrost i rozwój.



W tym celu należało przede wszystkim wypracować jednolity system polityki gospodarczej, któryby umożliwił państwu wywzrost i rozwój. W tym celu należało przede wszystkim wypracować jednolity system polityki gospodarczej, któryby umożliwił państwu wywzrost i rozwój.

# HISTORIA LARYSY MOSKWA

## D

Od końca czerwca Larysa zobaczyła fotografię w gazecie. Siedziała na drewnianej ławce w parku Dynamo. Szeleściły zielone liście drzew. Wypielęgnowane kwiaty na kwietnikach układały się w geometryczne wzory. Krzyki i śmiech dzieci, kąpiących się w olbrzymiej sadzawce, wypełniały powietrze. Na kocach leniwie wylegiwały się odbywające piknik rodziny.

Nie kupiła tej gazety. Znalazła ją na ławce. Zazwyczaj nie zwracała uwagi na dzienniki moskiewskie, ponieważ znajdowała w nich jedynie propagandowe i bezużyteczne informacje. Przez przypadek spojrzała na nagłówki. Z nudów zaczęła przerzucać kartki, obserwując jednocześnie młodą parę obejmującą się czule na sąsiedniej ławce. Przypomniała sobie swą jedyną noc z jedynym kochankiem. Nadal kochała Derka Willega. Nie interesowali jej mężczyźni, których spotykała w Moskwie. Willem w przeciągu paru dni uświadomił jej, czym może być miłość. Westchnęła na myśl, że opuścił ją, gdy go najbardziej potrzebowała. Automatycznie przerzuciła stronę gazety.

Jej wzrok padł na zdjęcie mężczyzny. Rozpoznała tę twarz!

Nie miała wątpliwości. Upłynęło ponad dwadzieścia lat, ale prawie się nie zmienił. Przerzedziły mu się włosy i pojawiły zmarszczki. Gdy go widziała wtedy, twarz miał pokrytą brudem i krwią, ale okrutne, błękitne oczy osadzone zbyt blisko siebie, ostry nos<sup>1</sup> wystające kości policzkowe wskazywały bez wątpienia, że to on.



W 1943 roku była zbyt mała, by zdać sobie sprawę, że ten mężczyzna uosabiał klasyczne cechy aryjskie. Pamiętała, że twarze mieszkańców okolic Kurska były kwadratowe, a nosy szerokie. Wstrząsnął ją dreszcz. Na twarzy odmalowało się cierpienie. Fotografia z gazety zniknęła jej z oczu. Zastąpił ją obraz matki biegnącej po zabłoconej, pełnej odłamków artyleryjskich drodze w Poryni. Słyszała rozpaczliwe wołanie: „Larysa! Larysa!” Wzdrygała się na wspomnienie każdego strzału. „Larysa! Larysa!” Zakrwawione, podziurawione kulami i wpadające do rowu ciało — to ostatni obraz matki, który wrył się jej w pamięć. „Larysa! Larysa!” Wołanie nie przestawało pobrzmiwać w jej uszach, gdy znów wpatrywała się w fotografię. Widniała na niej twarz mordercy. Nie dbała o żołnierzy zastrzelonych jego ręką, choć nienawiść do zdrajców przepelniała jej serce tak samo jak większości Rosjan. Ten mężczyzna z zimną krwią zamordował jej matkę, a potem wpełzł do jej kryjówki, szukając schronienia! Myśl, że mógł przeżyć, często dręczyła Larysę. Już dawno postanowiła pomścić śmierć matki, gdyby odnalazła go kiedykolwiek.

Teraz wiedziała, gdzie szukać!

Powoli doszła do siebie. Nienawiść wyparła początkowy strach. Pochyliła się i przeczytała notę pod fotografią: „Generał Wiktor Stalbo jest kandydatem na członka Komitetu Centralnego KPZR”. Nota informowała dalej o jego przeszłości i obecnej pozycji w KGB. Larysa zdała sobie sprawę, że nic gorszego nie mogło się przytrafić. Nie dość, że osoba, której nienawidziła najbardziej na świecie, żyła, to jeszcze na dodatek zajmowała wysokie stanowisko w partii. W tej sytuacji bezpośrednia konfrontacja stała się niemożliwa.

Ostrożnie złożyła gazetę. Stalbo — sam dźwięk jego nazwiska drażnił, choć było ono dosyć popularne w Moskwie. Powtarzała je w myślach, aż nabrało złowieszczonego charakteru. Było jakby stworzone dla bestii! Stalbo. Z całą pewnością wybrał odpowiednią pracę — w KGB.

Zacząła się zastanawiać, w jaki sposób mogłaby go zgładzić. Nie miała nikogo bliskiego. Zemsta stała się jedynym celem w jej życiu. Im więcej jednak o tym myślała, tym większe ogarniały ją wątpliwości. Jeżeli jej się nie powiedzie, Stalbo ucieknie. Zaślepiona gniewem i nienawiścią, nie spostrzegła nawet, w jaki sposób znalazła się przed fasadą swego domu. Jak w transie zaczęła wspinać się po brudnych schodach.

Rozłożyła gazetę na wielofunkcyjnym stoliku w swym małym apartamencie. Z fotografii spoglądał na nią Wiktor Stalbo. Pomyślała, że nie ona powinna bać się tego mężczyzny. To on przeraziłby się, wiedząc, jaką zemstę mu poprzysięgła. Lecz jak to zrobić? W jaki sposób zabić generała KGB? Jak dostać się do niego? Skąd wziąć pistolet? W Moskwie nie było łatwo o broń, a musiała zdobyć pistolet. Nie mogła sobie wyobrazić zabójstwa przy użyciu noża. Nie byłaby w stanie zbliżyć się do niego dostatecznie blisko. Poza tym była zbyt słaba fizycznie, aby zasztyletować silnego mężczyznę. Pistolet wydał się najlepszym rozwiązaniem. Jeden strzał i po wszystkim.

Tego samego dnia, prawie o północy Larisa zdała sobie sprawę, że nie zdoła zgładzić Stałby samotnie. Przez lata wyobrażała sobie słodki smak zemsty. Rzeczywistość okazała się diametralnie inna. Sam akt zabójstwa nie należał do prostych. Wymagał dokładnych przemyśleń, planów i maksymalnej koncentracji. Odrzuciła pomysł podłożenia bomby. Mogłoby to narazić na szwank innych. Chodziło jej tylko o Stałbę. Nie będzie w stanie zniszczyć go samotnie. Musi znaleźć współnika zbrodni.

Parę godzin później przyszedł jej do głowy najlepszy pomysł z dotychczasowych. Zabójstwo Stałby to nie wszystko. Pragnęła go poniżyć. Chciała, by cierpiał przed śmiercią. Zadanie bólu to niezbyt dobra kara dla takiego człowieka. Zdecydowała się na zdemaskowanie go.

Przez następne dni Larisa zajęła się studiowaniem rozkładu pracy personelu Ambasady RFN w Moskwie. Kilkakrotnie weszła do środka, przyglądając się zdjęciom pracowników. W rezultacie potrafiła rozpoznać każdego, a w szczególności sekretarza, który spędzał przerwę na lunch, spacerując po pobliskim zoo. Był to dobrze ubrany młody mężczyzna, niewiele starszy od Larisy. Postanowiła go poznać. Bardzo ryzykowała. Jeżeli zgodnie z przepisami doniosłby władzom, że usiłowała nawiązać kontakt z zagranicznym dyplomatą, byłaby skończona.

W pewien zimny, pochmurny piątek impulsywnie wykonała pierwszy ruch. W zoo pojawiło się mniej zwiedzających niż zazwyczaj. Niemiec jadł loda, siedząc na ławce za klatkami białych

niedźwiedzi. Larysa usiadła obok. Od powrotu z Berlina rzadko posługiwała się niemieckim. Ćwiczyła jednak zawzięcie od momentu, gdy dokładnie ustaliła plan poznania cudzoziemca.

— Przepraszam, Herr Gunther — zaczęła.

— Słucham? — Odwrócił się w jej stronę. Milczała. Zapytał zaintrygowany: — Czy my się znamy?

— Nie. Nigdy się nie spotkaliśmy. Od dawna jednak chciałam z panem porozmawiać. — Ku jej rozpaczy nie zabrzmiało to tak, jak przedtem zaplanowała.

— Zdaje sobie pani sprawę, że oboje możemy mieć wiele kłopotów?

— Czy mówię aż tak źle po niemiecku? Kiedyś mówiłam całkiem dobrze.

— Pani niemiecki jest bardzo dobry. Zdradza panią jedynie akcent. Chociaż, muszę przyznać, brzmi atrakcyjnie.

— Uśmiechnął się do niej. Odwzajemniła uśmiech. — Czy to jakaś sztuczka, aby mnie skompromitować?

Otrząsam się na myśl, że piękna młoda Rosjanka próbuje mnie wykorzystać.

— Nie. To nie jest tak, jak pan myśli. — Wzięła głęboki oddech i ciągnęła dalej: — Podam panu swoje nazwisko. Proszę je zapamiętać. Larysa Aluszta.

— Łatwo zapamiętać, Larysa. Śliczne imię.

— Pan się ze mną droczy.

— Skądże. Musi pani popracować nad swoim niemieckim. Naprawdę uważam, że to ładne imię. No dobrze, Laryso Aluszto, czego pani chce ode mnie? Moje pełne nazwisko brzmi Ernst Gunther.

— Wiem o tym. Wiem również, że jest pan pomocnikiem ambasadora.

Spojrzał na nią z zaskoczeniem. Skąd wie to wszystko?

— Pani lód się topi — wskazał na strużkę na jej ręce. — A więc, czy to pułapka? A może próbuje pani poderwać przystojnego niemieckiego dżentelmena z bardzo dobrej rodziny?

— Proszę nie kpić. Zna pan moje nazwisko. Chciałabym, aby mi pan pomógł. Jest pan w stanie sprawdzić pewien incydent, który przytrafił się we wschodnim Berlinie parę lat temu. Byłam zatrudniona w rządowym Biurze Importowo-Eksportowym. Nie znam powodów, dla których zostałam odesłana z powrotem do Moskwy.

— Obawiam się, że nie rozumiem, do czego pani zmierza — przerwał z uśmiechem. — I nie wydaje mi się, żebyem mógł pomóc w pani problemach z rządem. Jest pani piękną kobietą, lecz pomoc byłaby wbrew przepisom pani kraju i wbrew polityce mojego.

— Zdaję sobie z tego sprawę, Herr Gunther. Ale wiem coś, co może zainteresować pana i pański rząd. Najpierw muszę się jednak upewnić, że mi pan wierzy. Czy rozumie pan?

— Tak, lecz jak mogę pani wierzyć? — Jego kwaśny uśmiech demonstrował zdziwienie, że rosyjska kobieta śmiała zaczepić go w ten sposób.

— Błagam, aby poszedł pan do ambasady i sprawdził... To stało się trzy lata temu tego miesiąca. Będzie pan w stanie mnie zidentyfikować. Potem może zechce pan ze mną porozmawiać. Był w to też zamieszany Holender, Derek Willem. — Nie miała pojęcia, dlaczego incydent w Berlinie miałby sprawić, że Niemiec chciałby z nią porozumieć. Instynktownie czuła jednak, że za sprawą kryło się więcej, niż wiedziała. Postanowiła pójść na całość, aby zdemaskować Stalbę.

— Czy to wszystko, czego pani żąda? Dowiedzieć się, dlaczego miałbym chcieć rozmawiać z Larysą Alusztą po sprawdzeniu czegoś, co stało się trzy lata temu? — Był prawdziwie ubawiony.

— Nie zrobi pan tego? — A jeśli zrobię?

— Będę tu przychodzić codziennie w przyszłym tygodniu. Właśnie tu, koło klatek z niedźwiedziami. Jeśli pan lub ktoś z pańskich ludzi zechce się ze mną skontaktować, jestem w stanie dostarczyć kluczowych informacji o pewnym człowieku. Oczywiście rozumie pan, że nie robiłabym tego, jeśli nie byłoby to ważne dla mnie. — Spojrzała mu w oczy. — Bardzo pana proszę. Teraz muszę już iść. Spóźnię się do pracy. — Powiedziawszy to, wstała i odeszła, pełna desperackiej nadziei, że zwróciła się do właściwej osoby.

Ernst Gunther czekał koło klatek z niedźwiedziami w następnym Poniedziałek. Miał zagadkowy wyraz twarzy. Podeszła do niego, r<sup>o</sup>zglądając się uważnie.

— Czy nikt nie zwrócił na panią uwagi?

— Byłam ostrożna. Kontaktowanie się z panem może przy-sporzyć немало kłopotów. Czy nie rozumie pan, co dzieje się w tym kraju? Proszę nie zapominać, że nie jesteśmy w Niemczech.

— Przepraszam. Nie chciałem pani denerwować. Nie przychodziłbym, gdybym nie był przekonany, że sprawa jest poważna.

— Bardzo poważna — dodała. — Jestem śmiertelnie przerażona.

— Z tego co wiem, ma pani powody do obaw.

— Czyżby wiedział pan coś, czego ja nie wiem? — Uniosła brwi.

— Przejrzeliśmy akta. Miała pani rację. — Milczał przez moment, szukając odpowiednich słów. — Spotykała pani wielu bardzo interesujących ludzi — dokończył.

Larysa pomyślała, że próbuje ją wy badać. Zastanawiała się, jakie otrzymał wskazówki co do postępowania z nią.

— To prawda, chociaż ostatnio z nikim takim nie miałam styczności. Niepokoi mnie jednak incydent z Berlina.

— Nie dziwi mnie to. Z tego co zdołaliśmy się zorientować, nie była pani zamieszana w strzelaninę. Czy wie pani, ile osób zginęło?

Nie musiała nawet odpowiadać. Zrozumiał, zobaczywszy zszokowany wyraz jej twarzy i rozwarłe szeroko oczy.

— Ja... Ja... nic nie wiem o strzelaninie, kto...? — Czy możliwe, aby zginął jej Holender?

Gunther był teraz pewien, że ich założenia okazały się słuszne. Musiał jednak postępować zgodnie z zaleceniami. Sekcja wywiadowcza przeszkoliła go dokładnie, aby nie mówił tego, czego nie musi. Panna Alushta otarła się, świadomie czy też nie, o wyższych rangą pracowników KGB. Miał nie informować jej o tym, tylko zorientować się, co wiedziała, unikając — na ile to możliwe — wtajemniczenia jej w szczegóły. Przekonał się, że o strzelaninie usłyszała po raz pierwszy.

— Może to się stało, gdy pani została zatrzymana. Czterech waszych ludzi, dwóch z MWD, dwóch z KGB, zginęło w wyniku wymiany ognia. Poległo też dwóch Amerykanów. Nie wiedziała pani o tym? — Przyglądała mu się z tępym wyrazem twarzy. — Chodziło im o pani chłopaka, Morrisona.

— Ja... Ja nie znam żadnego... Morrisona. — Wymówienie tego nazwiska sprawiło jej kłopot. Gunther nie miał wątpliwości, że mówiła prawdę. Jej oczy wypełniły się łzami. — Czułam, że jest



w nim coś nieodgadnionego, ale... — Przygryzła wargi, aby powstrzymać szloch. — Ale nie wiedziałam, że był zamieszany w taką sprawę.

— O kim pani teraz mówi? — Kazali mu dowiedzieć się, ile ona wie.

— Derek... Derek Willem... Holender.

— Nie było między nimi żadnego Holendra.

— Nie? — Łzy spływały jej po policzkach.

— Człowiek, którego pani poznała, był amerykańskim agentem. Nazywał się Jack Morrison.

— Morrison... — powtórzyła nazwisko, starając się wymówić je prawidłowo.

— Właśnie tak, Jack Morrison. W tym czasie pracował w Amsterdamie.

Skinęła głową.

— Miał nam sprzedać sprzęt elektroniczny z USA. Chyba rozumiem... — przerwała nagle, ogarnięta przerażeniem. Czy to możliwe, aby go... Chwyciła Niemca za rękę. — Czy został zabity?

— Nie, ale to on spowodował całe zamieszanie. Amerykanom udało się przemycić go przez granicę. Jak nam wiadomo, od tamtego czasu ciągle przebywa w Stanach. Najwidoczniej jego przełożeni nie byli pewni, czy nie spowodował części problemów z własnej winy.

— Ale on żyje — powiedziała z ulgą.

— Owszem — odpowiedział Gunther. — A teraz do rzeczy. Powiedziała pani, że posiada dla mnie informacje. Nie możemy siedzieć tu zbyt długo. Co ma pani do zaoferowania?

Sięgnęła do torebki i wyciągnęła gazetę.

— Czy zna pan tego mężczyznę? — zapytała.

Spojrzał na fotografię Stałby, a potem z powrotem na Larysę, by upewnić się, czy nie żartuje. Każdy wiedział, kim jest Wiktor Stalbo! Instynktownie wyczuł, że kobieta była śmiertelnie przerażona.

— Tak. Myślę, że wszyscy znają jego pozycję w KGB.

— Co by pan powiedział na to, że służył kiedyś w armii niemieckiej?

— Trudno mi byłoby w to uwierzyć.

— A jeśli powiedziałabym panu, że podczas wycofywania się wojsk niemieckich zabił kilku swoich żołnierzy i w popłochu przebrał się w rosyjski mundur?

— Dlaczego panią to interesuje? — Gunther zaczął się niecierpliwić.  
— Zamordował moją matkę. Bestialsko. Z zimną krwią...  
— Zwraca się pani z tym do mnie? Dlaczego nie zgłosi się pani na milicję albo nie zabije go pani własnoręcznie, jeśli chce pani wymierzyć sprawiedliwość?  
— Nie rozumie pan chyba tego kraju, Herr Gunther. Czy sądzi pan, że generał Stalbo codziennie udziela publicznych audiencji?  
— Nie. Oczywiście nie — odpowiedział zirytowany. — Jestem pewien, że nie wie pani, iż tym, który ścigał i nieomal zabił pani amerykańskiego przyjaciela Morrisona, był właśnie Stalbo.  
Na jej twarzy nie odmalowały się żadne emocje. Powiedziała tylko:  
— Ach tak. Rozumiem. — Ruchem pełnym kobiecości poprawiła włosy wzburzone przez powiew wiatru. Udobruchało to trochę Gunthera. — Skoro nie mamy wiele czasu, czy interesuje pana, co mam do powiedzenia o Stalbie? O tym, jak zamienił mundur niemiecki na rosyjski?  
— Najpierw muszę porozumieć się z moimi ludźmi. Bardzo możliwe, że zdemaskowanie generała KGB w obecnej chwili będzie dla nas korzystne. — Nie dać jej do zrozumienia, jak bardzo zależało im na Stalbie! — Czy jest pani gotowa na wszystko, jeśli zdecydujemy się na rozmowy?  
Skinęła głową.  
— Zrobił mi tyle złego, jak nikt na świecie.  
— Skontaktuję się z panią tak szybko, jak to możliwe.  
— Będę tu jutro.  
— Nie. Potrzebujemy czasu, aby porozumieć się z naszymi ludźmi w Niemczech. Spotkamy się za dwa dni. Ernst Gunther nie mógł powiedzieć ani swym zwierzchnikom w ambasadzie, ani Larysie jednej rzeczy: jak wielkie wrażenie wywarła na nim. Nie potrafił określić momentu, w którym poczuł, że jest w niej zakochany. Może stało się to w chwili, gdy obserwował, jak wiatr rozwiewał jej włosy, a ona usiłowała je poprawić. Wiedział, że to uczucie przysporzy mu niemało kłopotów. Przede wszystkim było wbrew jego etyce zawodowej. Został wyznaczony do cichej

pracy w placówce moskiewskiej. Nie mógł nikomu przyznać się, że zakochał się w pierwszej rosyjskiej kobiecie, która nawiązała z nim kontakt. Najgorsze ze wszystkiego, że jego przełożeni nie interesowali się Stałbą, a przynajmniej tak utrzymywali.

— Musisz zrozumieć, Gunther — mówił szef sekcji wywiadu — że nie zajmujemy się wszystkimi z K.G.B. Stałbo ma poparcie Politbiura. Nie można zniszczyć takiego człowieka na podstawie zeznań kobiety, która pragnie pomścić śmierć swojej matki z czasów bitwy pod Kurskiem.

Musiał przyznać, że ich argumentacja była przekonująca.

— Ale gdybyście spotkali tę kobietę, zrozumielibyście, że sprawa jest istotnie poważna. Generał Stałbo to oszust. Widziała, jak po zamordowaniu własowców przebrał się w rosyjski mundur. Wszystko wskazuje na to, że jest niemieckim zdrajcą. — Robił wszystko, aby zmienili zdanie.

— Ile mówiłaś miała wtedy lat?

— Sześć, ale...

— Doprawdy, Gunther, lepiej przejrzałbyś podręczniki historii. Jeżeli była wtedy tam, gdzie utrzymuje, to znaczy w wiosce Poryni, wydaje się cudem, że przeżyła. Poza tym wyobraź sobie, jak dzieci przeżywają czasy wojny.

— Ale jej opis całego wydarzenia i obecna pozycja Stałby...

— Gunther, czy panna Alushta jest atrakcyjną kobietą?

— Bardzo.

— Jak wygląda?

Opisał jej jasne włosy, fascynujące zielone oczy i lekko wystające kości policzkowe.

— Ma niezłą figurę? — niewinnie zapytał główny asystent sekcji.

— Zupełnie jak Europejka — odpowiedział spontanicznie Gunther. — Szczupła, lecz zaokrąglona gdzie trzeba. Nie tak jak te wszystkie rosyjskie kobiety.

— Rozumiem więc, dlaczego tak cię zainteresowała jej sprawa. Nie twierdzą, że historia jest fałszywa, ale nie jesteśmy w stanie zniszczyć Stałby. Wróć do niej i wyjaśnij, że nie możemy jej pomóc. Podziękuj za gotowość do współpracy z nami. Potem przekonamy się, na ile jest dalej zainteresowana zemstą, wykorzystując ciebie lub nas.

— Tak jest. — Nie było sensu wdawać się w dalsze dyskusje.

— Zdajesz sobie sprawę, że kobieta może być podstawiona. Pięknym dziewczynom najłatwiej nawiązać bliższy kontakt z kimś takim jak ty, a potem go szantażować. — Uśmiechnął się znacząco. — Wiesz co mam na myśli? — Tak. — Było to prawdopodobne. Jednak Gunther wątpił. Jej piękna, szczerą twarz przekonałaby każdego, że mówi prawdę.

Gdy Larysa zobaczyła Gunthera idącego w jej stronę, wiedziała, że nic nie udało mu się załatwić. Wyglądał tak nieszczęśliwie, że prawie go pożałowała. Ze sposobu, w jaki na nią patrzył, zorientowała się natychmiast, że padł ofiarą miłości.

— Nie chcą pani pomóc — zaczął. — Właściwie to niezupełnie tak. Nie ufają pani. Może pracuje pani dla Stałby i...

— Cholera! — wykrzyknęła. Z jej ust popłynęła wiązanka przekleństw w jej ojczystym języku. Z płonącymi oczami spytała: — Kim oni się bawią, panem czy mną? Czy przysyłałoby pana z powrotem, gdyby nie mieli w tym interesu? Proszę rozejrzeć się wokół siebie. Widzi pan kogoś znajomego?

Oczy Gunthera błądziły po tłumie. Nagle dostrzegł głównego asystenta kupującego lody po przeciwnej stronie placu. Spojrzał na nią cieleńco.

— Tak. Chyba są bardziej zainteresowani, niż myślałem. Nie ufają mi, ponieważ... powiedziałem, jaka pani jest piękna... i myślą, że... — zaplątał się.

— Ten człowiek wie, że pan go zauważył. Dlaczego nie zawoła go pan tutaj? — Błąd, uzmysłowiła sobie. Nie było sensu niepotrzebnie robić zamieszania. — Nie, proszę o tym zapomnieć. Mogłoby to wzbudzić podejrzenia. Zwróciłam się do pana, bo nie chciałam zostać dostrzeżona. Co powinnam teraz zrobić? — zapytała cicho.

Gunther przypomniał sobie, że szef wspominał, aby wszystko, co mówiła, spisać na papierze.

— Czy napisze pani coś dla mnie? Proszę spisać wszystko, co pani pamięta o masakrze w Poryni i o wydarzeniach w Berlinie. Dzięki temu szybko sprawdzą fakty! Przekonają się, że pani historia nie jest zmyślona

— dodał niezręcznie. Spojrzał znów w stronę budki z lodami. Tym razem nie dostrzegł nikogo znajomego, ale asystent był gdzieś w pobliżu na pewno. Nie miał już wątpliwości, że

zainteresowała ich ta kobieta. A jego użycie w charakterze postańca. — Wydaje mi się... nie, jestem pewien, że bardzo zależy im na tej sprawie.

— Nie rozumiem, co się dzieje, Herr Gunther. Jeśli usiłowali mnie przestraszyć, udało im się. Dlaczego pańscy ludzie zachowują się w ten sposób?

— Doprawdy nie wiem. Proszę mi wierzyć, wszystko to jest dla mnie całkiem nowe. To przecież pani podeszła do mnie, czyż nie?

Skinęła głową. Przyglądała się ludziom w obawie, że ktoś jeszcze mógł ich szpiegować. Nikt jednak nie zwracał uwagi na ich rozmowę.

— Jak długo zajmie pani spisanie całej historii? Wzruszyła ramionami.

— Dzisiejszy wieczór. Jeśli to konieczne, dostarczę ją jutro. Czy przyjdzie pan tutaj?

— Może spotkamy się gdzieś indziej? W restauracji na obiedzie? — zaproponował.

— Bardzo miło z pana strony, ale nie wydaje mi się, by był to dobry pomysł. — Uśmiechnęła się smutno. —

Jest pan bardzo miły. Doceniam, co pan dla mnie robi, ale pańskim zwierzchnikom nie podobałoby się to.

Myśleliby, że pana wykorzystuję, choć w rzeczywistości nie wiem nawet, jak to się robi — powiedziała poważnie. — Jutro może mi pan kupić loda — dodała na pożegnanie.

Wstała i wmieszała się w tłum. Ogarnęło ją przytłaczające uczucie, że od tego momentu jej życie zmieni się radykalnie. Jeżeli wykorzystywali własnych ludzi, tak jak zrobili to z Guntherem, była zdana na ich łaskę.

Gotowa była jednak poświęcić wszystko, aby pomścić matkę. Natychmiast po dotarciu do domu zabrała się za spisywanie wspomnień. Zapisała osiem stron, po czym przygotowała sobie filiżankę herbaty.

# HISTORIA MORRISONA WASZYNGTON D.C.

## M

Morrison przyglądał się strumykowi krwi spływającemu po rozharatanej szufladzie biurka dłoni. Nie odczuwał bólu. Przepełniała go wściekłość. Z zaciśniętymi zębami czytał otrzymany raport. Jego słownictwo wzbogacone zostało o nowe, znienawidzone słowo — Stalbo!

Krwawienie nie ustawało. Skóra pokrywająca środkową kostkę była całkiem zdarta. Wyciągnął rękę przed siebie. Krew wolno kapała na podłogę. Gdy zacisnął palce, strumień się nasilił. Niemalże z satysfakcją przyglądał się potokowi krwi. Była to nowa i jak na razie skuteczna metoda hamowania gniewu. Do tej pory uspokajał skołataną nerwy, uprawiając jogging. Miał wtedy dużo czasu na przemyślenie problemu. Długi bieg wyczerpywał i w ten sposób emocje znajdowały upust. Gdy nie było warunków do biegania, gimnastykował się. Ćwiczył pompki i przysiady, dopóki myśli nie zaczynały biec normalnym torem.

Dzisiaj jednak nie miał możliwości, by pobiegać lub pogimnas-tykować się. Gniew poraził go niczym prąd elektryczny. Zareagował, jakby uderzył w niego piorun. Poderwał się gwałtownie i z całej siły uderzył w półotwartą szufladę. Roztrzaskał ją, kalecząc przy tym dłoń. Nie przejął się zbytnio. Myślał jedynie o Stalbie! Historia była dokładnie taka, jak opowiedziała Larysa, z wyjątkiem tego, że teraz pojawiło się nazwisko człowieka odpowiedzialnego za jej budzące grozę przeżycia.

Morrison nie powiedział słowa, czytając raport. Palcami nerwowo stukał o blat. Dudnienie rozchodziło się echem do przyległych biur. Kehoe, szef jego sekcji, zajrzał przez uchylone drzwi. Wycofał się bezszelestnie, gdy zobaczył Morrisona bawiącego się strumieniem własnej krwi. Raport, który wręczył mu wcześniej, Morrison zaciskał kurczowo w drugiej ręce. Stało się tak, jak szef oczekiwał.

Raport przybył ranną pocztą z Moskwy. Dołączono do niego pisaną ręcznie wiadomość, która brzmiała: **Załączony raport wysłany został przez pracownika Ambasady RFN w Moskwie, Ernsta Gunthera, co naraziło go na niebezpieczeństwo. Po tygodniu przeznaczonym na sprawdzenie autentyczności raportu, łączność z Guntherem przerwała się. Jego obecny los jest nieznany.**

**Istnieje prawdopodobieństwo, że odkryto jego kontakty z waszym biurem i odesłano do Bonn. Ani autor, ani opisana w jego raporcie L. Alusztą nie wydają się szpiegami KGB. Kobieta pracowała w Biurze Eksportowo-Importowym w Berlinie wschodnim we wspomnianym terminie. Możliwe, że była tylko nieświadomym uczestnikiem wydarzeń. Wspominała o pragnieniu zabicia Stałby, co może was zainteresować. Waszym problemem jest ewentualne przygotowanie zamachu.**

Jack Morrison nie przeczytał kartki dołączonej do raportu. Napisane w pośpiechu słowa brzmiały: „Wasz chłopak ma świetny gust! Jeśli miałbym nadstawić dla kogoś karku, to tym kimś byłaby Alusztą!” Kehoe wyrzucił dopisek do kosza, zanim przekazał raport Morrisonowi. Widział w młodym człowieki wielki potencjał. Również Daken, który towarzyszył Morrisonowi w akcji w Berlinie, twierdził, że tego dzieciaka czeka kariera. Miał tylko pecha w Berlinie. Stracił okazję awansu, możliwego mimo młodego wieku.

Kehoe postanowił dać Morrisonowi czas na otrząśnięcie się. Ten przewyciężył wreszcie wściekłość, obandażował rękę i przeprosił za wybuch. Kehoe domyślał się, że powodem furii była Rosjanka. Wszyscy myśleli, że flirt sprzed paru lat stanowił jedynie epizod w życiu Morrisona. Kehoe i Daken wiedzieli, że to nieprawda. Incydent z biurkiem potwierdzał, że chodziło o wielkie i trwałe

uczucie. Nie było wątpliwości, że przez trzy lata Morrison cierpią z powodu rozłąki.

— Jestem ci winien szufladę — powiedział Morrison, sadowiąc się naprzeciwko Kehoe'a.

— Zapomnij o tym. Nie ma sprawy. — Kehoe wskazał raport, który Jack wciąż trzymał kurczowo. — Stare rany otworzyły się?

Morrison zastanowił się przez moment, zanim odpowiedział:

— To coś więcej. — Spojrzał mu w oczy. — Jesteś dla mnie jak ojciec. Czy to normalne, aby tyle czasu kochać kobietę, z którą było się tylko kilka dni? Myślę o niej bezustannie od trzech lat. To bardzo długo.

— Powiedz mi, co według ciebie jest nienormalne. Wtedy odpowiem.

— Nie obawiasz się, że mógłbym upić się dzisiejszej nocy, narobić głupstw i być może skompromitować system?

— Bałbym cię o siebie, gdybyś się nie upił. I nie wydaje mi się, że zrobisz coś głupiego. Po prostu wypijesz parę głębszych, wyżalisz się, a rano obudzisz się z kacem.

Morrison uśmiechnął się. Nienawidził kaców. Dlatego nie pił zbyt często.

— Ograniczę się jedynie do uzalania nad sobą. — Podchwycił spojrzenie Kehoe'a. — Wiesz, gdybyś zobaczył tę dziewczynę, zrozumiałbyś.

Kehoe nie miałby nic przeciwko temu, zwłaszcza po przeczytaniu notatki dołączonej do raportu.

— Jak jej na imię, Jack?

— Larysa. — Opowiedział o jej jasnych włosach upiętych na czubku głowy, zielonych oczach, lekko wystających kościach policzkowych i smukłej figurze. Często zastanawiał się, czy zmieniła się przez te trzy lata. — Śliczne imię — dodał, gdy Kehoe nie odpowiadał.

— Bardzo. — Szef dostrzegł nieobecny wyraz oczu Morrisona. Wydawało się, że przeżywa na nowo dni spotkania z dziewczyną.

— Co chcesz teraz zrobić, gdy wiesz, gdzie ona jest? — wyrwał go z zamyślenia.

— Nie mam pojęcia. Nie wiedziałem nawet, że żyje. Oczywiście chciałbym się z nią spotkać, ale to bardzo trudne. Dla kogoś z mojej



branży wyjazd do Moskwy jest prawie nieosiągalny. Trzy lata temu dosłownie oderwaliście mnie od niej. Sądzę, że wielu chciałoby, abym o niej zapomniał... zapomniał wszystko, co się stało... Skąd, u diabła, mam wiedzieć, co robić?

— Wiedziałbyś, gdybyś ją znowu zobaczył. Zdajesz sobie chyba sprawę, że nie mogę po prostu wysłać cię do Moskwy pod byle jakim pretekstem. Obaj polecilibyśmy ze stołków. Wskocz teraz na miasto, upij się, wyżał. Spotkamy się jutro o zwykłej porze. Pomyślę, co mógłbym dla ciebie zrobić. Może uda mi się znaleźć jakieś wyjście.

Morrison wstał i ruszył ku wyjściu. Zatrzymał się przed drzwiami.

— Nie jestem chyba zaślepiiony? Ta historia z Larysą... czy może naprawdę tyle trwać?

Kehoe skinął głową z miną wyrażającą znajomość rzeczy.

Pod koniec tygodnia Morrison przypomniał Kehoe'emu o obietnicy.

— Daj mi jeszcze tydzień — brzmiała odpowiedź. Po upływie tego terminu usłyszał:

— Tak, są zainteresowani... ale... czas. Potrzebuję więcej czasu.

Kilkanaście dni później Morrison na własną rękę przejrzał kartotekę w celu znalezienia jak największej ilości informacji o Stal-bie. Zorientował się, że ktoś niedawno już to robił. A więc działali w jego sprawie!

Tego samego dnia wezwał go Kehoe.

— Jack, muszę z tobą pomówić. Zdecydowali się. Masz się zgłosić do szefa biura.

Szef zazwyczaj zaskakiwał podwładnych wezwaniem znienacka. Jeśli nie było się w stanie wyjść obronną ręką z audiencji, nie dostawało się zadania.

— Wiesz, jak wygląda Wiktor Stalbo? — zapytał Morrisona.

— Tak, proszę pana.

— Czy kiedykolwiek świadomie nawiązywałeś z nim kontakt, 8dy pracowałeś na placówce we wschodnim Berlinie?

— Nie. Informacje o nim zdobyłem z gazet i z dokumentów agencji.

— A raport tego Niemca, Gunthera... Co o tym myślisz?

Morrison przyjrzał mu się uważnie. Jak zwykle z twarzy szefa nie można było wydedukować, co myśli ani jakiej odpowiedzi się spodziewa.

— Generał Stal bo jest podejrzanym typem. Gdybym stał na czele Kremla, przyjrzałbym się dokładniej jego przeszłości.

— Nie wydaje ci się, że to zrobili?

— Nie mam pojęcia, jakich metod używają przy badaniu powiązań.

— Jeśli wierzyć temu raportowi, nie są tak zorientowani, jakby chcieli. — Spojrzał Morrisonowi w oczy.

Legenda głosiła, że jeżeli uda się wytrzymać to spojrzenie, sprawa jest wygrana. Tym razem szef pierwszy opuścił oczy. Przejrzał papiery leżące na biurku. — Wierzysz w tę historię? — zapytał machnąwszy trzymanym w rękę raportem.

— Tak.

— Ze względu na jej źródło?

Oho, pomyślał Morrison, zadaje podchwytliwe pytania. Nie bądź głupcem, ostrzegł siebie samego. Trochę sprytu!

— Nauczono mnie, aby ostrożnie podchodzić do niepewnych źródeł. Zawsze tak postępuję. Jednak zdaje sobie pan sprawę, że dobrze znam Larysę Alusztę.

— No dobrze. Myślisz, że człowiek odpowiedzialny za masakrę w Poryni i Wiktor Stalbo to jedna i ta sama osoba?

— Trzy lata temu mogłem opowiedzieć panu dosłownie tę samą historię — odpowiedział Morrison. Teraz on spojrzał szefowi w oczy. — W tym czasie jednak ani ja, ani panna Alusztka nie wiedzieliśmy, że morderca to Stalbo. — Wziął głęboki oddech. — Gdyby mógł pan usłyszeć opowieść z ust samej panny Alusztzy, nie miałby pan wątpliwości, czy jest prawdziwa.

Szef uśmiechnął się prawie niedostrzegalnie.

— Nie mieliśmy żadnych rejestrów bitwy pod Kurskiem. Bonn poinformowało nas, co się tam działo...

przynajmniej na okolicznych terenach. Walki toczyły się na przestrzeni wielu kilometrów. Niemcy stracili około siedemdziesięciu tysięcy ludzi, Rosjanie prawdopodobnie dużo więcej. Przez parę dni zniszczono może pięć

tysięcy czołgów, nie wspominając o tysiącach samolotów. Jeśli wszystko weźmiesz pod uwagę, to ten mały oddział Niemców czy raczej zdrajców sowieckich w ostatecznym rozrachunku nie ma znaczenia.

— Jeśli stawia pan sprawę w ten sposób... — Czego, u licha, szef oczekiwał od niego? Postanowił zaryzykować: — Dla kogo jednak mogłoby to mieć większe znaczenie, dla Niemców czy Rosjan? Szef poruszył się na krześle.

— No właśnie... właśnie — powiedział z zadowoleniem. — Naziści to przeszłość. RFN i NRD powstały z popiołów. Lepiej nie wywoływać wilka z lasu i tak dalej, ale jest jeszcze coś. Rosjan mogłoby bardzo zainteresować, że człowiek na takiej pozycji walczył kiedyś w dywizji Własowa przeciwko własnemu krajowi. Co więc mamy zrobić? Zadzwoń do sowieckiego ambasadora w Białym Domu i powiedz mu, że w KGB jest zdrajca? Czy namówić Bonn do brudnej roboty, na którą tak naprawdę nie mają ochoty? A może zacząć działać na własną rękę? Kto skorzysta najbardziej na upadku Stałby?

— Kreml! — odpowiedział Morrison.

— Jeśli chodzi o ciebie, chciałbyś, żebyś Stałbo był martwy.

— Raczej wolałbym obserwować, jak umiera powoli i w męczarniach.

— Doczekasz tego momentu, jeśli będziesz robił, co ci każe. — Na jego twarzy nie było uśmiechu. — Musisz użyć dziewczyny na wabia.

Chce ją wykorzystać, co za skurwiel, pomyślał Morrison.

— Przecież on ją od razu zabije, bez namysłu — zaoponował.

— No cóż, wybór zależy od ciebie. Daję ci szansę odnalezienia Aluszy. Wkrótce będziemy potrzebować Stałby. Zastanów się dobrze.

Morrison nie odpowiedział.

# HISTORIA LARYSY MOSKWA

momentu gdy Larysa wręczyła zapis historii Ernstowi Guntherowi, żyła w ciągłym strachu. Nie spała po nocach, obawiając się niespodziewanego ataku. Nie potrafiła sprecyzować, kogo konkretnie się boi. Wydawało się jej, że jest śledzona.

Denuncjując Stalbę, Larysa czuła się winna zbrodni przeciw własnemu krajowi. Przez lata uczono ją, że nie należy szargać świętości przywódców. Bujna wyobraźnia wyolbrzymiała problemy. W końcu postanowiła skontaktować się z Guntherem.

— Ernst Gunther tu nie pracuje. — Usłyszała beznamiętną odpowiedź w słuchawce.

— Jak to? Niemożliwe! Widziałam się z nim parę dni temu!

— Nie mamy w spisie nikogo o takim nazwisku.

— Muszę z nim porozmawiać, błagam. Nazywam się...

— To nas nie interesuje. — Rozmówca odłożył słuchawkę.

Parę dni później spróbowała jeszcze raz. Znowu bez skutku. Ernst Gunther nie pracował w Ambasadzie RFN w Moskwie.

Kim był Gunther? Czy możliwe, żeby pracował dla Stałby? Prześladowała ją myśl, że Stalbo przeczytał oświadczenie. Zrobiła głupstwo, zeznając na papierze. Naiwnie uwierzyła Guntherowi. Sądziła, że mu się podoba i dlatego postanowił jej pomóc. Czyżby tylko grał? Słyszała przecież opowieści o przemyślnych sposobach zastawiania pułapek na ludzi przez KGB.

Spędziła wiele czasu na bezskuteczne poszukiwanie Ernsta Gunt-hera. Jego odnalezienie uspokoiłoby ją, niezależnie od tego kim był. Chciała wiedzieć, na czym stoi. Codziennie chodziła do zoo, mając nadzieję, że spotka tam Gunthera. Kilkakrotnie przeszła się też po parku Dynamo, gdzie znalazła gazetę ze zdjęciem Stałby. Myślała, że może dziwnym zbiegiem okoliczności natknie się tam na coś, co wskazałoby, gdzie może znajdować się Gunther. Chwilami wydawało się jej, że oszaleje. Miała trudności z odróżnieniem świata rzeczywistego od koszmarnych fantazji. Na szczęście w pracy udawało się jej wziąć w garść. Nie zwracała na siebie niczyjej uwagi. Po pewnym czasie zdała sobie sprawę, że jest przewrażliwiona. Nikt jej nie śledził ani nie groził. Mimo to trudno jej było odzyskać całkowity spokój umysłu.

W dniu, w którym w Moskwie pojawił się Morrison, poszła do parku Dynamo. Siadła na swojej ławce. Tym razem ktoś znowu pozostawił przeczytaną gazetę. Zaczęła machinalnie przerzucać kartki. Drżały jej dłonie. Ostatnie przeżycia odbiły się na jej wyglądzie. Miała czerwone, podkrążone ze zmęczenia oczy. Na czole pojawiło się parę zmarszczek. Jasne włosy opadały w nieładzie na ramiona. Przestała o siebie dbać.

**1** wtedy go zobaczyła.

Stał naprzeciw niej uśmiechnięty i tak atrakcyjny, jakim go zapamiętała sprzed trzech lat. Wówczas miał na sobie europejskie ubranie. Teraz nosił szare, niczym nie wyróżniające się, ale i tak był przystojny.

Co on o mnie myśli? - przestraszyła się, uświadamiając sobie własne zaniedbanie. Zaczęło jej zależeć na wyglądzie. Przetarła oczy, bezskutecznie usiłując zetrzeć cienie pod nimi. Przyglądała rozsypane na ramionach włosy. Gdyby wiedziała! Ileż to razy marzyła, że gdy go znowu spotka, olśni go wdziękiem i urodą. Przemknęło jej przez głowę, że nie jest ani czarująca, ani piękna. Nie tak wyobrażała sobie długo oczekiwane spotkanie, jednak uśmiechał się jak dawniej. Uczucie szczęścia zagłuszyło wątpliwości. Odpowiedziała uśmiechem, tłumiąc łzy.

Wyglądał wspaniale!

Usiadł obok i wziął ją za rękę. Przeszedł ją dreszcz podniecenia. Jego dotyk przywrócił jej spokój i nadzieję. Oczy potwierdzały wiadomość, której oczekiwała. Tak, nadal ją kochał! Odgarnął kosmyki włosów wpadające jej w oczy.

— Czy dalej upinasz włosy?

Skinęła głową niezdolna wymówić słowa. A przecież tyle razy w bezsenne noce wyobrażała sobie, co mu powie, jeśli się spotkają.

— Długo cię szukałem. Ktoś powiedział mi, że często tu przychodzisz. Bałem się, że coś ci się stało w związku z Ernstem Guntherem.

Ze zdziwienia otworzyła szeroko oczy. Skąd wiedział o Gun-therze?

— Znasz go? — wykrztusiła. — Należysz do nich?

— Nie, ale widziałem, co napisałaś... o Stalbie.

Nie potrafiła dłużej powstrzymać emocji. Wybuchnęła cichym płaczem. Wziął ją w ramiona. Bezskutecznie usiłowała się uśmiechnąć. Łzy ciurkiem płynęły jej po twarzy. Morrison czekał cierpliwie. Wiedział, jak jest jej trudno zapanować nad sobą. Po chwili zaczęła się uspokajać. Oddychała głęboko. Podał chusteczkę, aby otarła oczy. Trzymali się za ręce i obserwowali bawiące się dzieci. Larysa pierwsza przerwała milczenie:

— Gunther powiedział, że nie nazywasz się Derek Willem. Kiedy się dowiedziałam, nie byłam pewna, czy mogłabym cię nadal kochać. — Popatrzyła mu w oczy. — Ciągle jednak kocham... Zrozumiałam to, gdy cię dziś ujrzałam.

Podniósł jej rękę do swych ust. Dziwne, że po tak długiej rozłące witamy się w ten sposób, pomyślał.

Wyobrażał sobie przedtem, że padną sobie w ramiona. Jednak powaga chwili, zmęczony wygląd Larysi i jej płacz sprawiły, że po prostu pocałował jej dłoń.

— Wiesz teraz, kim jestem? — zapytał miękko.

— Amerykaninem? Tak mi powiedział Gunther.

— To prawda, ale teraz jestem Rosjaninem, dopóki znowu nie przedziergnę się w Amerykanina i...

— Chciałabym poznać prawdę — przerwała. — Jeśli cię znowu stracę, muszę wiedzieć, kim jesteś naprawdę... i gdzie cię odnaleźć. — W jej głosie pobrzmiwała desperacka prośba.

— Już nigdy cię nie opuszczę. — Ścisnął jej rękę. — Pracuję tam gdzie przedtem, ale tym razem, żeby ci pomóc. Chcemy dostać Stalbę. Muszę udawać Rosjanina. Mam dowód na nazwisko Andriej Borodin. Obiecuję, że od tej pory będziesz wiedziała o mnie wszystko. — W miarę jak mówił, zorientował się, że

rozmowa brzmi dziwnie. Po trzech latach rozłąki przypominała racjonalną dyskusję.

— Chcę ci wierzyć, ale się boję. — Spojrzała na niego swymi pełnymi strachu zielonymi oczami. — Jeżeli Stalbo zobaczył, co napisałam, jestem zgubiona.

— Dlaczego miałby to zobaczyć?

Na jej twarzy odmalowało się zakłopotanie.

— Gunther... człowiek, który namówił mnie do spisania wszystkiego... Nie widziałam go od tego czasu. Kiedy usiłowałam skontaktować się z nim w ambasadzie niemieckiej...

— Ernst Gunther jest znowu w Niemczech. Został odesłany następnego dnia po tym, jak dałaś mu raport. Zaniósł go do naszej ambasady w Moskwie. Poza paroma Amerykanami nikt nie czytał twojej historii, a zwłaszcza Stalbo. Proszę, uwierz — mówił z naciskiem. — Dlatego jestem tutaj. — Poglaskał ją delikatnie po policzku.

Larysa uspokajała się, w miarę jak docierał do niej sens słów Morrisona. Podsycany bujną wyobraźnią strach ustąpił. Gdy zniknął Gunther — jedyna osoba, która rozumiała jej sytuację — nie miała się do kogo zwrócić. Jej świat ograniczał się do biura i pracujących tam członków partii. Każdego wieczoru wracała do swego małego mieszkania ze wspólną kuchnią. Kiedykolwiek coś gotowała, czuła obecność sąsiadów. Często wolała położyć się spać głodna. Nocami straszyla ją postać Wiktora Stałby. Była na granicy nerwowego załamania. Kilka słów zmieniło wszystko. „Poza paroma Amerykanami nikt nie czytał...” Stalbo nie widział jej oświadczenia! Morrison ciągle pieścił jej policzki. Wzięła jego rękę i przycisnęła do ust.

-r- Więcej łez? — zapytał czule. Potrząsnęła głową.

— Nie. Chcę tylko zapamiętać tę chwilę. Jeśli cokolwiek nas rozłączy, wspomnienie tego momentu podtrzyma mnie na duchu. — Przyjrzała mu się uważniej, nim zaczęła mówić dalej: — Znałam cię i kochałam jako Derka Willema. Teraz kocham Andrieja Borodina. Nazwisko nie ma znaczenia, ale muszę wiedzieć, kim jesteś naprawdę. Gunther powiedział, że nazywasz się Morri... Nie potrafię wymówić tego nazwiska. Możesz powtórzyć?

*I - Cienie zemsty*



\*Bf'HI



— Obserwuj moje usta. —Kilkakrotnie wymówił swe nazwisko. Po chwili była w stanie wypowiedzieć je płynnie, chociaż ciągle z ciężkim akcentem na środkowej sylabie. — A jak będziesz się do mnie zwracała teraz?

— Andriej. Andriej Borodin. Dlaczego wybrałeś to nazwisko?

— Łatwo się wymawia. — Roześmiał się. — Poza tym był kiedyś pewien Andriej Borodin, bardzo do mnie podobny.

— Nie żyje?

— Jestem teraz jedynym Andriejem Borodinem. Moje dokumenty są w porządku. Jestem samotny, rodzina zginęła w czasie pożaru dwa lata temu. Pracuję dla Państwowego Komitetu Kultury Fizycznej i Sportu. Jeżdżę często po kraju w poszukiwaniu nowych talentów. Nie zarabiam dużo, więc mogę sobie pozwolić jedynie na taki strój, jaki widzisz. Co o tym myślisz? — zakończył z uśmiechem.

— Powodzi ci się lepiej niż niejednemu Rosjaninowi. — W jej oczach pojawił się błysk. — Przyjemnie byłoby zabrać tak atrakcyjnego mężczyznę do domu, ale moje mieszkanie jest małe, a sąsiedzi... — Nagle wydało jej się, że nic się nie zmieniło od ich ostatniego spotkania. Przypomniała sobie, jak wychodziła z pokoju hotelowego w Berlinie. Morrison leżał nagi na łóżku, uśmiechając się na pożegnanie. Pamiętała dokładnie swoje ostatnie słowa: „Znalazłam nową Larysę i bardzo ją lubię”. Pamiętała także, jak dodała: „Do zobaczenia wieczorem”. Nie spotkali się przez trzy lata. — Gdzie mieszkasz?

— W domku za miastem, przy drodze do Zagorska. Zawieziono mnie tam, gdy przyjechałem. Powiedziano, że to bezpieczne miejsce.

— Jak się tam dostajesz?

— Mam samochód z rządową rejestracją. Pracuję przecież dla ministerstwa. To gruchot, ale przynajmniej nikt mnie w nim nie zaczepi. Dojeżdżam do Parku Osiągnięć Ekonomicznych i łapię metro. Wiem już, jak się przesiadać bez pytania o drogę.

Przed przyjazdem do Moskwy Morrison odbył staranne przeszkolenie. Natychmiast zaadaptował się do nowych warunków.

— Jak na cudzoziemca świetnie sobie radzisz. Jak ci się to udaje?

— Moskwa ani Leningrad nie są mi obce, chociaż nie byłem tu od bardzo dawna.



— Czy weźmiesz mnie do siebie? — W jej głosie pobrzmiwała niepewność.  
— Niczego więcej nie pragnę.  
— Dzisiaj jest czwartek. Przed nami trzy dni na wsi! — powiedziała rozradowana.  
— Nie możemy jednak dopuścić, aby ktokolwiek w twojej pracy lub domu nabrał podejrzeń.  
— Muszę więc zaraz wracać do biura. — Wreszcie jej umysł zaczął funkcjonować prawidłowo. Morrison to jej zbawienie. Uwolniła ręce z jego uścisku. — Jestem już spóźniona. Przekonam szefa, że zasłałam. — Była pewna, że bez trudu przekona wszystkich, że czuje się bardzo źle.  
Faktycznie wyglądała na osłabioną, choć nie miało to związku z chorobą. Tylko raz w życiu doświadczyła takiego uczucia — gdy po raz pierwszy umówiła się z Derkiem Willemem. Odczuwała wtedy mieszaninę emocji: niepewność, podekscytowanie, pragnienie doznań zmysłowych. Teraz znajdowała się w podobnym stanie. Drżała z podniecenia.  
Mieszkańcy Moskwy rzadko wyjeżdżali poza miasto. Luksus ten przysługiwał jedynie członkom partii albo wybitnie zasłużonym dla kraju. Larysa była kilkakrotnie poza Moskwą na krótkich wakacjach organizowanych przez związki zawodowe. Prowadzono ich jak stado owiec, nie dając szansy na odłączenie się od grupy. Teraz miała ochotę oznajmić całemu światu, że wybiera się na weekend ze swym ukochanym. Wreszcie chciało się żyć! Wycieczkę z Jackiem Morrisonem alias Andriejem Borodinem zaliczyła później do wyjątkowych. Gdy wsiadała do małego samochodu, poczuła, że drży z podekscytowania.  
— Nie zapalaj jeszcze — wyszeptała, pochylając się w jego stronę. Pocałowała go delikatnie. Przytulił ją do siebie. Pocałunki stały się bardziej namiętne. — Marzyłam o tej chwili trzy lata. Bałam się, że nigdy nie nadejdzie — wyszeptała. — Teraz nie musimy żyć wspomnieniami.  
Pocałował ją w czoło, potem w koniuszek nosa, w końcu delikatnie w usta.  
— Jeśli pozwolisz mi uruchomić silnik, nie będziemy musieli tego robić w samochodzie.

— Jeśli nalegasz — powiedziała uwodzicielsko. — Ale jedź tak szybko, jak tylko to możliwe. Po trzech latach trudno mi doczekać się mężczyzny, którego kocham.

Pędzili po szosie z zawrotną szybkością. Na niebie pojawił się księżyc.

— Z mojego domku można obserwować, jak księżyc wyłania się z jeziora — powiedział.

— Chętnie to zobaczę. Przypomniałam sobie historię, którą opowiedziała mi matka, zanim naziści zniszczyli Porynię. To stara baśń rosyjska o powstaniu księżycy.

— Opowiesz mi?

— Na kole podbiegunowym żyła pasterka ze starym ojcem. Wypasała stado reniferów. W zimie musiała wędrować ze stadem na południe w poszukiwaniu jedzenia. Pewnego razu z nieba zjechał księż w saniach ciągniętych przez niebiańskie renifery. Nazywano go Księżycem, chociaż w tamtych czasach księżyc taki jak dzisiaj nie istniał. Pasterka spodobała mu się tak bardzo, że postanowił zabrać ją ze sobą. Dziewczyna przestraszyła się. Poprosiła swe renifery, aby jej pomogły. Te wykopały w ziemi otwór, gdzie mogła się schować. Księżyc długo szukał pasterki. Nie mogąc jej znaleźć, wrócił na niebo, lecz postanowił przybyć znowu na Ziemię, aby ją odnaleźć. Tak jak ty mnie.

— Wydaje mi się, że wymyślasz tę historię — zaśmiał się Morrison. — Nie jestem Księżycem, a ty nie jesteś pasterką.

— Nie, poczekaj! Musisz być cierpliwy, słuchając legend. Dziewczyna wiedziała, kiedy Księżyc miał zstąpić na ziemię. Bała się, że będzie szukał aż do skutku. Poprosiła więc ponownie przywódcę stada reniferów, aby jej pomógł. Razem myśleli, w co mogłaby przemienić się pasterka, żeby Księżyc jej nie odnalazł. W końcu postanowili, że ukryje się pod postacią lampionu w namiocie. — Larysa uśmiechnęła się do Morrisona. — Próbuję się streszczać, ale zrozumiesz zaraz, dlaczego opowiadań tę historię. Więc — dalej ciągnęła — renifer zamienił pasterkę w ampkę, która oświetliła cały namiot. Gdy wkroczył Księżyc, szukał wszędzie swej ukochanej, ale nie mógł jej znaleźć. Zawiedziony wyszedł z namiotu, a wtedy dziewczyna z powrotem przybrała ludzką postać i zawołała za nim. Oczywiście Księżyc cofnął się, aby jeszcze raz przeszukać namiot, ale dziewczyna natychmiast zamieniła się w lampę. Ta gra ciągnęła się

do momentu, gdy Księżyc zemdlał z wyczerpania. Pasterka stanęła wtedy nad nim w swej prawdziwej postaci i zagroziła, że zabije go za prześladowanie. A teraz słuchaj uważnie. — Larysa zwilżyła usta koniuszkiem języka. — Teraz dowiesz się, dlaczego kochamy podania ludowe. Księżycowi było zimno wśród śniegu. Błagał dziewczynę, aby pozwoliła mu ogrzać się w namiocie. Gdy znalazł się w środku i poczuł lepiej, podziękował jej, że nie zostawiła go w śniegu na pewną śmierć. Obiecał też, że jeśli pozwoli mu odejść do domu, odwdzięczy się, dając ludziom noc tak jasną jak dzień. Dziewczyna uwolniła Księżyc, który odjechał saniami na niebo. Od tej pory, w dowód wdzięczności, oświetla Ziemię swym światłem. Morrison spojrział na nią kątem oka.

— Tę historię opowiedziała ci matka?

— Tak. To stara opowieść. Jestem pewna, że zmieniano ją z pokolenia na pokolenie, ale najistotniejsza część, czyli powód, dla którego Księżyc oświetla Ziemię, prawdopodobnie pozostała ta sama. — Zaciśnęła palce na jego dłoni. — Przypomniałam sobie tę opowieść, bo Księżyc świeci dzisiaj tak jasno... a ty wróciłeś do mnie. Lecz ja nie chcę cię odsyłać. Nie chcę czekać na ciebie ponownie.

Gdy dojechali na miejsce, rzucili się sobie w ramiona.

— Jedyną rzeczą, jakiej teraz pragnę, jest kochać się z tobą. — Wspięła się na palce, aby go pocałować. — Wszystko inne może poczekać. — Wzięła go za rękę i zaprowadziła do maleńkiej sypialni.

# HISTORIA STAŁBY MOSKWA



## W

w w iktor Stalbo był bardzo ambitny. Zawsze poważnie podchodził do swych obowiązków. Nie interesowało go, dla jakiej organizacji pracuje, jeśli służyła jego celom. NKWD, MWD czy KGB traktował po prostu jako środek do zyskania wpływów w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Stopniowo wspinał się na coraz wyższe stanowiska. Nie uchylał się nigdy przed trudnymi zadaniami, czym zjednywał poparcie przełożonych. Za cel stawiał sobie dotarcie jak najwyżej po drabinie politycznej.

Trudno było określić, ile miał lat. Należał do ludzi, którzy opierali się działaniu czasu. Od końca wojny niewiele włosów posiwiło na jego skroniach. Mocno nie przytył, choć sprawiał wrażenie masywnego. Mundur zakrywał narastanie brzucha. Cienkie usta wyginały się zawsze w lekkim grymasie, nawet gdy się uśmiechał. Jego stalowobłękitne oczy miały tendencję do zeza. Rozmówcom sprawiało trudność sprawdzenie, w którą stronę właściwie patrzy. Siedzącemu w biurze oficjalowi zez Stałby utrudniał koncentrację. Feler, który innym utrudniałby życie, Stalbo zręcznie wykorzystywał do swoich potrzeb.

Aleksy Fortin reprezentował marszałka Biriuzowa — głowę Strategicznych Sił Rakietowych. Generał Stalbo z sekretarzem Breżniewem zaangażowali się w sprawę instalacji pocisków rakietowych wokół odległego miasta Hanoi.

— Marszałek Biriuzow przejmuję się... Chińczykami — ciągnął niepewnie Fortin. — W żaden sposób nie możemy polegać na północnych Wietnamczykach, to jasne.

Stalbo przyglądał mu się zimno, momentami zaglądając w oczy. Sprawiało mu niezwykłą przyjemność, że rozmówca nie jest pewien kierunku jego wzroku i staje się coraz bardziej nerwowy.

— Może kopia rozkazu sekretarza nie dotarła do was. O ile pamiętam, sekretarz wyjaśniał dokładnie, co zrobić. Podkreślał nawet termin każdego przedsięwzięcia... — stwierdził sarkastycznie Stalbo.

— Zapewniam, że znamy każde słowo tego rozkazu. Mamy jedynie wątpliwości co do terminów.

Stalbo podniósł się z krzesła i oddalił od Fortina, nie spuszczał z niego wzroku. Wykorzystywał swój ulubiony sposób na wprawianie innych w zakłopotanie.

— Czy zdajecie sobie sprawę, ile czasu straciliśmy na zaplanowanie tej operacji? Na koordynację z innymi departamentami? Wasz marszałek Biriuzow powinien zrozumieć, co się za tym kryje.

— Ależ on rozumie, panie generale. Oczywiście, że rozumie. To ja zastanawiałem się, czy to rzeczywiście może być wykonane w tym terminie. — Fortin cały się pocił. W gabinecie panowała duchota. Jeszcze jeden sposób Stalby, aby jego kontrahenci nie czuli się dobrze. Dla niego samego klimat nie grał roli. — Nie jesteśmy przekonani — Fortin ciągnął dalej — czy powinniśmy rozpocząć operację po groźbach, jakie wygłosił ostatnio prezydent Stanów Zjednoczonych.

Stalbo przerwał, zanim Fortin doszedł do sedna sprawy.

— Czy rozkaz sekretarza nie był wystarczająco czytelny? — zapytał.

Pytanie oznaczało koniec rozmowy. Fortin opuścił biuro Stalby z wyrazem twarzy mówiącym, że nieprędko zjawi się tu ponownie.

Stalbo bardziej martwił się nowymi i kłopotliwymi okolicznościami. Niektóre sytuacje były do zaakceptowania w tym interesie. Sprzedawanie informacji przez pewnych ludzi w społeczeństwie szpiegowskim stało się faktem normalnym. Do normalnych rzeczy należało też, że niektórych pracowników ambasad umieszczano w danym kraju wyłącznie dla celów szpiegowskich i że od czasu do czasu skutecznie wprowadzano do tego społeczeństwa ludzi podstawianych. Jednakże ci, którzy sprzedawali informacje, wcześniej czy później ujawniali się, a ci z obsady ambasad byli odpylani

z powrotem do domu. Lecz ci podstawieni... Otrzymał informacje, że amerykański agent został umieszczony na terenie Moskwy, lecz natychmiast zniknął.

Generał Stal bo, ekspert od szpiegostwa, znał się doskonale na lokalizowaniu i likwidowaniu nawet najlepszych. Każdy przypadek stanowił dla niego wyzwanie. Amerykanie są dobrzy, przyznawał, ale nie tak wspaniali jak on. Jednakże aktualna sprawa zaniepokoiła go. Jak to się stało, że ów człowiek pojawił się i natychmiast zniknął? Nie znano nawet źródła tej informacji. Mogła to być zwykła plotka.

Zadzwoił po pomocnika z biura obok.

— Tak, generale? — Mężczyzna zasalutował wchodząc. Należał do ludzi, których Stalbo unikał, lecz był skuteczny.

— Te dane o Amerykaninie? — pytał, kiwając jednozdaniowym raportem. — Skąd przyszły?

— Nie jestem pewien, generale. Jeden z moich ludzi sprawdza ich autentyczność. Zdaje się, że pochodzą z Bonn, ale nawet to nie jest pewne. Nie wiemy, czy chciano odwrócić jedynie naszą uwagę, czy raport jest prawdziwy.

— Zdaje się, że z Bonn?

— Tak jest. Oczywiście raport jest z Bonn, od szefa naszej tamtejszej sekcji. Nie możemy jedynie gwarantować, czy informacja rzeczywiście pochodzi stamtąd, czy też z innego biura.

Podówczas źródło było równie ważne jak sama informacja. Mnóstwo śmiecia rozpowszechniano jako solidne informacje wywiadowcze w celu spowodowania maksymalnego zamieszania w systemie. Stalbo przed przystąpieniem do czasochłonnej pracy nad wytropieniem Amerykanina potrzebował potwierdzenia, że został on podstawiony. Był to typ wyzwania, który lubił. Konfrontacja i odparcie przeciwnika sprawiały mu prawie seksualną przyjemność. Uważał bowiem swych adwersarzy niemalże za osobistych wrogów. Podczas gdy błyskawiczna kariera Stałby w KGB wiązała się z jego okrutnym i nieludzkim postępowaniem w sprawach cywilnych, największą przyjemność sprawiało mu tropienie ludzi podstawionych. Specjalizował się w demaskowaniu szpiegów amerykańskich. Cierpliwie czekał więc na potwierdzenie z Bonn. Czas podsyczał ducha wielkiego myśliwego.

Tymczasem miał dużo pracy w związku z Hanoi. Breżniew właściwie ocenił wagę umieszczenia tam wyrzutni rakietowych.

Skoro Amerykanie mogli ulokować swoje wyrzutnie w Europie, Rosjanie musieli odpowiedzieć stosownym posunięciem. Ho Szi Min był świetnym współpracownikiem przekonany, że pokona Amerykę niezależnie od tego, ile zajmie mu to czasu. Skłaniał się do tego, by pozwolić Rosji na umocnienie obrony w zamian za niewielkie korzyści militarne po wycofaniu się wojsk amerykańskich z rejonu Pacyfiku.

Aleksy Fortin w najśmielszych przypuszczeniach nie pomyślał, że po opuszczeniu biura KGB będzie śledzony przez człowieka Stałby. Fortin był cywilnym pracownikiem wojskowego biura od ponad piętnastu lat. W Stanach Zjednoczonych uważano by go za wysoko postawionego biurokrate. Jego przeszłość została sprawdzona na długo, zanim Stałbo awansował na obecną pozycję. Dlatego też każdy jego ruch musiał być obserwowany. Stałbo nie ufał nikomu, kogo nie sprawdziła jego osobista kadra ekspertów.

Chociaż dzień dopiero się rozpoczął, Fortin poczuł potrzebę małej rozgrzewki. Zatrzymał się przy przydrożnym kiosku i wypił podwójną wódkę. Zapisał coś w notesie, po czym z większą już energią ruszył w stronę rzeki.

Jeśli wróciłby wtedy do swego biura, ludzie Stałby zostawiliby go w spokoju, ale Fortin udał się w przeciwną stronę. Przeszedł mostem nad rzeką Moskwą i zatrzymał się w małym parku przy monumencie Repnina.

Wyciągnął z kieszeni notatnik, wydarł kartkę, dokładnie zmiął ją i wrzucił do pojemnika na śmieci. Potem usiadł na ławce i zaczął coś notować. Minęła dłuższa chwila, zanim wstał i odszedł szybko, przechodząc przez most obok hotelu Rosja. Podążył w stronę Placu Czerwonego, po drodze wyrzucając znowu zmiętą kartkę do pojemnika w okolicach domu towarowego GUM. Jeszcze raz następną kartką znalazła się w koszu na śmieci przed hotelem Narodowym, w którego gmachu zniknął. Natychmiast rozpoznał człowieka, z którym miał się skontaktować, chociaż nie znał nawet jego nazwiska. Oczy ich spotkały się na moment, nim Fortin wszedł do sali restauracyjnej i siadł, aby przestudiować menu. Wtedy tamten podeszedł do telefonu w holu hotelowym, wykonał krótki telefon i wyszedł.

Człowiek Stałby nie spuszczał Fortina z oka przez cały ten czas. Nie udało mu się wyciągnąć wyrzuconej przez Fortina strony notatnika z pierwszego kosza, ponieważ w pobliżu kręcił się milicjant. Zmuszony trzymać się blisko Fortina, zapamiętał dokładnie, gdzie stoi kosz. Nie zorientował się jednak, że śledzony nawiązał kontakt w hotelu Narodowym.

Po wyjściu z hotelu Fortin udał się do swego biura. „Ogon” Fortina natychmiast odszukał budkę telefoniczną. Dzięki jego interwencji sprawdzono dokładnie zawartość kontenera na śmieci. Jednakże został on już wypróżniony przez śmieciarzy. Pozostałe kartki z notatnika Fortina dokładnie zbadano, a zakodowane w nich informacje odszyfrowano. Dwie pierwsze donosiły o instalacji wyrzutni wokół Hanoi. Ostatnia przedstawiała szczegółowy opis procesu następnego ciągu przerzutów. Ludzie Stałby nie rozumieli dokładnie treści, ale nie miało to większego znaczenia. Stało się jasne, że Aleksy Fortin prowadzi podwójne życie. Przydzielono mu stały „ogon”.

Stalbo osobiście dobierał ludzi pracujących w jego biurze. Byli oni wobec niego lojalni do ostatniej kropli krwi. Oznaczali się cechami często kojarzonymi się z KGB — okrucieństwem, sadyzmem, żądzą krwi. Oprócz tego Stalbo wymagał inteligencji, przebiegłości i wytrwałości. Jeden z nich prędzej lub później rozgryzie Fortina.

— Teraz najbardziej interesuje mnie, z kim Fortin współpracuje. — Stalbo wymagał całkowitego skupienia pracowników, gdy przemawiał. — Nie mamy żadnej szansy, absolutnie żadnej, aby go dostać na podstawie podejrzeń. Towarzysz Breżniew ufa mu całkowicie, co sprawia, że jest on w zasadzie nietykalny.

— Mogę się dowiedzieć w przeciągu dwóch godzin — odezwał się jeden z podwładnych. Nikt nie wątpił w jego słowa. Zawsze był szybki!

— Czy możliwe, aby Fortin miał powiązania z tym Amerykaninem? — zasugerował ktoś inny.

— Rozważałem taką ewentualność — odpowiedział Stalbo — ale nie mam pojęcia, jak mógłby nawiązać z nim kontakt. Nigdy nie wyjeżdżał poza Rosję.

— To nie jest konieczne. Pamięta pan Berszowskiego? Stalbo musiał przyznać rację. To było prawdopodobne.



— Myślę, że powinniśmy schwycić obydwu. Skoro wiemy już tyle, musimy poznać całość.

— A jeśli Fortin zorientuje się, że ktoś go śledzi? Stalbo uśmiechnął się bezlitośnie.

— Powstałyby poważne problemy polityczne, a nie mamy na to czasu.

Wszyscy wiedzieli, że ich pozycja jest zagrożona. Stalbo nie dawał drugiej szansy. Zorientowali się, że gotuje się na największe polowanie w swojej karierze. Chce zdemaskować asystenta głowy Rakietowych Sił Strategicznych oraz Amerykanina.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy debatował „kuchenny gabinet” Stałby, jego przeciwnicy w Waszyngtonie analizowali dane Morrisona. Początkowym celem było skompromitowanie wysokiej rangi członka KGB. Wywołałoby to wielkie zamieszanie na arenie międzynarodowej, ponieważ Stalbo zdradził własny kraj. Teraz pojawiły się bardziej kuszące perspektywy. Stalbo współpracował z Breżniewem w przygotowaniu obrony rakietowej dla stolicy Wietnamu Północnego. Czy mogliby przy okazji skompromitować radzieckiego lidera? Nie obchodził ich los Larisy Aluszy. Dziewczyna interesowała ich jedynie jako dojście do generała Wiktora Stałby. Jeżeli chodzi o Morrisona, nie pracował wystarczająco długo, aby nie mogli go kimś zastąpić. Cenili go ze względu na dawną znajomość z dziewczyną, lecz mimo to był jedynie pionkiem. Prawdopodobnie zmieniliby plany, gdyby się dowiedzieli, że pod koniec weekendu spędzonego pod Moskwą jedynym celem Morrisona stała się zemsta. Uczucie do Larisy zaślepilo go do tego stopnia, że stracił rozsądek. Biorąc odwet na Stalbie, pragnął wymierzyć sprawiedliwość za krzywdy ukochanej.

# HISTORIA MORRISONA MOSKWA

Trzy dni spędzone nad jeziorem z Larysą były dla Morrisona niezwykłym przeżyciem. Nigdy przedtem nie był zakochany. Nie zdawał sobie sprawy, że bycie z kimś, opiekowanie się może stać się ważniejsze niż seks. Żyli jak w sielance. Wokół nie było żywej duszy. Rankiem, a czasem o zachodzie słońca obserwowali jelenie pijące wodę w pobliskim jeziorze. Zobaczyli ptaki, jakich nigdy nie widzieli w mieście. Nocami słuchali serenad świerszczy i pohukiwań sowy. Kochali się, gdy tylko przyszła im na to ochota, o każdej porze dnia i nocy. Wydawało im się, że świat nie istnieje. Liczyła się tylko ich miłość.

Rzeczywistość dała o sobie znać zakochanej parze w niedzielne popołudnie. Leżeli na kocu, skąpani w słońcu. Pili słomkami sok z otwartej puszki, gdy nagle Morrisonowi wpadła w oczy rosyjska nalepka. Napis grażdanką uświadomił mu boleśnie, gdzie się znajduje i po co przybył.

— Laryso, pamiętasz, dlaczego cię odnalazłem?

— Kochasz mnie... Nie możesz żyć beze mnie.

— To prawda. Nie mogę. Myśl o utracie ciebie doprowadza mnie do szaleństwa. Powiedziałem ci, w jaki sposób cię odnalazłem. Nie wiedziałem, czy żyjesz, dlaczego nie odpowiadałaś, gdy usiłowałem dać znać o sobie. Straciłem nadzieję, że kiedykolwiek cię odnajdę. I niespodziewanie dostaję wiadomości o tobie.

— Czy musimy teraz o tym mówić? — W jej głosie zabrzmiała nuta strachu.  
— Musimy. Jestem coś dłużny ludziom, którzy nas ze sobą połączyli. Ja...  
— Każdego dnia kocham cię coraz bardziej — przerwała mu — ale najbardziej kocham cię jako Derka Willema. Nie wiedziałam  
o tobie nic poza tym, że byłeś pierwszym mężczyzną, którego pokochałam. Czułam, że nosisz w sobie tajemnicę, ale nie obchodziło mnie to tak długo, jak trwał nasz sen. — Jej palce błędziły po jego karku. — Ten pierwszy sen skończył się tak szybko  
i nieoczekiwanie. Nie chcę być zraniona ponownie. Przyrzekłam sobie, że nie przydarzy się to nigdy więcej.  
— Nie będziesz, obiecuję. Zrobię wszystko, co mogę. Przyłożyła palce do jego ust, aby go uciszyć.  
— Ciii, pozwól mi skończyć. Chciałam powiedzieć, że teraz wróciłeś i podarowałeś mi coś, czego nie dostanę nigdy więcej. — Pochyliła się i pocałowała go delikatnie. — Ale przywiozłeś też parę rzeczy, których nie chciałam. — Oparła głowę na jego ramieniu. — Marzyłam o Derku Willemie. Przywiozłeś Andrieja Borodina i Jacka Morrisona. Kocham was wszystkich, ale nie wiem, którego zatrzymać. Tylko jeden powinien być prawdziwy. Nie wiem, którego wybrać — zakończyła, mimo że pragnęła powiedzieć więcej. Chciała, aby poczekał, aż znajdzie odpowiednie słowa dla wyrażenia swych myśli. Larysa czuła, że ich idylla musi się kiedyś skończyć. Usiłowała uniknąć powrotu strachu i depresji, jakie odczuwała jeszcze kilka dni temu. Chciała dojść ze sobą do ładu. Jeśli ma nastąpić teraz jakaś zmiana, musi to być zmiana na lepsze. Nie może żyć obietnicami. Położyła rękę na jego dłoni. — Zanim coś powiesz, chcę, abys się dowiedział, że nie mogę bez ciebie żyć, kimkolwiek w końcu się staniesz. Pragnęłabym, abys na zawsze pozostał Andriejem Borodinem. Moglibyśmy zostać tu do końca świata, nie wracać do miasta, nie musieć... — Puściła jego dłoń, podpierając się na ramieniu, aby popatrzeć mu w oczy. — Ale musimy, prawda?  
Skinął głową z rezygnacją.  
— No cóż. — Usiadła na kocu, oplatając nogi rękoma. — Niezależnie jakie imię wybierzesz, nie będę miała ciebie dla siebie tak długo, jak... — przygryzła wargi — jak żyje Stalbo. — Odwróciła

głowę w jego stronę. Jej twarz była martwa, bez śladu uczucia. Mam rację? Czy właśnie to usiłowałeś m powiedzieć?

— Tak. — Nie było innej odpowiedzi, nic do wyjaśnienia.

— Czy musimy dziś wracać do Moskwy?

— Ty powinnaś, aby uniknąć podejrzeń.

— A ty?

— Oczywiście cię odwozę. Potem wrócę tutaj, jeśli wmieście nie będzie dla mnie roboty.

— Utrzymujesz kontakty w Moskwie?

— To część mojej pracy.

— Inne kobiety? — Uniosła brwi.

— Nie powinienem ci mówić nic o moich współpracownikach, ale czy mogłabyś uwierzyć, że po tym weekendzie byłbym w stani kochać inną?

Uśmiechnęła się uspokojona.

— Dlaczego nie mogą dla ciebie znaleźć miejsca w mieście? Podniósł się do pozycji siedzącej.

— Nie kazano mi do tej pory — powiedział głosem pozbawionym emocji.

— Rozumiem... Nie, nie rozumiem. — Odwróciła się od niego. — Jeśli zrozumiesz ten kraj, będziesz chciał przebywać z ludźmi nie mającymi nic wspólnego z biurokracją. Będziesz unikał tych wydających i wykonujących rozkazy. Unikał wszystkich, którzy kontrolują życie innych... — mówiła coraz ciszej. Poglaskała ją z czułością po plecach. Tyle chciał jej powiedzieć, ale nie wydawało mu się to stosowne w tej chwili.

— Jakoś nie udaje się nam uniknąć życia takiego, jakie ono jest...

— Kocham cię — wyszeptał.

Obróciła się wolno w jego stronę i spojrzała prosto w oczy. Uśmiechała się przez łzy. Nagle pchnęła go na koc i przywarła do jego ciała. Zaczęła go całować namiętnie, potem jeszcze intensywniej, gdy jej ciało stało się częścią jego.

— Upewnijmy się, że nie zainteresujesz się żadną kobietą w mieście — wymruczała.

Na początku tygodnia Morrison otrzymał jednozdaniowe polecenie, aby poszedł do Centrum Sportowego w Łużnikach. Mieściły

e-i

108

i

się tam dwa ogromne baseny, w których ćwiczyli nurkowie i rozgrywały się mecze piłki wodnej. Zapłacił za następną turę pływania, potem usiadł na trybunie, przyglądając się płetwonurkom. Dzień był wspaniały na kąpiel. Po chwili wręczono mu gorący kostium wysterylizowany po poprzednim użyciu. Był obcisły i wełna drażniła skórę, lecz stanowił obowiązkowy strój na basenie. Ze względów sanitarnych wymagano też czepków kąpielowych.

Morrison zdrzemnął się w gorącym słońcu. Nagle zbudził go przenikliwy dźwięk. Jak na komendę nurkowie i zawodnicy wstrzymali grę i zaczęli wychodzić z wody. Co za posłuszeństwo, zadziwił się. Znow rozległ się sygnał, tym razem oznajmiający początek następnej tury pływackiej.

Woda była przyjemna. Morrison czuł, że wypoczywa pływając wzdłuż linek wyznaczających tory. Przeszkadzał jedynie czeppek, którego nie mógł zdjąć ze względu na przepisy.

— Nieźle pan pływa — odezwał się ktoś za jego plecami. Morrison odwrócił się i zobaczył mężczyznę uśmiechającego się doń serdecznie.

— Pływam, odkąd skończyłem pięć lat — odpowiedział.

— Ja nauczyłem się pływać w jeziorze Bajkał jako podrostek.

— Uczyliśmy się więc w tym samym jeziorze — stwierdził Morrison.

— Mam teraz ochotę na łaźnię parową. — W ten sposób został nawiązany kontakt.

W łaźni byli sami. Mężczyzna wyjaśnił Morrisonowi, że plany się trochę zmieniły. Stalbo był zbyt blisko Brezniewa. Musieli zatem poczekać z realizacją planów. Przemyślenie wszystkiego zabierze trochę czasu.

— Na przyjęcie tej pracy — stwierdził w końcu Morrison — zgodziłem się z jednego powodu. To bardzo osobista sprawa. Nie jestem...

— Dziewczyna — przerwał rozmówca. — Wziąłeś tę robotę ze względu na dziewczynę. Odnalazłeś ją. W zeszły weekend miałeś okazję przekonać się, że to właśnie ona — dodał, wybuchając niemiłym śmiechem. — Nie musisz nic mówić, przyjacielu. Chcą znać twój każdy krok. Wiedzą też, że zrobisz, co ci każą, aby ją ratować.

U 1

Morrison rozejrzał się nerwowo.

— Dlaczego rozmawiamy o tym w miejscu publicznym?

— Nie ma tu nikogo. Zadbalem o to.

— W Moskwie nie szanuje się świętości — stwierdził sarkastycznie Morrison.

— Nigdzie się nie szanuje. Nie robi nawet tego twoja agencja, jak widzisz.

Morrison słuchał uważnie. Mieli go. Nie było wątpliwości. Nie może opuścić Moskwy samowolnie z Larysą, dopóki nie zrobi, co do niego należy. Dopóki nie uznają, że wykonał zadanie.

W przeciągu czterdziestu pięciu dni instalacja wyrzutni wokół Hanoi miała zostać ukończona. Wiele elementów i dodatkowego wyposażenia znajdowało się już na miejscu. Waszyngton zdecydował się poczekać, aż pewna liczba wyrzutni i pocisków zostanie zamontowana. W stosownym momencie chciano wykonać odpowiedni manewr. Krążyły pogłoski, że Breżniew wybiera się do Hanoi, aby porozumieć się z Ho Szi Minem.

Morrison nie był pewny, jaką rolę ma odegrać w planach Waszyngtonu, do chwili gdy usłyszał:

— Generał Stalbo jest jednym z głównych planistów. To prawa ręka Breżniewa w tej akcji. Widzisz, niewielu ludzi z wojska czy agencji wywiadowczych dociera na czołowe pozycje Kremla. Przeważają tam cywile. Stalbo ma zamiar wykorzystać swą rangę, aby dostać się na szczyt. Gdy już się tam prawie znajdzie, gotowy zająć pozycję przy Breżniewie, wtedy wkroczysz ty z dziewczyną i zdemaskujecie go.

— To nie takie łatwe.

— Nic nie jest dzisiaj łatwe, przyjacielu. — Już po raz drugi ten człowiek użył amerykańskiego wyrażenia.

Raziło ono w języku rosyjskim. Jest Amerykaninem, pomyślał Morrison, ale nie chce, abym się o tym dowiedział. — Stalbo wie o twoim istnieniu. Nie wie, kim jesteś, jak się tu dostałeś ani z kim się kontaktujesz, ale zorientował się, że ktoś knuje, i zrobi wszystko, by go złapać. Co o tym myślisz? Jesteś w stanie dotrzymać kroku staremu mistrzowi?

— Skąd wie, że tu jestem?

— Gdybyśmy wiedzieli, postąpilibyśmy z tobą zupełnie inaczej.

— Dlaczego chce mnie dopaść? Czy wie, z jakiego powodu tu jestem?

— Nie ma pojęcia. Wie tylko, że zdołałeś się o nim dowiedzieć rzeczy, które mogłyby mu zaszkodzić.

— Ile dajecie mi czasu?

— Najmniej czterdzieści pięć dni. Nie wiem ile maksymalnie. To zależy od tego, jak będą skuteczni w uzupełnianiu instalacji raketowych.

He miesiąc więcej? Bawili się z nim! Morrison instynktownie postanowił również zmienić plan gry, ale nie mógł przecież po prostu napisać do „Prawdy” i oskarżyć o zdradę człowieka na pozycji Stałby.

Lato w Moskwie może być bardzo przyjemne. Stolica ZSRR leży na żyznych dolinach na zachód od Uralu. Jest sucho i często bywa ciepło. Wspomnienia Morrisona z wiosny 1965 roku zdominował weekend spędzony w małym domku nad jeziorem na północ od Moskwy. Lato z Larysą. Najbardziej ekscytujące lato w jego życiu. Oboje tak wiele dowiedzieli się o sobie. Ich miłość rozkwitała pełną siłą. Czuli narastające uczucie, a jednocześnie coraz większy szacunek do siebie nawzajem. W tym też czasie Morrison zebrał potężną kartotekę danych na temat Wiktora Stałby. Larysa nie mogła dodać nic więcej poza historią o początkach jego kariery. Należało ustalić życiorys Stałby od jego służby w dywizji Własowa do obecnej chwili.

Stalbo posiadał niezwykle wyczucie czasu połączone ze zdolnością wyszukiwania odpowiednich ludzi na pracowników. Jego talent objawił się po raz pierwszy podczas czystek w środowisku kultury zainicjowanych przez Andrieja Zdanowa. Stalbo koordynował ataki przeciwko poetce Annie Achmatowej i kompozytorom Prokofiewowi i Szostakowiczowi. W 1948 roku został protegowanym zniechęconego Ławrientija Berii. Z zapalem uczestniczył w torturach kardynała Mindszenta, aż udało mu się zmusić go do wyznania swych „zbrodni” w grudniu tego roku. Zagorzale zwalczał wschodnioeuropejskie duchowieństwo. Przyłączył się też do antysemickiej kampanii Stalina. Był zawsze zdolny zdradzić swych współtowarzyszy, gdy widział w tym korzyść. Beria został oskarżony i skazany za Próbę, jak to określono, „przejęcia władzy” przez nikogo innego jak właśnie Stalbę! Przewidział on nadejście Nikity Chruszczowa. Kiedy w roku 1955 Chruszczow przypisał napiętą sytuację na Węgrzech

■ Ućnie zemsty

błędem Berii, jego przemówienie przygotowywał Stalbo. Węgry wydawały się interesować go szczególnie. Przekonał Chruszczowa

o konieczności wysłania oddziałów wojskowych do Budapesztu w listopadzie 1956, aby obalić premiera Nagya i stłumić antysocjalistyczne wystąpienia. W 1959 roku, już jako generał, wznowił represje przeciwko kościołowi ortodoksyjnemu i duchowieństwu. W tym samym roku zainicjował powstanie „drużyn” — specjalnych grup ochotniczych do utrzymywania porządku. W rzeczywistości były to terrorystyczne organizacje używane do tłumienia wystąpień robotniczych i prześladowania dysydentów. Z punktu widzenia Chruszczowa pracowały wyśmienicie.

Morrison dobrze wiedział, że jeśli zostałby członkiem Biura Politycznego, jemu również zaimponowałaby działalność Stałby. Uosabiał on wszystkie cechy, jakie radziecka tajna policja ceniła najbardziej, ale popełnił jeden niewybaczalny błąd — najbardziej przerażającą rzecz według Morrisona. Był sprawcą moralnych tortur, które niszczyły Larysę Alusztę od ponad dwudziestu lat. Za ten grzech musi umrzeć!

— Zdajesz sobie sprawę, że musimy dokładnie zaplanować następne parę tygodni — powtórzył Morrison. — Ponieważ ta akcja to więcej niż ja i ty. — Zorientował się, że nic do niej nie dociera. — Czy słyszałaś tym razem?

Larysa podniosła wzrok. Mówił rzeczy, o których nie chciała słyszeć. Wszystko skomplikowało się ponad jej siły. Nie chciała odpowiadać. Czy wracały znowu czasy strachu i cierpienia? Wieczór przecież rozpoczął się tak jak inne, jak część snu, jakim stało się jej życie, odkąd wrócił Morrison. Siedzieli u niego w domku. Mogło być tak cudownie!

— Tak. Słyszałam za pierwszym razem i wiem, co chciałeś powiedzieć. Czy nie możesz zaczekać z tym do jutra? — Jej głos brzmiał omdlewająco.

— Mógłbym, ale...

— Proszę. — Przytuliła się do niego i zaczęła całować z desperacją, jakiej nigdy u niej nie widział. — Proszę. Jeszcze jedną noc. Sprawimy, że będzie wyjątkowa. Mamy jeszcze butelkę szampana.

I mogę...

112



— Przestań! — Odepchnął ją od siebie. — Co to wszystko ma znaczyć? Rozmawiamy o nim od tygodni.  
— Tak, ale przedtem rozmawialiśmy po prostu o nim. Nie planowaliśmy żadnego działania. A teraz ty... — wzięła głębszy oddech — chcesz, żebym się z nim spotkała. Oko w oko. — Zakryła twarz rękoma i zaczęła płakać.

— Rozumiem.

Co rzeczywiście zrozumiał, a co chciała, by zrozumiał, różniło się całkowicie. W czasie ostatnich tygodni wydawało mu się, że Larysa stała się silniejsza psychicznie. Teraz zorientował się, że to pozory. Nie mogła poradzić sobie ze stresem i wspomnieniami.

— Nic nie rozumiesz! — wybuchnęła. — Nic!

Pogłaskał ją, jakby była dzieckiem. Przyciągnął do siebie i delikatnie gładził jej włosy.

— Poczekamy do jutra. Dzisiejsza noc będzie najwspanialsza. Jeśli chcesz, w ogóle nie zmrzujemy oka, a rano będziemy obserwować wschód słońca.

Rzeczywiście nie zasnęli ani na moment. Tę noc mieli zapamiętać na całe życie. Była to ich ostatnia wspólna noc nad jeziorem.

Następnego dnia zdenerwowany Aleksy Fortin po raz pierwszy nawiązał bezpośredni kontakt z Morrisonem. Fortin nie miał pojęcia, że KGB rozszyfrowało sposób, w jaki kontaktowali się amerykańscy agenci. W KGB wiadano, że mogą skorzystać z tego tylko raz. Stalbo czekał z interwencją aż do dzisiaj. Było to całkiem proste. Fortin otrzymał telefon. Nie zidentyfikowany rozmówca powtórzył hasło-rozkaz. Fortin potwierdził jego autentyczność, wykonując identyczny telefon do numeru, jaki dano mu parę tygodni wcześniej. Morrison odebrał telefon i odpowiedział w prawidłowy sposób. Wynikiem całej procedury był niecodzienny i nieoczekiwany bieg późniejszych wydarzeń.

Fortin nalegał na spotkanie na ulicy. Spacerowali wolno jak para znajomych.

— Ta sprawa trochę mnie niepokoi. Nie wiem, czy to szósty zmysł, czy na starość stają się bardziej podejrzliwy. Dzisiaj w Kwaterze Głównej Marynarki odbyło się zebranie — rozprawiał, jakby byli starymi przyjaciółmi. — To pierwsza rzecz, która mnie zaniepo

koła. Był tam mój szef. Stalbo reprezentował generalnego sekretarza. Gdy spotkanie się skończyło i mieliśmy już odejść, Stalbo zawołał kilku ludzi i zaproponował, aby mnie wyłączyć ze sprawy. Nie wiem dlaczego — zakończył.

Morrison nie miał pojęcia, jak ten człowiek powinien się zachować. Wiedział, że w wyższych warstwach wojskowych istniał człowiek-kontakt i wiele szczegółów dotyczących Hanoi pochodziło od niego. Teraz dla Morrisona stało się jasne, kto to był. Jednakże nic nie przerażało go bardziej niż zdrajca, który był sam przerażony. Uczono go, aby unikać takich ludzi za wszelką cenę. Najczęściej bowiem ich podejrzenia miały uzasadnienie.

— Zakłada pan, że został zdemaskowany? — zapytał i stwierdził jednocześnie.

— Nie! — W oczach Fortina pojawiło się przerażenie. — Nie wiem. Chyba nie ma powodów, aby tak sądzić. Och, nie wiem, co myśleć. Pracuję zbyt ciężko. Pewnie to jest przyczyną mojego przewrażliwienia.

— To dlatego nalegał pan, abyśmy spacerowali? Chce pan, by deptali panu po piętach? — Lekcja numer dwa: unikać uciekających, bo zawsze ktoś ich goni.

— Nie wiem, kim mogliby być ONI. Proszę o tym zapomnieć. Po prostu... lubię spacerować — odpowiedział Fortin przygnębionym głosem. Zatrzymał się i spojrzał poważnie na Morrisona. — No więc, do rzeczy. Co ma pan dla mnie?

— Słucham? — zdziwił się Morrison.

— Dlaczego... dlaczego chciał się pan ze mną skontaktować... — Fortin zamilkł raptownie, uświadamiając sobie z przerażeniem, że wpadł w pułapkę! Ten cały Borodin najwyraźniej zdziwił się pomysłem, że to on miałby zainicjować spotkanie. To nie Borodin dzwonił, a więc...

Morrison zorientował się jeszcze prędzej, że to jest zasadzka. Błyskawicznie wmieszał się w tłum, zdzierając z siebie czapkę i kurtkę. Pędził co sił w nogach. Nie wiedział, czy zdołali go zidentyfikować. Fortin natomiast był już stracony. Ktoś się o nim dowiedział. Morrison usłyszał za sobą krzyki i odgłos dudniących kroków. Potem rozległy się wystrzały z pistoletu — cała seria. Ludzie rozpierchli się w popłochu.

Zrobią wszystko, żeby go złapać, pomyślał, i wszystko, aby mnie dostać. Fortin to łatwy łup. Nie wiedzieli prawdopodobnie, jak dokładnie wygląda Morrison. Jeżeli poszliby za nim, rozpoznaliby go po kurtce i czapce. Te jednak leżały w koszu na śmieci. Jeśli szli przed nim, mogli przyjrzeć się rysom jego twarzy. Oby tylko udało mu się uciec...

Metro! Uzmysłowił sobie drogę ucieczki. Tłum ludzi stał w kolejce do ruchomych schodów. Wychodzący z metra tworzyli jeszcze większy tłok. Idealne miejsce, aby zgubić prześladowców. Chyba że obstawili już wejście. Wmieszał się w kolejkę. Uważnie przyglądał się twarzom. Nasłuchiwał też, czy za plecami nie dzieje się coś niepokojącego, czy nie idą za nim. Z ulgą stwierdził, że nic nie budzi podejrzeń.

Metro mieściło się głęboko pod ziemią. Zaprojektowano je tak, aby mogło służyć jako schron w razie ewentualnego bombardowania Moskwy. Zjazd w dół ruchomymi schodami wydawał się ciągnąć w nieskończoność. Ludzie stali stłoczeni obok siebie, bez ruchu. Przepychanie się czy próby wyprzedzenia uważano za niewłaściwe i podejrzany ruch mógł przyciągnąć uwagę. Morrison stał więc sztywno na stopniu i odliczał nerwowo sekundy, czekając na... Nagły przeciąg uzmysłowił mu, że właśnie przyjechał pociąg. Spóźnił się o sekundy, aby go złapać. Drzwi zatrzęsły mu się przed nosem.

Za wszelką cenę chciał zniknąć z feralnej stacji. Było mu wszystko jedno, w którą stronę jechać. Jak na złość nie nadjeżdżał żaden pociąg. Zaczął nerwowo przechadzać się wzdłuż peronu. W pewnym momencie zobaczył człowieka mówiącego coś do przenośnego odbiornika radiowego. Nie gapić się, przemknęło mu przez myśl. To prawdopodobnie jeden z nich. Człowiek ten nosił zbyt dobre ubranie jak na pracownika metra... Tak, wyglądał na agenta KGB! Morrison szedł dalej w stronę zachodniej linii. Jak, u licha, nie zwrócić na siebie uwagi? Ktoś przed nim wrzucił gazetę do kosza. Sięgnął po nią, nie zmieniając kroku. Rozłożył ją i szedł dalej, pozornie pogrążony w lekturze. Kątem oka dostrzegł następnego człowieka wyglądającego na pracownika KGB, który chodził od Podróżnego do podróżnego. Domyślili się pewnie, że Morrison mógł uciec do metra. Agent KGB mierzył spojrzeniem wszystkich męż-<sup>czyzn</sup> znajdujących się na peronie. Czy znał jego rysopis?

Powiew wiatru zapowiedział następny pociąg. Ten z KGB był coraz bliżej, studiował uważnie ubiory i twarze mężczyzn. Szybciej... szybciej... co za cholerny pociąg! Serce Morrisona waliło jak dzwon. Bał się, że dostanie ataku serca, zanim pociąg zatrzyma się na peronie i otworzy drzwi. Wreszcie! Hamujący pojazd stanął i drzwi otworzyły się z sykiem. Morrison wraz z grupką ludzi wszedł do środka, starając zachowywać się jak najbardziej naturalnie. Nie oglądał się za siebie. Wagon był w połowie pusty. Usiadł na tylnym siedzeniu i rozłożył gazetę. Zauważył, że agent KGB zagląda do środka i nadaje przez radio, ale nie dostrzegł nic szczególnego w jego zachowaniu. Nie rozpoznał mnie, odetchnął Morrison. Drzwi zamknęły się i pociąg ruszył. Dzięki Bogu! Morrison niemalże słyszał bicie swego serca, gdy pociąg wtoczył się do tunelu. Czy był bezpieczny? Czy obstawili tylko tę stację, czy również inne? Te pytania nie dawały mu spokoju. Nie wiedział, do jakiej wsiadł linii. Tak bardzo starał się nie zwrócić na siebie uwagi, że zapomniał spojrzeć na napis na wagonie. Pociąg pędził w ciemnościach w nieznanym kierunku.

Po chwili zaczął hamować. Wyjechali z tunelu. Przez okno zobaczył nazwę stacji — Puszkinskaja. W porządku. Zorientował się, gdzie jest, dzięki mapie metra wywieszanej w wagonie. Sprawdził nazwę następnej stacji. Wszystko układało się po jego myśli.

Spoglądając przez okno, zauważył nagle podejrzanego mężczyznę, który dokładnie lustrował pasażerów. To na pewno tajniak, pomyślał Morrison i pochylił się nad gazetą. Dlaczego, do diabła, pociąg nie odjeżdża? Skąd ta zwłoka? Wszyscy pasażerowie zajęli już miejsca, ale drzwi pozostawały otwarte. Czyżby jakaś awaria? A może KGB postanowiło zatrzymać właśnie ten pociąg w celu sprawdzenia pasażerów?

Człowiek z radionadajnikiem wszedł do wagonu. Drzwi zatrzasnęły się za nim. Rozejrzał się dokładnie i usiadł o parę miejsc od Morrisona. Wydawało się, że nie patrzy na niego, ale Morrison był pewien, że kątem oka przygląda się wnikliwie współpasażerom. Następna stacja — Barikadnaja. Przy niej znajdowało się przecież zoo! Morrison przypomniał sobie opowieść Larysy o spotkaniu z Ernstem Guntherem. Co za niezwykły zbieg okoliczności, pomyślał. Wiedział już, że za Barikadnaja jest Kijewskaja i że tam można przedrzeć się na linię jadącą z powrotem w stronę centrum. Tak, to

światny pomysł. Zostaw faceta z KGB i zabieraj się z tego cholernego wagonu, powiedział sobie. Kijewskaja to olbrzymia stacja, idealne miejsce, aby zniknąć z pola widzenia niepożądanym prześladowcom. Zbiegały się tam trzy linie metra, był też tunel, którym podróżni przechodzili na inne perony. Masa ludzi... i masa sposobów, aby się zagubić.

Pociąg zaczął zwalniać. Morrison jako jeden z pierwszych stanął przy wyjściu. Za nim ustawiła się spora kolejka. Typ z KGB także wysiadał na tej stacji! Między nim a Morrisonem stała tylko jedna osoba — starsza kobieta z olbrzymią siatką pełną zakupów. Wysiadał wolno, babciu, modlił się w myślach. Miał nadzieję, że zanim kobiecina wygramoli sięgną peron, on zniknie już w zbawczym tłumie wypełniającym stację Kijewskaja. Gdy drzwi otworzyły się, Morrison energicznie wysiadł z pociągu i sprężystym krokiem udał się w stronę tunelu, lawirując wśród tłumu podróżnych. Ku swemu zdziwieniu spostrzegł, że starsza kobiecina przepycha się z determinacją tuż przed nim w tym samym kierunku. Desperacko pragnął odwrócić się, ale ruch taki byłby szaleństwem. Jeśli facet go podejrzewał, zdradziłby się. Nie mając innego wyjścia, poruszał się wraz z tłumem w stronę wschodniej linii.

Gdy znalazł się na właściwym peronie, wyciągnął gazetę spod pachy i rozłożył ją. Udając, że czyta, miał okazję rozejrzeć się wokół siebie. Nie dostrzegł faceta z KGB. A może ten po prostu dobrze się ukrył? Po paru minutach nadjechał pociąg. Morrison wsiadł pozornie spokojny, choć w rzeczywistości serce kołatało mu wciąż ze strachu. W wagonie nie dostrzegł nikogo podejrzanego.

Następną stacją był Park Kultury. Tam przesiadł się ponownie, tym razem na linię północną. Gdy pociąg ruszył w pożądanym kierunku, Morrisonowi ulżyło. Udało mu się! Nikt z podróżnych nie wyglądał na pracownika KGB. Skoro go nie śledzili, nie wiedzieli, jak wygląda. Inaczej nie zdołałby uciec.

Wysiadł na Prospekcie Marksa i na piechotę udał się w kierunku ulicy Gorkiego. Musiał się spotkać z Larysą. Wszystko się pozmiało! Jeśli w KGB wiedzieli o Fortinie i o tym, że zdradził informację o wyrzutniach wokół Hanoi, postawi to na nogi i Kreml, i Waszyngton. Musieli też być poinformowani o działalności obcego agenta, choć nie znali jego wyglądu. Przewrócą świat do góry nogami, aby mnie wytropić, pomyślał Morrison.

Musiał zabrać stąd Larysę. Jedyne ona liczyła się w jego życiu. Zdawał sobie sprawę, że gdyby dowiedzieli się o tym w jego agencji byłby skończony. Nie dbał o to. Ona stała się najważniejsza, ale rozumiał, że Larysa nie będzie w pełni jego, dopóki żyje Stalbo. Sprawy bardzo się pokomplikowały.

# HISTORIA LARYSY MOSKWA

Larysa obudziła się zrana zimnym potem. Nie dniało jeszcze, ale strach uniemożliwił jej ponowne zaśnięcie. Wstała i poszła do opustoszałej o tej porze kuchni. W lodówce znalazła gruszkę, którą zjadła, zanim przyrządziła sobie parę kanapek z serem i kielbasą. Nie mogła ich jednak przełknąć. Żołądek skurczył się z napięcia i strachu. Zawsze ulgę przynosiła jej gorąca kąpiel. Odkręciła więc kurek przy wannie. Woda ukoila skołataną nerwy tylko na moment. Larysa nie przestawała myśleć, że dzisiejszy dzień będzie całkowicie inny od dotychczasowych. Dzisiaj miała wykonać polecenia Morri-sona. Dokładnie jak jej powiedział. Czekala na tę okazję od... od dwudziestu lat. — Stalbo!

Po raz pierwszy tego ranka wymówiła jego nazwisko. Żołądek skurczył się jeszcze bardziej, a serce podeszło do gardła. Czuła się słabo i dziwnie. To głupota, powiedziała sobie, czysta głupota. Tylko dzieci chorują, gdy są przerażone. Nie mogła jednak opanować ogarniającego ją omdlenia i wymiotowała wprost do wanny. Nie miała siły wstać. Biernie przyglądała się, jak nie strawione części owocu pływają po powierzchni wody. Przeraziła ją myśl, że taką reakcję wywołał jedynie dźwięk jego nazwiska.

Przemogła się w końcu i wstała obawiając się, że ktoś ze współlokatorów zechce skorzystać z łazienki i zobaczy, co uczyniła.

To takie dziecinne. Powinna się kontrolować, a nie tracić panowani w ten sposób.

Idąc ulicą Gorkiego, czuła się już lepiej. Była zdecydowana, ni nie mogło już jej powstrzymać. Miała możliwość ujawnić tajemnicę najokrutniejszego człowieka w Związku Radzieckim. Chciała to zrobić. Ze zdumieniem spostrzegła, że jest już na ulicy Prawdy. Nie spodziewała się, że dojdzie tak szybko. Zatrzymała się i dłuższą chwilę przyglądała się szaremu budynkowi przy końcu ulicy. Znowu poczuła skurcze żołądka. Nie miała czym zwymiotować. Zakręciło jej się przed oczami. Podnosząc rękę do czoła, aby się uspokoić, nieświadomie potrąciła jakiegoś przechodnia. Odskoczyła na bok, gdy usłyszała stek wyzwisk pod swoim adresem. Incydent przywrócił jej równowagę, ale nie mogła opanować wszechogarniającego strachu. Nie była w stanie wejść do budynku „Prawdy” ani składowanie porozmawiać z Olegiem Kierczenką, którego polecił jej Morrison. Jack zapewnił ją, że Kierczenko cierpliwie i ze zrozumieniem wysłucha, co ma do powiedzenia. Ruszyła w dół ulicy, skręcając nagle w Bulwar Leningradzki. Nie zwracała uwagi na otoczenie, dopóki nie wyłonił się przed nią znajomy park Dynamo. Co za zbieg okoliczności, pomyślała. Czy to los usiłuje dodać jej odwagi?

Larysa szła w stronę ławki, gdzie znalazł ją Morrison. Była spięta. Usiłowała odnaleźć w sobie siłę, którą kiedyś posiadała. O tej porze dnia park był wyludniony. Kiedy dotarła wreszcie, nie poczuła nagłego przyływu mocy. Miejsce nie różniło się niczym od innych. Straciło symboliczne znaczenie, które mogłoby podtrzymać w niej zdecydowanie. Była teraz jedyną panią swego losu. Zawróciła w stronę Bulwaru Leningradzkiego. Ku swemu zdziwieniu bez wahania wkroczyła na ulicę Prawdy i po chwili znów stała przed budynkiem. PRAWDA — głosił napis na ponurym gmachu. O ironio losu, prawda! Przecież przysła tu, aby powiedzieć prawdę — ujawnić rzeczywiste oblicze Wiktora Stałby. Człowieka, który zaszedł na tak wysokie stanowisko w KGB i zamierzał zostać prawą ręką Breżniewa.

Pewnie weszła do holu i zbliżyła się do okienka recepcji.



- Przepraszam.
- Czy jest pani umówiona? — zapytała ostro kobieta. — Tak.
- Pani nazwisko?
- Larysa Alusztą.
- Kogo chce pani zobaczyć?
- Olega Kierczenkę.

Kobieta nie spojrzała na nią ani razu.

- Drugie piętro. Schodami na prawo — wskazała ręką kierunek. — Winda jest dla petentów jadących wyżej.
- W tym momencie straciła zainteresowanie Larysą i zajęła się następnym klientem. — Jest pan umówiony?
- Od nowa rozpoczęła swoją procedurę.

Larysa odeszła od okienka. Wolno wspinała się po schodach, powtarzając w myślach, co miała do powiedzenia Kerczenke. Na drugim piętrze hol był prawie tak olbrzymi jak wejściowy. przy wejściu stało biurko, za którym siedziała poważna matrona.

- Pani nazwisko — zażądała, przygotowując formularz.
- Larysa...
- Nazwisko, nie imię — przerwała kobieta niegrzecznie.
- Alusztą — powiedziała cicho, czując, że powraca uczucie niemocy.
- Pierwsza litera imienia?
- Lary... L.
- Umówione spotkanie?
- Pan Kierczenko... On wie, że jestem...

Kobieta nie słuchała dłużej. Podniosła słuchawkę telefonu i oznajmiła:

- L. Alusztą jest tutaj. — Odłożyła słuchawkę, nie czekając na odpowiedź. Najwyraźniej Oleg Kierczenko nie był wystarczająco ważny, aby miała się wysilać na uprzejmość.

Larysa czekała na wezwanie, przestępując z nogi na nogę. Ogarniały ją coraz większe wątpliwości. Dlaczego miała opowiedzieć swą historię obcemu człowiekowi? Skąd Jack miał pewność, że Oleg Kierczenko jest godny zaufania? Morrison i jego ludzie utrzymywali kontakt z tym człowiekiem. Nie zdradzi jej sekretu, chociaż jest zaufanym członkiem partii, ale ta cała sprawa wydawała się jej niejasna. Czy naprawdę mogła wierzyć człowiekowi pracujące

mu na niekorzyść organizacji, do której należał? Miała co do tego wątpliwości.

— Towarzyszka Alusztu? — Usłyszała swoje nazwisko. Odwróciła się. W drzwiach przy końcu holu stał niski mężczyzna

w źle dopasowanym garniturze. Gestem ręki poprosił, żeby szła za nim. Przeszli wąskim, ciemnym korytarzem do dużego pokoju przepelnionego pracownikami stukającymi na maszynach do pisania. Obłok dymu z papierosów zaparł jej dech w piersiach. Kierczen-ko poprowadził ją do biurka w odległym rogu pomieszczenia i wskazał na drewniane krzesło.

— Proszę usiąść, towarzyszeko... Alusztu, czy tak? — Zauważyła, że był spięty.

— Zgadza się. — Usiadła, przyglądając się mu uważnie. Jak miała zacząć rozmowę?

Kierczenko czekał. Lustrował jej twarz, potem zatrzymał spojrzenie na piersiach, dopóki nie odezwała się:

— Mój przyjaciel, towarzysz Borodin, powiedział, że może mi pan pomóc.

— Czy to właśnie on do mnie dzwonił?

— Nie znacie go? — zdziwiła się.

— Nigdy go nie spotkałem. — Znowu przyglądał się jej piersiom. — Chyba zdobył moje nazwisko od kogoś.

Nie ma znaczenia, kogo znam w tym biznesie. Moim zadaniem jest dowiedzieć się prawdy. — Podniósł oczy na jej twarz. — A więc z czym do mnie przychodzicie, towarzyszeko Alusztu?

Odgarnęła opadający na czoło kosmyk włosów. Jak zacząć? A jeśli ten cały Kierczenko pójdzie z tą historią prosto do KGB?

— Nie wiem, jak... nie jestem pewna... — zaczęła, jękając się. Oczy mężczyzny znów błędziły po jej ciele.

Nagle wybuchnęła: — Mogę udowodnić, że generał Wiktor Stalbo jest zdrajcą! — Zdziwiła się swoimi słowami nie mniej niż Kierczenko, sądząc po wyrazie jego twarzy.

— Generał Stalbo z KGB? — Oczy mężczyzny były wielkie jak spodki. — On jest zdrajcą? — Rozejrzał się dookoła, czy nikt ich nie usłyszał.

Larysa skinęła głową.

— Mogę to udowodnić.

122

— Zdrajcą? — powtórzył Kierczenko. — Pracuje dla Amerykanów? — zapytał niepewnie po dłuższej pauzie. — Nie, nic z tych rzeczy. Podczas drugiej wojny światowej służył w niemieckiej dywizji Własowa. — Zorientowała się, że nazwa nic nie mówiła jej rozmówcy. — Walczył przeciwko Rosji. Osobiście zabił wielu radzieckich żołnierzy.

— Skąd wiecie to wszystko? — Wziął długopis i zaczął robić notatki. — Oczywiście byłoby dużo lepiej, jeżeli moglibyście przytoczyć jakieś fakty przeciw Stalbie z niedalekiej przeszłości. Ale może i to wystarczy — zastanowił się. — Jeżeli uda się udowodnić, że kolaborował z Niemcami.

W rzeczywistości Kierczenko miał nadzieję, że usłyszy coś więcej. Na przykład, że Stalbo pracował dla Amerykanów, ale w końcu historia z faszystami to też nie było co. Niecodziennie trafiała się gratka zdemaskowania tak wysokiego dostojnika KGB. Postanowił wysłuchać opowiadania kobiety. Poza tym podobała mu się bardzo.

— Proszę, towarzyszek Alusztu, czy możecie wyjaśnić szczegółowo swoje oskarżenie? — Znów wpatrywał się w jej biust.

Larysa wzięła głębszy oddech. Nie ufała temu mężczyźnie, którego bardziej interesowała jej figura niż opowieść. Skąd Morrison zdobył jego nazwisko? Zrobiło jej się gorąco. Przełknęła ślinę, zanim zaczęła mówić. Spędziła wiele godzin na ćwiczeniu opowieści. Twarz Kierczenki nie wyrażała żadnych emocji, ale kiedy spoglądał na Larysę, wydawał się rozbierać ją spojrzeniem. Z trudnością łapała oddech. Czuła się coraz słabiej. — Towaryszko Alusztu, źle się czujecie? — Kierczenko zauważył, że zachwiała się na krześle, jakby miała zemdleć. Twarz jej zbladła. — Co się z wami dzieje?

Larysa dostrzegła troskę w jego oczach. Pochylił się w jej kierunku i poruszał ustami, ale do niej nie docierał żaden dźwięk. Sięgnął po jej rękę. Chciała ją cofnąć, ale nie była w stanie. Ścisnął jej dłoń, potem poklepał. Nie reagowała.

— Towaryszko Alusztu! Czy mnie słyszycie?

Cały wysiłek skoncentrowała na oddychaniu. Wszystko wydało jej się bez sensu. Nie powinna była tu przychodzić. Ten człowiek nie miał zamiaru pomóc jej w zdemaskowaniu Stalby. Ale Jack przekonał ją, że najlepiej będzie zastawić pułapkę na Stalbę jako człowieka zaangażowanego w rozmieszczenie wyrzutni rakietowych. Wyjaś

niał, że dla dobra kraju, świata, a nawet jego samego to najwłaściwsze rozwiązanie, lepsze od zaplanowanego morderstwa.

— Towarzyszko Alusztu! Wyrzutnie... nie obchodziły jej wyrzutnie. Chciała tylko zemścić się na zabójcy swej matki.

— Towarzyszko Alusztu!

Spojrzała w górę, ale jej oczy nie widziały twarzy Kierczenki. Wydało jej się, że stoi przed Stalbą.

— Towarzyszko Alusztu!

Tym razem głos dotarł do niej. Wróciła do siebie. Zobaczyła pochylonego nad nią Kierczenkę i tłum ludzi przyglądających się jej z ciekawością. Larysa wstała. Musiała wyjść, nim zasłabnie ponownie. Wydawało się jej, że o mało nie umarła, ale teraz jasno docierało do niej wszystko, co działo się dookoła. Dym, zatęchłe powietrze, mężczyzna rozbierający ją wzrokiem. Chciała uciec z tego miejsca.

— Towarzyszko Alusztu, czujecie się lepiej?

— Tak, tak. Muszę już iść. Ach... dziękuję za spotkanie.

— Ale przecież nie skończyliście. Mówiliście właśnie...

— Muszę już iść.

— A wasza opowieść?

— Zadzwoń. Spotkamy się, gdy pocuję się lepiej. — Wycofując się, potrąciła krzesło. — Proszę mi wierzyć... Zadzwoń. — Odwróciła się i pospieszyła do wyjścia, zostawiając za sobą osłupiałego Kierczenkę i ludzi przyglądających się z zainteresowaniem. Ledwie powstrzymała się od biegu. Zrobiła z siebie idiotkę! Urzędniczka za biurkiem w holu przyglądała się zimno, gdy Larysa przemknęła obok. Schody wydawały się ciemniejsze niż poprzednio, a hol na parterze jaśniejszy i wrogi. Recepcjonistka również przyglądała się ponuro, gdy dziewczyna zmuszając się do wolniejszego kroku, przechodziła przez korytarz. Na świeżym powietrzu Larysa poczuła się lepiej. Bez namysłu skierowała się do swego mieszkania. Nigdy nie powinna była dać się namówić Morri-sonowi na zmianę pierwotnego planu.

W tym czasie w biurze „Prawdy” nowo zatrudniony pracownik, który rzadko uczestniczył w przyjęciach petentów, przyglądał się notatkom Kierczenki.

— Czego chciała od was ta stuknięta kobieta?

— Nie jestem pewien. Miała mi opowiedzieć pewną niesamowitą historię. — Kierczenko potrząsał głową ze zdziwieniem.

— Coś wartego uwagi?

— Nie wiem. Trudno powiedzieć.

— Na jaki temat?

— Coś o generale Stalbie z czasów wojny. Nie wiem, czy kłamała, czy po prostu była przestraszona. Mówiła, że w czasie wojny Stalbo nosił mundur niemiecki. — Cała ta sprawa wstrząsnęła Kierczenką. Cenił pracę w redakcji „Prawdy”, lecz dotychczas rzadko miał kontakt z ludźmi pokroju tej kobiety.

Rozmówca Kierczenki zauważył nazwisko w notatniku.

— Larysa Alushta. Czy skontaktowała się z wami bezpośrednio?

— Nie, ktoś zadzwonił i umówił ją ze mną. Powiedział, że zainteresuje mnie jej historia.

— Nie możecie oddzwonić?

— Nie, nie pamiętam nawet nazwiska. — Do Kierczenki dotarło nagle, że pozostali współpracownicy przysłuchują się rozmowie. — Muszę się zabrać za robotę. Nie interesują mnie sprawy tego typu. — Zatrząsał się nerwowo. — Mam nadzieję, że nie będzie usiłowała zobaczyć się ze mną ponownie.

Nowo zatrudniony nie odezwał się więcej, choć wiedział, że to nie nastąpi. Wiktor Stalbo miał się o to postarać. Morderstwo w Rosji nie jest łatwym zadaniem. Obywatele nie mają prawa posiadać broni, lecz — tak jak i w innych krajach — istnieją sposoby jej zdobycia.

Larysa Alushta przystąpiła do akcji z niemalże pobożnym namaszczeniem, nie zdając sobie sprawy, jak była w tym naiwna. Zanim dotarła do domu, postanowiła okłamać Morrisona. Zadzwoniła do niego i przekonała, że Kierczenko kupił jej opowieść i ma się z nią skontaktować w najbliższym czasie. Kłamstwo to dawało jej trochę czasu. Po telefonie udała się pod Kwaterę Główną KGB. Błąkając się w pobliżu urzędów, zastanawiała się, dlaczego od razu nie zdecydowała się na ten krok. Niepotrzebnie marnowała czas z Ernstem Guntherem, a uczucie do Morrisona sprawiło, że zgodziła się na jego plan. Teraz nie zależało jej już, aby zhańbić

Stalbę publicznie. Pragnęła prostej zemsty — śmierci bestialskiego mordercy.

Dokładnie za pięć dwunasta przed budynkiem, w którym urzędował Stalbo, zatrzymała się czarna limuzyna. Po chwili zobaczyła go schodzącego po schodach. Ubrany był po cywilnemu, a nie w mundur, tak jak oczekiwała. Miała jednak pewność, że to on. Chociaż fotografia w gazecie pochodziła sprzed paru lat, Stalbo nie postarzał się zbytnio. I ten szyderczy wyraz twarzy! Rozpoznałaby go nawet po stu latach.

Stalbo nie odpowiedział na saluty szofera. Wsiadł do limuzyny, zatrzaśnięto za nim drzwi i samochód odjechał. To trwało bardzo krótko, pomyślała Larysa, według jej zegarka — nie więcej niż trzydzieści sekund. Naiwnie założyła, że Stalbo codziennie odjeżdża limuzyną o tej porze. Nie zauważyła też śladu ochrony osobistej. Jest zupełnie sam, pomyślała.

Gdy zadzwoniła do Jacka pod koniec dnia, skłamała po raz drugi. Poprosiła, aby pożyczył jej samochód, ponieważ właśnie dowiedziała się o ciężkiej chorobie przyjaciółki. Chora mieszkała poza miastem i potrzebowała pomocy. Mimo że Larysa nigdy nie była skłonna do długich pogaduszek przez telefon, Morrison wyczuł zmianę w jej głosie. Odzywała się mechanicznie, jakby rozmawiała z kimś obcym. Zdziwiło go, że odrzuciła jego zaproszenie na obiad. Wyjaśniła, że jest bardzo zmęczona. Po raz pierwszy usłyszał od niej taką wymówkę.

Przygotowując zamach na nienawidzonego człowieka, Larysa nie miała pojęcia, że dwadzieścia minut po tym, jak opuściła biuro Kiercenki, jej nazwisko było już znane Stalbie. Od południa z polecenia KGB dwóch mężczyzn śledziło każdy jej krok. W czasie gdy udała się pod urząd, zainstalowali podsłuch w jej telefonie. Nie zdążyli przechwycić pierwszej rozmowy z Morrisonem, ale druga — o samochodzie — dała im cenne wskazówki, gdzie szukać tego mężczyzny.

Morrison zbliżał się do bloku, w którym mieszkała Larysa. Był wytracony z równowagi wypadkami tego dnia, a rozmyślenia o telefonie Larysy przygnębiły go. Wszedł do klatki schodowej, nie zauważając mężczyzny spacerującego przed budynkiem. Inny mąż

czyzna minął go w korytarzu. Godzinę później zdjęcie Morriso<sup>a</sup> znalazło się na biurku Stałby.

— Niepotrzebnie przyszedłeś — powiedziała Larysa. — Wie<sup>m</sup> przecież, że jesteś bardzo zajęty. Sam mówiłeś, jak mało masz ter<sup>az</sup> czasu. — W jej głosie było napięcie.

— Chciałem usłyszeć coś więcej o twojej rozmowie z Kierczej<sup>n</sup>-ką — skłamał. — Nie jest jednym z nas i... chcę wiedzieć wszystko, co powiedział.

Siedzieli na starej kanapie. Pogłaskał Larysę uspokajająco p<sup>o</sup> ręce. Zrelacjonowała mu bez emocji swoją wersję spotkania z reporterem. Przygotowała się do tego, wiedząc, że Morrison będzie chciał znać szczegóły.

Potrzebowała tylko trochę czasu, jeden dzień! Jeśli zdoła zwieść Morrisona, Wiktor Stałbo zginie jutro! Jej wyjaśnienia wydawały się wiarygodne.

— Czy zrozumiał, dlaczego teraz mu to wszystko opowiadasz? — zapytał Jack i bez zastanowienia spreparował historyjkę o intrydze w KGB, która miała zainteresować wszystkich radzieckich dziennikarzy. Czas naglił bardziej niż kiedykolwiek.

— Miałeś rację — zgodziła się, ale w oczach nie pojawił s<sup>ię</sup> ciepły blask, który zawsze go fascynował. —

Kierzenko powiedzie że Komitet Centralny zawsze interesuje się spiskami w KQ<sup>B</sup>. Obiecał zachować wszystko dla siebie, bo ma nadzieję na promocję, gdy wydrukują jego materiały.

— To czemu musisz się z nim spotkać ponownie? Przecież zostawiłeś mu całą historię na piśmie.

— Tak, ale prosił o spotkanie, ponieważ sądził, że po przeczytaniu będzie miał do mnie pytania.

— A nie pomyślałeś, że to może być pułapka?

— To wykluczone — stwierdziła z nieszczerą pewnością. A przecież zaledwie dwa dni temu płakała Morrisonowi <sup>n</sup>a ramieniu pełna obaw, że reporter „Prawdy” może okazać <sup>je</sup> agentem KGB.

Dalsza rozmowa nie miała sensu. Larysa poczuła się zmęczona, wszystko ją drażniło i chciała zostać sama. Powiedziała, że w biurze Kierzenki odżyły stare, bolesne wspomnienia. Poprosiła, aby tę noc pozwolił jej spędzić samotnie. Nawet jej usta były zimne, gdy pocałował ją na dobranoc. Przyszło mu do głowy, że zachowywała się tak, jakby chciała mu powiedzieć: żegnaj.

Morrison wyszedł z bloku, a czekający na zewnątrz agent KGB niepostrzeżenie udał się za nim. Generał Stalbo twierdził, że był to agent amerykański, któremu udało się przedostać do ich kraju i pozostać nie rozpoznany dłużej niż inni szpiedzy. Śledzącemu wydało się dziwne, że tak sprytny człowiek miałby dać się zdemaskować w tak banalny sposób.



# HISTORIA STAŁBY MOSKWA

N

l l a biurku Stałby leżał plik fotografii. Generał przyglądał się im po kolei, początkowo pobieżnie, potem dokładniej. Dziewczyna była śliczna... młoda i śliczna, chociaż na jej twarzy malował się grymas cierpienia. Zastanawiał się, co mogło być tego powodem. Prawdopodobnie stres, jaki teraz przeżywała. Mężczyzna z kolei nie wyróżniał się niczym szczególnym. Miał zatroskany wyraz twarzy. Dla Stałby stało się jasne, że oboje przechodzili krytyczny okres.

Oczy generała powracały nieustannie do zdjęcia dziewczyny, Larysy Aluszy. Jej tożsamość nie budziła wątpliwości. To właśnie ona nie dawała mu spokoju przez dwadzieścia lat. Czasami usiłował sobie wmówić, że dziewczyna nie żyje. Z informacji, jakie zdołał o niej uzyskać, wynikało, że wówczas zniknęła z Cyganami. Nic więcej do tej pory nie wiedział. Przez lata jej imię straszło go po nocach. Teraz brzmiało pięknie. Larysa. Dwadzieścia lat żył w obawie, że mała dziewczynka, jak ją pamiętał, ponownie pojawi się w jego życiu. I rzeczywiście, powróciła jako dorosła kobieta. Piękna, a zarazem bardziej niebezpieczna, niż kiedykolwiek podejrzewał.

Ma zamiar mnie zabić, pomyślał Stałbo. Był z tego w pewien sposób dumny. Spotykał się ze śmiercią innych ludzi na co dzień. Przewidział i zapobiegł wielu próbom zamachu na siebie. Stanowiło to część jego pracy, ale nikt do tej pory nie porywał się na jego życie z chęci czystej zemsty. Świadomość tego sprawiała mu przyjemność. To fascynujące, gdy jest się celem polowania, ale z góry wiadomo, że

129

myśliwy nie ma najmniejszej szansy. Dla Stałby taka sytuacja stanowiła wyzwanie. Rozmyślał, gdzie i kiedy dziewczyna porwie się na jego życie. Irracjonalna satysfakcja wypełniała mu duszę, a myśl o tym, jak zamach zostanie udaremniony, wyzwalała w nim wprost dziką radość.

Stalbo wydał rozkaz, aby nie zatrzymywać mężczyzny, dopóki nie dostaną dziewczyny. Stanowiła jego główny cel, posiadała bowiem wiadomości zagrażające jego karierze. Mężczyzna, który na pewno był agentem amerykańskim, stanowił cel numer dwa. Ujęcie dziewczyny po tylu latach stało się kamieniem milowym w karierze Stałby. Gdy ją unieszkodliwi, nic nie zagrozi już jego przyszłości.

Była za pięć dwunasta. Czas na posiłek. Codziennie o tej porze Stalbo jadał z jakąś ważną personą, która mogła pomóc mu w karierze. Każdego popołudnia dokładnie o trzynastej trzydzieści zwoływał zebranie szefów departamentów, na które przybywał prosto z obiadu.

Gdy Stalbo schodził na dół do czekającej na niego limuzyny, człowiek z ochrony osobistej podążał za nim w odległości pięciu kroków. Był to jedyny niecodzienny aspekt normalnego zazwyczaj dnia. Drugi goryl otworzył drzwi wyjściowe. Trzeci w roli szofera prowadził limuzynę, a dwaj pozostali; obstawiali ulicę. Chociaż Stalbo podekscytował się bardzo wiadomością, że jest celem polowania, nie dawał tego po sobie poznać. Nie zamierzał zostać ofiarą. Pragnął ująć z życiem i ująć Larysę Altsztę. Wiedział, że to jedynie kwestia czasu.

Limuzyna stała na zwykłym miejscu. Zegar wybił dwunastą. Szofer otworzył tylne drzwi samochodu i zasalutował na powitanie Stałby. Nagle jakiś samochód wpadł na chodnik nie dalej niż trzy metry od jego limuzyny. Przez moment wydawało się, że kierowca utracił kontrolę. Koła piszczwały, a on walczył z kierownicą. Wycie silnika odbiło się szerokim echem od starych kamiennych budynków. Pojazd pędził jak oszalały.

Wiktor Stalbo tylko raz w życiu doświadczył tak olbrzymiego strachu: natychmiast po lądowaniu w pobliżu Poryni, gdy z przerażeniem zdał sobie sprawę, że jest w mundurze niewłaściwej armii. Teraz znów sparaliżował go strach i nie mógł wykonać żadnego ruchu.

Ochrona dokładnie wiedziała, jak postąpić. Dwaj ludzie mechanicznie rzucili się w kierunku generała. Nie było czasu na delikat

ność. Jeden pchnął go silnie w stronę samochodu, drugi zaś złapał za rękę i dosłownie wyrzucił w powietrze. Stalbo nic nie widział. Przeleciał nad dachem limuzyny i spadł na chodnik za pojazdem. Instynktownie zaczął toczyć się jak najdalej od samochodów. Nie stracił przytomności. Zobaczył ludzi biegnących mu na ratunek. Pomyślał, że limuzyna musiała zostać porządnie uszkodzona. Słyszał krzyki, lecz nie potrafił uporządkować wydarzeń. Zbyt wiele rzeczy wydarzyło się równocześnie. Usiłował podnieść się na łokciu. Zobaczył za sobą kałużę krwi. Podniósł rękę do twarzy. Był ranny, ale ból nie miał dla niego znaczenia. Żył i zdawał sobie sprawę, że nie umrze, gdyż nie stacił zdolności odczuwania. Wiktor Stalbo wiedział, że wygrał! Chociaż nie widział, co działo się za limuzyną, był pewien, że jego ludzie zaopiekowali się tamtym kierowcą — Larysą Alusztą!

W szpitalu KGB, przeznaczonym jedynie dla wyższych oficerów na służbie, Larysa Alusztą była pierwszym cywilnym pacjentem, jaki tam kiedykolwiek zawitał. Była gościem Stałby. Gościem wbrew własnej woli, całkowicie pod jego kontrolą. Stalbo nie był ciężko ranny. Z upadku wyniósł parę skaleczeń i dużą, lecz niegroźną ranę na czole. Obandażowane ramię skrywał pod nowym mundurem. Dziewczyna miała złamane palce u ręki i lekki wstrząs mózgu, co nie stanowiło większego zagrożenia dla jej życia. Na polecenie Stałby dawano jej środki uspokajające.

Stalbo już dłuższą chwilę siedział na krześle przy łóżku śpiącej Larysy. Przyglądał się jej twarzy. Czas zdziałał cuda, zamieniając brudnego, wystraszonego dzieciaka, jakim ją pamiętał z kryjówek, w piękność. Była śliczna, jeszcze ładniejsza w rzeczywistości niż na fotografii. Stalbo przesłuchiwał z ramienia KGB wiele młodych, atrakcyjnych kobiet. Zabawny fakt, pomyślał nad łóżkiem śpiącej. Nie była Matą Hari ani szpiegiem, ani zdrażczynią. To złośliwy los, Pech przywiódł ją w to miejsce. Z drugiej strony — popełniła jednak ciężki grzech. Zapamiętała Stałbę z okresu, który chciał wymazać<sup>2</sup> pamięci.

Gdy zamrugła, pochylił się nad nią. Szkoda że takie rozkoszne stworzenie musiało tyle wycierpieć, pomyślał. Otworzyła szeroko<sup>0</sup>czy i przez moment zatrzymała wzrok na Stałbie, lecz w pierwszej

chwili go nie rozpoznała. Zaczęła rozglądać się po pokoju, usiłując sobie uzmysłwić, gdzie się znajduje. Po chwili jej oczy zatrzymały się znowu na nim. Stawały się coraz większe, w miarę jak go rozpoznawała. Zaciśnęła nagle powieki i potrzęsła głową, jakby chcąc się pozbyć koszmarnej wizji. Lecz gdy ponownie otworzyła oczy, zdała sobie sprawę, że to nie mara senna. Stalbo wiedział, że go poznała. Wiedział też, że rozglądała się w poszukiwaniu drzwi lub okien. Wyraźnie obmyślała drogę ucieczki. A więc jej umysł pracował!

— Dzień dobry, panno Alusztu.

Popatrzyła na niego oczami pełnymi strachu. Świetnie, pomyślał, boi się, więc prędzej się złamie. Współpraca była dla niej jedynym wyjściem. Gdy czekał na odpowiedź, poczuł, że właściwie nie interesowała go jej postawa. Dziewczyna zagrażała jemu osobiście i dlatego nie miało znaczenia, czy zechce wydać plany Amerykanina.

— Czy mogę spytać, jak się pani czuje?

Zmrużyła oczy. Na twarzy pojawił się wyraz rozczarowania, gdy zrozumiała, że Stalbo nie jest ciężko okaleczony. Nie poruszyła ustami.

— Ja czuję się świetnie, jeśli to panią interesuje. Może panią ucieszyć, że jestem ranny w ramię. — Poklepał się po lewym ramieniu. — Ale to nic poważnego. — Uśmiechnął się po ojcowsku. — Jeśli pani czegoś potrzebuje, służę pomocą.

Jej twarz nie wyrażała emocji. Znowu rozejrzała się po pustym pokoju. Generał zażądał, aby usunięto z niego wszystkie sprzęty. Nie było obrazów, lustra, stolika nocnego... Pomieszczenie nie miało nawet okien. Pozostał jedynie zestaw ratunkowy w szafie przy tylnej ścianie. Jeszcze zanim rozpoznała Stalbę, pomyślała, że jest raczej więźniem niż pacjentem. Nie miała co do tego wątpliwości.

— Podziwiam pani zacięcie do nieodzywania się. To wskazuje na siłę woli. — Stalbo założył ręce, jęknąwszy cicho. — Chcę pani uzmysłwić, że w końcu będzie pani musiała ze mną porozmawiać i to już wkrótce. Są pewne sprawy, które muszę poznać. Czy czuje się pani na siłach zacząć teraz? — Jego głos pozostawał miękki i spokojny, prawie czuły, ale z pewnym odcieniem okrucieństwa.

Zadrzała, lecz nie odpowiedziała. W jej głowie kotłowały się myśli. Jedna powracała nieustannie. Nie powiedziała Morrisonowi o swoim zamiarze. Bała się, że usiłowałby ją powstrzymać. Teraz

pozostała zupełnie sama. Poczucie osamotnienia i rozpacz gnębiło boleśnie. Nie udało jej się zniszczyć Stałby. Gdyby wszystko rozważyła dokładniej, nie postąpiłaby tak pochopnie. Była teraz więźniem Stałby i nikt na świecie nie wiedział, gdzie się znajduje. Nie miała pojęcia, dokąd ją zabrano. Nie miała nawet pewności, czy jest w Moskwie.

— Dobrze, nie musi pani teraz odpowiadać. Jak pani woli. Wyobrażam sobie, że musi się pani czuć bardzo słabo po takim pracowitym dniu. — Stałbo wstał. Ostry ból spowodował, że odrzucił pozory szczerości. — Chciałbym odwołać to, co mówiłem wcześniej. Nie obchodzi mnie pani zdrowie. Następnym razem sprawię, że odzyska pani głos. Do tego czasu odnajdziemy też pani współnika. — Obrócił się na piętach i wyszedł. Oczy Larysy napęłniły się łzami.

# HISTORIA MORRISONA MOSKWA

**J**ack Morrison został przeniesiony do Moskwy. Agencja załatwiła mu nowe bezpieczne mieszkanie.

Zastanawiał się właśnie nad zmianą zachowania Larysy, gdy ostry dzwonek telefonu sprowadził go z powrotem na ziemię. Tylko jedna osoba znała nowy numer. Poczekał, aż telefon wyda trzy dźwięki i zamilknie, a potem zadzwoni ponownie. Podniósł słuchawkę. Zanim jego rozmówca skończył pierwsze zdanie, Morrison zdał sobie sprawę, że jego godziny są policzone. Do dzisiejszego rana był pewien, że przewidział wszystkie możliwości.

Przeoczył jednak tę jedną, że pragnienie zemsty może okazać się silniejsze od miłości. Larysa została uwięziona w szpitalu KGB. Poświęciła bezpieczeństwo, szczęście, a nawet swą przyszłość dla irracjonalnej próby zniszczenia znienawidzonego wroga. Informator powiedział jasno, że ludzie Stałby weszli i czekali na rozkaz, aby ująć Morrisona. Mogli pojawić się przed drzwiami w każdej chwili!

Odłożył słuchawkę, nie kończąc rozmowy. Nie należało lekceważyć KGB! Był teraz najbardziej poszukiwaną osobą w Moskwie. Na pewno obstawili już wejście do budynku. Nie dadzą się nabrać na przebranie. Próba przejścia z bronią w rękę może okazać się tragiczna. Jeśli nie zastaną go w mieszkaniu, przeszukają cały blok, aż go dopadną. Jednym słowem, możliwość ucieczki równała się prawie zeru.

Ostrożnie podszedł do okna i wyjrzał, ale na zewnątrz nic nie dawało nadziei ucieczki. Przeszedł pokój i delikatnie otworzył drzwi,

zerkając na korytarz. Nie było tam miejsca, gdzie mogliby się schować. Musieli więc czekać niżej. Wybiegł na korytarz i ostrożnie wyrztał przez okno wychodzące na tyły domu — ani żywej duszy. Zauważył podejżdżającą pod dom śmieciarkę. Przypomnił sobie, że samochód regularnie wypróżniał zsypy, co zajmowało około dwudziestu minut.

Szybko wrócił do mieszkania, usuwając wszystko, co mogłoby zainteresować KGB. Pistolet włożył do kieszeni i wybiegł na tylne schody, uważnie nad słuchując. Nie usłyszał nic podejrzanego. Podeszedł do wjazdu zsypu, podniósł go i wsunął się do środka. Naprzód! Leciał w dół wąskim, oblepionym brudem tunelem. Usiłował sterować nogami i rękami, aby nie nabrać zbyt dużej prędkości. Nierówności ścian kaleczyły go do krwi. Czuł ohydny zapach rozkładających się odpadków. Zastanawiał się, czy hałas, jakiego narobił spadając, dawał się słyszeć na zewnątrz. Na szczęście człowiek wynoszący kontenery nie zauważył jego obecności. Morrison otrząpiał ubranie z brudu i kuśtykając skrył się za drzwiami. Gdy śmieciarz wszedł do zsypu po kolejny pojemnik, powalił go uderzeniem w kark. Ciało osunęło się na posadzkę. Morrison zdjął z niego kombinezon roboczy i włożył na siebie. Potem zaciągnął śmieciarza w stronę pustego kontenera. Resztkami sił dźwignął ogłuszonego i wsadził do pojemnika. Zsyp to ostatnie miejsce, gdzie mogliby go szukać. Zanim natkną się na śmieciarza, Morrison znajdzie się daleko stąd.

Bez trudności rozszyfrował, jak obsługiwać starą śmieciarkę. Na siedzeniu kierowcy znalazł czapkę, którą nasunął głęboko na oczy. Przekręcił kluczyk, zapalił silnik i nacisnął pedał gazu. Pojazd ruszył wolno. Robił tyle hałasu, że Morrison zaczął się obawiać, czy nie ściągnie na siebie uwagi. Nikt jednak nawet nie spojrzął w jego kierunku. Jaki agent amerykański uciekałby przed zasadzką KGB w starym wraku śmieciarki? Taka ewentualność na pewno nie przyszła im do głowy. Sam łatwo rozpoznał ludzi KGB. Usiłowali wyglądać normalnie, ale widać było, że są spięci i czekają na kogoś. Nie zwrócili najmniejszej uwagi na brudną ciężarówkę. Morrison nie zamierzał używać śmieciarki dłużej niż kilka godzin. Gdy agenci KGB zorientują się, że nie ma go w mieszkaniu, przeszukają dokładnie cały blok i w końcu natkną się na uwięzionego w pojemniku śmieciarza. Istniało jedno miejsce, w którym mógłby się zatrzymać, jeśli nadal było bezpieczne.

Trzymając się bocznych uliczek, kierował się na zachód. Stopniowo wielkie budynki ustępowały miejsca fabrykom, potem zabudowaniom kołchozów, a w końcu otwartym przestrzeniom. Jechał wolno drogą prowadzącą do wsi. Na miejscu zaparkował za drzewami w pobliżu jednego z domów. Wydawał się zamieszkały. Ruszył w jego kierunku. Dwa psy leżące na ganku nie zainteresowały się krążącym wokół Morrisonem. W ręce kurczowo ścisnął pistolet. Nagle z domu wyłoniła się kobieta. Mrużąc oczy, przypatrywała mu się. Morrison włożył pistolet do kieszeni. Kobieta skryła się w sieni i po chwili wyszła z powrotem, ale już w towarzystwie mężczyzny. Gdy Morrison zobaczył strzelbę w jego rękach, upewnił się, że miejsce jest nadal bezpieczne. Jeżeli mieli broń, znaczyło to... Podniósł daszek, pokazując zakrwawioną i podrapaną twarz. Mężczyzna pomachał ręką. Morrison odetchnął. Udało się! Mógł się umyć, opatrzyć rany i zmienić ubranie. Nie powinien jednak zatrzymać się tu dłużej. Dom został pomyślany jako miejsce pomocy dla ludzi takich jak on. Mogli odpocząć, odprężyć się, przebrać i najeść, a nawet uzyskać informacje, ale musieli odejść, zanim ktokolwiek nabrałby podejrzeń. Najdłuższy okres pobytu wynosił dziesięć godzin. Morrison nie pozostał dłużej. Dowiedział się, że więźniowie KGB byli przesłuchiwani w pomieszczeniach pod szpitalem, w którym leżała Larysa. Wiktor Stalbo był sadystą, dumnym ze swej reputacji nawet wobec przyjaciół. Morrison wiedział, że Stalbo użyje wszystkich dostępnych mu metod, aby wydobyć z Larysy informacje o nim. Przed odjazdem zapamiętał rozkład budynku Kwatery Głównej KGB. Mógł teraz poruszać się tam z zamkniętymi oczami. Ludzie z domku pozwolili mu zabrać samochód, który stał ukryty w stodole. Należał do agenta KGB, który już nigdy nie będzie go potrzebował. Pojazd idealnie nadawał się do realizacji celów Morrisona.



# HISTORIA STAŁBY MOSKWA

^A^ktor Stalbo był pewien, że Morrison wróci. Szybko zorientował się, że związek Amerykanina z dziewczyną wychodził poza ramy zwykłego romansu. Utrzymanie Larysy przy życiu miało zwabić przebiegłego agenta. Miłość wyprawiała z ludźmi dziwne rzeczy, ulegali jej nawet tacy profesjonalści jak Morrison. Generał nie był zwolennikiem tradycyjnych tortur, często stosowanych za czasów Czeka. Miał swą własną metodę wyciągania informacji, którą nazywał „autentyzacją prawdy”. Przenosił przesłuchiwanego z pokoju do pokoju, wierząc, że zmiana miejsca zwiększa stres. Co miało ich spotkać w następnym pomieszczeniu, skoro już w tym doświadczyli tyle bólu? Sam nie spał wiele. Często przeprowadzał przesłuchania w godzinach nocnych. Zmęczony więzień łamał się szybciej. Stalbo wiedział, że oszołomienie potęguje ból. Nauczył się też przez lata, że miłość działa w dziwny sposób. Niektórzy więźniowie znosili największy ból, godzili się nawet na śmierć, nie chcąc wydać swych kochanków. Pragnął się dowiedzieć, jak głębokie uczucie łączy Larysę z Amerykaninem. Wiedział, że Larysa Alushta będzie twardym orzechem do zgryzienia. Jej zachowanie w szpitalu i fakt, że nienawidziła go z całego serca wskazywały, że wydobycie prawdy zajmie więcej czasu niż zazwyczaj. Mimo to liczył, że należała do osób, które po uporczywym milczeniu wybuchają gniewem. Najważniejsze to przełamać bunt.

Tego wieczoru nie opuszczał budynku szpitala, zadowolając się przekąską w bufecie. Dziewczynie podano środki przeciwbólowe i tabletki nasenne. Przebudzenie będzie dla niej męczarnią. Stalbo pracował przy biurku, dopóki nie zdecydował, że nadszedł właściwy moment. Wtedy...

0

Jego pomocnik wtargnął do pokoju Larysy, zapalając światło i krzyżąc ile sił w płucach. Stalbo stał nieco z tyłu z fałszywym uśmiechem na twarzy. Larysa uniosła się na łokciu, mrugając oślepiąca przez nagły dopływ światła. Ciągłe krzyżąc, mężczyzna ściągnął z niej koldrę i złapał boleśnie za ramię. Usiłowała się uwolnić przerażona najściem.

— Wstawać... wstawać... no już! — Szarpnął ją do pozycji siedzącej i zdarł nocną koszulę. — Wnieście krzesło — rozkazał, ściągając dziewczynę z łóżka.

Generał nie posiadał się z radości na widok zachowania Larysy. Rozsądek ją opuścił. Nie pamiętała, gdzie się znajduje. Zdawała się jedynie rozumieć, że atakuje ją obcy człowiek, że jest naga i że drugi mężczyzna przygląda się scenie.

Przyniesiono wózek inwalidzki.

— Siadaj! — ryknął pomocnik i brutalnie pchnął ją na siedzenie. Pasami unieruchomił jej nadgarstki oraz kostki u nóg, a metalową obręczą przypiął brzuch. Potem popchnął wózek w kierunku drzwi.

Zobaczyła wtedy wyraźniej osobę ukrywającą się do tej pory w ciemności. Rozpoznała go.

— Tak — odpowiedział na jej przerażone spojrzenie. — Jestem Wiktor Stalbo.

Pokój, do którego weszli, był pusty. Z każdego kąta bił ostry snop światła. Larysa opuściła głowę, zaciskając mocno oczy. Mężczyźni przed wejściem założyli ciemne okulary.

— Panno Alusztu, musimy ustalić pewne fakty. — Głos Stałby brzmiał zimno. — Zostanie pani poddana procesowi autentyzacji prawdy, ponieważ zostało już niewiele szczegółów, których nie znamy. Zazwyczaj wydaje mi się konieczne zadawanie pytań, na które znam odpowiedź. Oceniam wtedy prawdopodobność prze

słuchiwanych. Jeżeli pani skłamię, zostanie pani ukarana. Im szybciej się dogadamy, tym szybciej wróci pani do normalnego życia, przy okazji — powiedział po chwili, łagodniejąc nieco — jesteśmy pewni, że została pani zmuszona do zrobienia rzeczy, których nie chciała pani zrobić. Zmusił panią wrogi agent o nazwisku... — zawiesił głos, oczekując, że Larysa się odezwie.

Nie odpowiedziała. Siedziała nadal z opuszczoną głową i zamkniętymi oczami.

— Proszę podnieść głowę i spojrzeć na mnie. — Jego głos pozostawał łagodny, ale każde słowo brzmiało okrutnie.

Nie poruszyła się.

— Musi mnie pani słuchać. — Dał znak ręką. Jego pomocnik gwałtownie złapał ją za włosy i odchylił głowę.

— A teraz proszę otworzyć oczy.

Rozwarła powieki, mrugając w oślepiającym strumieniu światła.

— Lepiej będzie dla pani, jeśli zdecyduje się pani na współpracę. — Przyjrzał się jej twarzy, a potem stanął przed nią tak, że znalazła się w cieniu. — Gdyby nie te oczy, nie pamiętałbym pani twarzy po tylu latach. — Uśmiechnął się. — Żałuję, że nie możemy zostać przyjaciółmi. Wtedy, dawno temu w pani oczach widziałem strach. I przypuszczam, że pamięta pani taki sam wyraz moich oczu. To nas łączyło. **1** nawet teraz, chociaż jesteśmy zupełnie inni, mamy podobne interesy. Osobiście nie mam nic przeciwko pani, mimo że usiłowała mnie pani zabić. Myślę, że została pani do tego zmuszona. Moje oczy mają dziś zupełnie inny wyraz niż w czasach, gdy mnie pani zobaczyła pierwszy raz. — Westchnął. — Ale pani... pani oczy wypełnione są nienawiścią... wyzwaniem... gniewem. To przychodzi z wiekiem, czyż nie?

Przyglądała mu się bez słowa.

— Uwolnię panią z krzesła, jeżeli obieca pani, że będzie patrzyła mi w oczy.

Nie odpowiedziała.

— Rozepnij ją.

Nie opuściła głowy, choć poczuła, że nie jest już skrupowana pasami.

— W porządku — powiedział cicho Stalbo. — Jeśli nie chce pani rozmawiać, na chwilę zostawię panią w spokoju. — Odszedł kawałek, wystawiając ją na oślepiający strumień światła. Zamknęła

oczy. — Przepraszam — powiedział, zajmując poprzednie miej ce. — Widzi pani, że dysponuję małymi karami. Lepiej będzie, jeśli jak najprędzej zdecyduje się pani na współpracę.

— Czy mam wyjść? — zapytał pomocnik.

— Jeszcze nie. Nie mamy pewności, czy panna Alusztta czegoś się nauczyła. — Zapalił papierosa i zaciągnął się niezdarnie. — Nie jestem w tym zbyt dobry — powiedział, trzymając go blisko Larysy.

Dym płynął prosto w jej twarz. Usiłowała odwrócić głowę, ale ciężki uścisk pomocnika uniemożliwił jakikolwiek ruch. Dym drażnił jej nozdrza.

— Myślę, że będzie lepiej, jeśli on zostanie z nami — stwierd Stalbo, oddalając papierosa.

Pomocnik połuźnił uścisk.

— A teraz, zanim zaczniemy, czy jest coś, co mogłoby ułatwić nam rozmowę?

Popatrzyła mu prosto w oczy.

— Moje ubranie.

— No cóż, w tym nie mogę pomóc. Widzi pani — ciągn ojcowskim tonem — przez lata nauczyłem się kilku rzeczy. Na przykład, że ubranie przedłuża przesłuchanie. Ma to coś wspólnego z pewnością siebie. W każdym razie zapewniam, że moje postępowanie w stosunku do pani pozostanie identyczne bez względu na to, czy pani będzie naga czy ubrana. Nie wykorzystam pani seksualnie, jeśli to panią martwi. Dostanie pani swe rzeczy, kiedy skończę sesję.

Stalbo odszedł kawałek, sprawiając, że światło oślepiło ją ponownie. Zdziwił się, że nie opuściła głowy.

Przymknęła co prawda oczy, ale był pewnien, że widziała. Takie zachowanie przedłuży jej agonię, pomyślał.

— Nazwisko pani kochanka! Jego rosyjskie nazwisko brzmi Andriej Borodin. Czy potwierdzi to pani?

Milczała.

— Proszę pamiętać, że to proces autentyzacji prawdy. Znam większość odpowiedzi, potrzebujemy jedynie potwierdzenia. P' kochanek nazywa się Andriej Borodin?

Ponownie skierował dym z papierosa prosto w jej twarz. Rę asystenta zacisnęły się mocno na jej karku.

— Tak czy nie? — Pochylił się nad nią. — Andriej Borodin? Proszę tylko skinąć głową.  
Drgnęła i nieznacznie poruszyła głową. Stalbo przesunął się, kryjąc ją przed światłem w swym cieniu.  
— Dobrze. Jak pani widzi, nie ma sensu z nami walczyć. Wiemy bardzo dużo.  
Zadawał jej proste pytania, na które odpowiadała kiwnięciem głowy. Mówił spokojnym, pewnym głosem.  
Intonacja stała się równie ważna co same pytania. Zmiana natężenia głosu niosła groźbę. Metoda Stalby  
sprawdziła się do momentu, gdy zadał pytanie wymagające odpowiedzi słownej.  
— Amerykańskie nazwisko pani kochanka brzmi Jack... — zawiesił głos dla większego efektu. — Jack... i co  
dalej?  
Milczała.  
— I co dalej? — Zapalił następnego papierosa i stanął obok Larysy, wydając jej oczy na pastwę światła. —  
Teraz potrzebujemy więcej niż zwykłego potwierdzenia. — Przysunął papieros blisko jej nosa, potem ucha.  
Czuła ciepło rozżarzonego tytoniu. Po chwili papieros znalazł się tuż przy jej karku, opalając kosmyk włosów.  
— Jack... a dalej? — Obserwował, jak skóra na karku zmienia kolor od żaru.  
Drgnęła, lecz pozostała wyprostowana.  
— Znamy jego nazwisko, ale chcemy je usłyszeć od pani. — Ujął Larysę za podbródek i ciągnął dalej z  
okrucieństwem w głosie: — Większość ludzi na moim stanowisku zleca tę pracę swym podwładnym, ale ja  
osobiście lubię przesłuchania. Nie znoszę jedynie marnować czasu na oporne przypadki. — Cofnął się o krok.  
— Mówią, że działam bardzo skutecznie. Łamię nawet najtwardszych. A więc, Jack...?  
Znowu przybliżył papierosa. Tym razem oparzona skóra aż zaskwierczała. Pomocnik trzymał Larysę mocno,  
uniemożliwiając unik. Jak przedtem nie wydała nawet dźwięku. Stalbo westchnął-Albo była bardzo odporna na  
ból, albo uparta.  
— Jack...? — wycedził.  
Larysa kątem oka przyglądała się Stalbie, który przykładał rozżarzonego papierosa do jej karku. Gdy miała już  
kilka czerwonych ran po oparzeniach, Stalbo zdecydował zmienić scenerię.

Dziewczyna posiadała niezwykłą odporność na ból. Potrafiła też całkowicie się wyłączyć. Nie płakała, nie krzyczała ani nie wybuchła gniewem. Jej opór był większy, niż oczekiwał. Stalbo był pewien że po jakimś czasie rozgryzie jej metodę. Nie rozumiał jednak jednej rzeczy: niektórzy ludzie nigdy nie zdradzają swej miłości, niezależnie od konsekwencji.

## HISTORIA LARYSY MOSKWA

Larysa była zbyt młoda, by pamiętać dokładnie moment, » \* rym nauczyła się wyłączać umysł z rzeczywistości. Stało się<sup>10</sup> podczas wojny, ale jako dziecko nie zdawała sobie z tego sprawy. W miarę jak dorastała, świadomie odpychała od siebie sprawy. Jednak niektóre wspomnienia powracały nieustannie: bombardowania, czołgi niszczące Porynię, ogień, śmierć... Pamiętała, jak wałęsała się po zgłiszczach pełnych leżących trupów. Nie wiedziała, kiedy i jak zniszczono budynki ani kiedy wymordowano mieszkańców wioski. Najbardziej przerażało ją wspomnienie śmierci. Z drugiej strony jej bliskość pozwalała Larysie wycofać się w głąb siebie, odciąć od rzeczywistości.

Jedyną osobą, której opowiedziała o swoich przeżyciach, V Jack Morrison. Słuchał jej cierpliwie, zadawał pytania, a kiedy wybuchała płaczem, obejmował i pocieszał. Obiecał, że zrobi wszystko co w jego mocy, aby uchronić ją przed cierpieniem. Gdyby jednak z niezależnych od niego powodów nie mógł tego uczyni powinna użyć swych niezwykłych zdolności.

Teraz nadeszła taka chwila. Nie rozróżniała rzeczywistości od nierealnego świata, a leki, które jej podano, podtrzymywały ten stan. Nie miała pojęcia, że znajduje się w kwaterze KGB, chociaż wiedziała, że jest więźniem Stałby. W jej pamięci pozostał obraz sadystycznego grymasu na jego twarzy, gdy powiedział:

— Tak, jestem Wiktor Stałbo.

0 - Cienie zemsty

Potem czuła dym papierosa... Jakiś silny człowiek stał za nią... Dotknięcie rozpalonym papierosem, zapach palonych włosów... raz... drugi... Ile razy jeszcze? Ból nie był silny, a przynajmniej tak jej się wydawało, dopóki pozostawała na granicy dwóch światów.

Inny pokój... Tym razem więcej ludzi. Znow ból. Założyli jej klamerki na uszy i ciągnęli we wszystkie strony... Stalbo krzyczał. Bili ją po twarzy, ale nie czuła nic. Oblano ją zimną wodą.

Następny pokój... Więcej klamerk na całym ciele... na sutkach... na palcach. Czego chcieli od niej?

I jeszcze jedno pomieszczenie... Mężczyzna wyłamywał jej palce... Nic nie czuła, nawet wtedy gdy czubki paznokci dotknęły kostek nadgarstka.

Mężczyzna, który mógł być lekarzem, przyłożył słuchawki do jej piersi, zajrzał w głąb oczu i wbił igłę w ramię. Potrzęsnał głową, zobaczywszy palce dziewczyny... potem znow potrzęsnał głową, gdy rozmawiał ze... ze Stalbą.

Pamiętała jeszcze więcej podobnych scen. Usta Stalby... inne usta... wszystkie poruszały się, jakby coś mówiły. Postanowiła nie słyszeć. Po raz pierwszy udało jej się wyłączyć świadomie. W przeszłości przychodziło to niezależnie od woli.

Ciemność... zimne prześcieradło... ból... ból przychodzący falami... ponowne ukłucie igły... pustka... Stalbo... pustka...



# HISTORIA MARRISONA

## MOSKWA

### W

w w organizacji obowiązywało niepisane prawo, które łamali tylko desperaci. Brzmiało ono: W obcym kraju nigdy nie kontaktuj się z dobrze zakonspirowanym agentem, bo możesz go skompromitować. Zasada ta obowiązywała szczególnie w Związku Radzieckim, gdzie umiejscowienie agenta wywiadu nastęczało nieludzkie trudności. Zdemaskowanie szpiega obracało wniwecz lata pracy. Narażenie wtyczki w KGB było niewybaczalne.

Jack Morrison nie miał skrupułów. Larysa znaczyła dla niego więcej niż jego życie, a teraz znajdowała się w rękach najokrutniej-szego człowieka w Związku Radzieckim. Morrison zmienił się nie do poznania. Z zimnego eksperta jednej z najniewdzięczniejszych profesji stał się człowiekiem zdesperowanym i niebezpiecznym. Zdziwił się, gdy uświadomił sobie tę przemianę. Miłość okazała się najważniejsza na świecie! Jeśli nie zdoła ocalić Larysy, jego życie straci sens.

Morrison nocą skontaktował się z pewnym Rosjaninem przebywającym w gmachu szpitala KGB. Przedstawił mu się jako Borodin. Rosjanin, który także występował pod fałszywym nazwiskiem, nie mógł pojąć, dlaczego Amerykanin dzwoni do niego. Zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy rozmówca oświadczył, że ma zamiar pojawić się w szpitalu.

— Ta kobieta nic nie powiedziała. Nic. — Niesłusznie założył, że Amerykanin obawia się zeznań dziewczyny.

— Skąd pan wie?

— Rozmawiałem z uczestnikami przesłuchania — odpowiedział Rosjanin zirytowanym głosem. — Wydawała się oderwana od rzeczywistości, jak mówili, zupełnie odporna na... metody.

— To znaczy, że... — Morrison przygryzł wargę aż do krwi. Nie spodziewał się tego. Co za barbarzyńcy!

— Pewnie zastanawia się pan, czy pochwalam takie metody i czy brałem w tym udział. — Głos rozmówcy był drwiący. — A jak inaczej, pańskim zdaniem, mógłbym dostarczać wiadomości waszemu wywiadowi? W jaki sposób udałoby się panu uciec dziś rano? Poświęciłem lata, aby się tutaj dostać, a pańscy ludzie wydali niemałą sumkę, by upewnić się, że tu zostanę. — Przerwał na chwilę, dając znać Morrisonowi, że rzuca mu wyzwanie.

— A pan chce teraz wszystko zniszczyć?

Morrison nie wahał się.

— Pracuje pan w klinice.

— W dziale chemicznym kliniki i przy przesłuchaniach. Jestem lekarzem.

— Zaraz tam będę.

— Jest pan szalony! Poza tym działa pan wbrew zaleceniom

— Przyjadę za dwadzieścia pięć minut.

— Jak pan tu wejdzie?

— Mam mundur oficera KGB.

— Daję panu trzy minuty, zanim pana ujmą. Trzy minuty. Nie ma pan szansy, Borodin.

— Mam to w nosie. Chcę tylko, żeby mi pan powiedział, gdzie ona jest.

— Nie uda się panu, Borodin, nawet gdy powiem.

— Więc mnie dostaną. — Był to strzał w ciemność. — Czy uda im się wyciągnąć ze mnie informacje o panu? Larysy przecież nie złamali.

— Ona jest wyjątkowa. Jest silniejsza niż pan. I mądrzejsza. Godne podziwu stworzenie. To okropne — dodał złowieszczo.

— Co jest okropne?

— Że w końcu wydobędą z niej, co chcą.

— Jeżeli ją złamię, dowiedzą się o nas... o panu — powiedział Jack z naciskiem. — Mógłbym ją stamtąd wyciągnąć. Proszę mi pomóc.

Rozmówca zamilkł na moment. Po chwili odpowiedział:

\_ Borodin, pan nas zgubi. Jeżeli nawet udałoby się ją przechwycić, w jaki sposób wydostalibyście się z kraju?  
\_\_ Jeżeli ją stamtąd wyciągnę, wykonam najcięższą część roboty, W Rosji jest więcej bezpiecznych miejsc, niż się panu wydaje, tyłam mało czasu, a więc pomoże mi pan, czy mam działać sam? Proszę się zdecydować.  
— Borodin, niech pan lepiej da sobie spokój.  
— Nie mam zamiaru.  
— Wiem — mruknął rozmówca. — Czy ma pan też dokumenty oficera KGB? — zapytał zrezygowany,  
— Wystarczą, abym wszedł do środka.  
— Ale nie, aby dotrzeć dalej. Złapią pana po trzech minutach — powtórzył. — Wie pan, gdzie jest skrzydło M?  
— Zapamiętałem rozkład budynku... na wypadek gdyby pan odmówił pomocy.  
— Proszę tam przyjść. Trzecie piętro.  
— Tam jest klinika.  
— Trzecie piętro kliniki. Dam panu fartuch i czapkę. W ten sposób przetrwa pan nieco dłużej. Potrzebujemy też wózka... — zdawał się myśleć na głos.  
— Dlaczego?  
— Ona nie może chodzić. Jest wyczerpana.  
— Czy Larysa... — przeraził się Morrisom  
— Przeżyje — wyprzedził jego pytanie. — Zapewniam pana. — Zirytował się nieco. — To ja zażądałem przerwania przesłuchań, bo była zbyt słaba.  
— Czy to znaczy, że by) pan jednym z...  
— Tego się pan nigdy nie dowie — przerwał Rosjanin. — Proszę robić, co mówię, a może się nam uda. Pomagam panu tylko ze względu na siebie. Nie widzę innego sposobu pozostania przy życiu, a może i ten zawiedzie. Obiecuję, że zrobię wszystko co w mojej mocy, aby pana skompromitować, gdy już będzie po wszystkim.  
— Jak tylko ją uwolnię, zniknę z pola widzenia.  
— Dopilnuję tego, Borodin.  
— Będę u pana za dwadzieścia minut.  
— Czekam. — Rosjanin z trzaskiem odłożył słuchawkę.

Sierżant sprawdzający dokumenty wchodzących do kliniki studiował papiery Morrisona.

— Miejsce służby? — zapytał, nie podnosząc głowy.

— Serwis A. Moskwa.

— W jakiej sprawie? — Zdawał się nie przejmować faktem, że była druga nad ranem.

— Dostałem rozkaz uczestniczenia w śledztwie. Sierżant sięgnął po słuchawkę.

— Rozkaz od generała Stałby — zasyczał Morrison. — Wezwano mnie niecałą godzinę temu. Te gnojki ściągnęły mnie z łóżka. Zapewniam was, sierżancie, że nie ma sensu tracić czasu na telefon. Znam drogę, trzecie piętro, skrzydło M. Byłem tam wiele razy. — Wyciągnął rękę po dokumenty.

Gdyby nie pewność siebie i poirytowanie Morrisona faktem, że wyrwano go ze snu, sierżant zadzwoniłby do przełożonych. Miał taki rozkaz, ale był środek nocy.

— Proszę. — Wręczył Morrisonowi dokumenty i wrócił do papierkowej roboty.

Na rogu korytarza prowadzącego do kliniki Morrison zobaczył następnego biurko. Siedział za nim sierżant i rozmawiał z człowiekiem w kitlu i masce operacyjnej.

— Jesteście spóźnieni, majorze — odezwał się ten w kitlu. — Właśnie mówiłem sierżantowi, gdzie ma was skierować. — Odwrócił się do Morrisona. — Szybko pokażcie dokumenty. Musicie się pospieszyć.

Morrison wyciągnął z kieszeni munduru plastikową przepustkę.

— Przepraszam, ale nie mieli dla mnie samochodu. Inaczej byłbym wcześniej. — Wręczył kartę sierżantowi.

— Pospieszcie się, spiszcie to, co musicie, a resztę wypełnicie potem! — mężczyzna rozkazał sierżantowi. — Major stracił już wystarczająco dużo czasu.

Sierżant zanotował coś szybko i oddał kartę. Morrison udał się za człowiekiem w kitlu. W pomieszczeniu, do którego weszli, dostał fartuch i maskę.

— Nałóżcie to prędko, zanim ktoś zobaczy waszą twarz.

— Po tym wszystkim, co mi powiedzieliście przez telefon, narażacie się dla mnie tak bardzo?

— Zamknijcie się i pospieszcie! — warknął mężczyzna. — Ja zajmę się sierżantem. Pracuję w dziale chemicznym, pamiętajcie! Za dziesięć minut sierżant będzie martwy. Wszyscy pomyślą, że dostał zawału serca. W ten sposób jedyna osoba, która mnie z wami widziała, zniknie z powierzchni ziemi.

Fartuch Morrisona był tak długi, że dotykał ziemi. Maską zakrywała całą twarz, pozostawiając jedynie otwory na oczy. Morri-son spojrzał na młodszą.

— Widzę, że nigdy się nie dowiem, jak wyglądacie.

— Zamknijcie się — mężczyzna przerwał ostro. Zawiązał tasemki z tyłu głowy Morrisona. — Nie mówcie ani słowa, tylko idźcie za mną. Dziewczyna leży teraz na tym piętrze, ale w każdej chwili mogą ją zabrać z powrotem na dół.

Szli długim, ciemnym korytarzem. Morrison wiedział dokładnie, gdzie się znajdują. Zatrzymali się przed jednymi z metalowych drzwi. Miały małe, zakratowane okienko. Rosjanin wyciągnął klucz z kieszeni.

— Proszę — powiedział, wkładając go w zamek. — Pamiętajcie, że macie bardzo mało czasu. Żadnej zwłoki. W środku jest wózek. — Przekręcił klucz i weszli, zamykając za sobą drzwi. — Pamiętajcie, że dziewczyna jest w złym stanie, ale żyje. Zawiniemy ją w prześcieradło, posadzimy na wózek, zawieziemy do tylnego wyjścia przy miejscu załadunkowym i...

Morrison dostrzegł Larysę leżącą na łóżku przy ścianie. Jej nagie ciało w pół przykryte prześcieradłem było pokryte siniakami. Głowę i ręce miała obandażowane.

— Nie mogę uwierzyć...

— Powiedziałem, cicho! — Skinął na Morrisona. — Podejdźcie z drugiej strony i zakryjcie ją prześcieradłem.

— Widząc oszołomienie Morrisona, mężczyzna złapał go mocno za ramię i wyszczał: — Zróbcie to... szybko... albo przepadliście.

Przykryli Larysę prześcieradłem i szczelnie ją owinęli. Rosjanin podniósł dziewczynę i posadził na fotel. Jej głowa przechyliła się bezwładnie na bok.

— Pchajcie wózek i idźcie za mną. Za rogiem jest winda — powiedział mężczyzna, gasząc światło i zamykając za nimi drzwi. — To najspokojniejsza część nocy. Tam, dokąd idziemy, nikt teraz nie pełni służby. —

Potrząsnął pięścią w stronę Morrisona. — Trzymajcie język za zębami niezależnie od tego, co się stanie.

Winda zwiózła ich na parter z tyłu skrzydła M. Tak jak przewidywał Rosjanin, nie było żywej duszy. Morrison pchał wózek. W końcu dotarli do magazynów, z których przedostali się do ładowni. Stała tam karetka z otwartymi tylnymi drzwiami.

— Tu są klucze. — Rosjanin odpinał już pas przymocowujący Larysę do wózka. — Zapalcie silnik, a ja wsadzę ją do samochodu.

Morrison siadł za kierownicą. Zapalając silnik, przyglądał się w lusterku, jak Rosjanin podnosi Larysę, kładzie ją na materacu i przykrywa kocem.

— Jeśli jesteście rozsądni, szybko pozbędziecie się tej karetki. Znajdźcie inny samochód. Ani się obejrzyjecie, a zaczną pościg za ambulansem. A co do dziewczyny, to macie. — Podał Morrisonowi małą butelkę. — Gdy się zacznie budzić, dajcie jej jedną tabletkę.

— Co to jest?

— Środek uspokajający i przeciwbólowy.

— Przeciwbólowy? Czy ona...

— Zróbcie, co mówię, i bądźcie cicho. Aha, i niech jakiś doktor zdejmie jej bandaż. Sami tego nie róbcie.

Jasne?

— Powinienem wam podziękować...

— Dajcie spokój! Po prostu zniknijcie stąd! Wynoście się na zawsze i jeśli uda się wam wydostać z Rosji, nigdy tu nie wracajcie! — Trzasnął drzwiami karetki.

Morrison podjechał do miejsca, gdzie zaparkował pożyczony samochód, i przeniósł Larysę na tylne siedzenie.

Piętnaście minut później jechał w kierunku zachodnim do znajomego gospodarstwa.

Auto, jak poprzednio, zaparkował za domem. Świtało. Nie chciał nikogo budzić. Oparł głowę na oparciu fotela i wziął głęboki oddech. Potrzebował trochę czasu, aby się wziąć w garść. Wyczerpany przeżyciami burzliwego dnia zasnął wbrew postanowieniu, że będzie czuwał.

Słońce było już wysoko na niebie, gdy otworzył oczy. Obudził go dźwięk, którego w pierwszej chwili nie rozpoznał. W końcu dotarło do niego, że ktoś stuka w szybę samochodu. Podniósł głowę i ujrzał gospodarza, który pomógł mu poprzedniego dnia. Opuścił szybę, uzmysławiając sobie, ile stracił czasu.

— Potrzebuję lekarza — zaczął, ciągle jeszcze półprzytomny. — A potem musimy się stąd prędko ewakuować.  
— Wnieśmy ją do domu, Borodin. Prześpisz się trochę. Jesteś wyczerpany. W takim stanie złapaliby cię natychmiast.

Lekarze zmieniający opatrunek Larysie nie pozwolili Morri-sonowi uczestniczyć w zabiegu, ale budzili zaufanie. Nie zadawali zbędnych pytań, szczęśliwi, że zarobią dodatkowych parę kopiejek. Tylko jeden wstrząśnięty ranami dziewczyny zapytał wprost

o ich przyczynę. Zbladł, gdy usłyszał, że stało za tym KGB. Pozostali lekarze dobrze zdawali sobie sprawę, co działo się w ich kraju.

Gdy Larysa odzyskała świadomość i rozpoznała Morrisona\*, wyszeptła:

— Proszę, weź mnie za rękę. Chcę wiedzieć, że koszmar się skończył.

Podniósł jej dłoń do swoich ust.

— Najgorsze jest poza nami — powiedział cicho.

— I oboje żyjemy?

— Oboje żyjemy.

— A... Stalbo? — ledwo wymówiła jego nazwisko.

— On również żyje — odpowiedział po krótkim milczeniu — ale jesteś już daleko od niego. Nie skrzywdzi cię.

— Zrobiłam to. — Zmarszczyła czoło. — Tak jak mi kiedyś radziłeś... wyłączyłam się z rzeczywistości podczas przesłuchań... Nie pamiętam wiele, prawie nic, ale... — Łzy potoczyły się po jej bladych policzkach. — Ale pewne rzeczy, które powiedział...

1 zrobił... — Zamknęła oczy osłabiona działaniem środków uspokajających.

Niedługo potem, gdy Larysa mogła już podróżować, pojechali na wybrzeże Bałtyku. W czasie podróży Larysa powiedziała:

— Uciekłam od ciebie. — Leżała z tyłu starej ciężarówki na słomianym materacu. Jej głos brzmiał smutno i poważnie.

— Tak, ale cię odnalazłem. — Jack uśmiechnął się i przyłożył swój palec do jej ust, jakby ją chciał uciszyć i uśpić.

— Nie, nie chcę spać. Mówię poważnie. Uciekłam od ciebie i okłamałam. — Jej oczy zaszły łzami. — Byłam pewna, nie, bałam się, że nie zobaczę cię więcej. Tej nocy, gdy cię odepchnęłam, czułam, że świat przestał istnieć.

— Nie przestał i długo nie przestanie.

— Kocham cię. — Podniosła się na łokciu. Zamknęła oczy, potem wytarła łzy wołną ręką. — To okropne odejść od kogoś, kogo się kocha.

— Laryso! Nic się nie zmieniło. Kocham cię bardziej niż kiedykolwiek! — Podtrzymał jej plecy. — Teraz połóż się z powrotem. Odpocznij. — Pomógł jej ułożyć głowę na poduszce. — Poszedłem za tobą, bo cię kocham. Ocaliłem cię. Jesteśmy razem i nic ani nikt temu nie przeszkodzi.

I Larysa posłusznie zamknęła oczy. Przez jej twarz przebiegł ślad uśmiechu. Po chwili zasnęła.

Nocą przyjechali do małego miasteczka nad Bałtykiem na zachód od Rygi. Larysa obudziła się. Morrison pomógł jej przejść przez wąski pomost wiodący do łodzi, która miała przewieźć ich przez Bałtyk. Rano Larysa odmówiła przyjęcia tabletki. Działo się tak dużo, a ona była ciągle półprzytomna.

— Dokąd płyniemy?

— Nie wiem dokładnie — odpowiedział. — Wiem tylko, że pomogli nam dotrzeć aż tutaj. Mamy teraz wielką szansę uciec na zawsze.

— Uciec? — To słowo zaniepokoiło Larysę. — Od czego uciekamy? — Jej pytanie zagłuszył warkot zapalnego silnika.

— Oczywiście z Rosji — odpowiedział Morrison ze zdziwieniem. — Nie pożylibyśmy tutaj zbyt długo. Jestem pewien, że KGB szuka nas w każdym mieście na zachód od Moskwy.

— Stalbo — stwierdziła cicho.

— Tak. O mało cię nie zabił, ale teraz jesteś ze mną, bezpieczna i...

— Ale on ciągle żyje! — przerwała nagle, jakby doznała objawienia. — Ciągle żyje — powtórzyła.

Morrison dostrzegł dziwny wyraz twarzy dziewczyny.

— My też żyjemy. To najważniejsze. Kochamy się, możemy na sobie polegać. — Usiłował wyrwać ją z odrętwienia. — Zapomnij o nim.



Larysa nie zareagowała. Pogrążona w myślach z nieobecnym wyrazem twarzy powiedziała nagle: — Zabiję Wiktora Stalbę.  
Powtórzyła to jeszcze trzykrotnie, jakby składała przysięgę.





# HISTORIA LARYSY MAJORKA

Larysa nigdy przedtem nie miała prawdziwych wakacji. Jeździła czasem na wycieczki z Komsomołu, ale przypominały one raczej szkolenie partyjne niż odpoczynek. Teraz, w czerwcu 1966 roku, wydawało jej się, że jest księżniczką wiodącą żywot z bajki. Majorka ją oczarowała. Nie wyobrażała sobie do tej pory, że w jednym mieście może zderzyć się tyle stylów i kultur: fenicka, grecka, kartagińska, romańska. Spacerowała po ulicach Palma, ramię w ramię z Morrisonem. Wiedziała, że spełnił się jej sen.

Okna ich pokoju w hotelu Melia Majorka wychodziły na zatokę. Larysa nie widziała nigdy tak pięknego widoku. Nie pozwalała zaszuwać kotar, nawet gdy się kochali. Widok z okna stanowił część jej snu. Bała się, że wraz z zaciągnięciem zasłon mogłaby się obudzić. Kiedy byli zmęczeni, zamawiali posiłki do pokoju. Jadali na tarasie, z którego obserwowali zapełnioną ludźmi i łódkami zatokę. Pierwsze dni rekonwalescencji przepełnione były bólem, strachem i niepewnością. Nie mogła wymazać ze świadomości minionych wydarzeń. Na początku kochali się ostrożnie i niepewnie, jakby byli ze sobą po raz pierwszy. Larysa bała się swojej reakcji. Poprosiła Morrisona, aby był cierpliwy i spróbował ją zrozumieć. Noc nad jeziorem pod Moskwą wydawała się tak odległa. Od tego czasu przeżyła wiele.

Larysa wciąż przyjmowała środki uspokajające, które przytępiły jej umysł. Lekarze, u których zasiękali opinii w czasie ich podróży, twierdzili, że jest to jedyny sposób, aby utrzymać dziewczynę

1999

w formie, zanim otrzyma intensywną pomoc medyczną. Pod facho wą opieką znalazła się Larysa w sztokholmskim szpitalu po dwóch dniach spędzonych na łodzi. Powrót do zdrowia był procesem zarówno fizycznym, jak i psychicznym. Oparzenia goiły się w normalnym trybie. Larysa nie miała też trudności ze słuchem, mimo że jej lewe ucho zostało mocno uszkodzone. Uparcie odmawiał operacji plastycznej mającej odbudować małżowinę. Utrzymywała również, że da sobie świetnie radę bez dwóch palców u lewej ręki. Mimo to stan jej zdrowia budził obawy. Skarżyła się na niecodzienne dolegliwości. Lekarze nie wiedzieli, jakich uszkodzeń doznały wewnętrzne organy, a było to trudne do określenia. Ostrzegali ją, że może mieć kłopoty w przyszłości. Prawdopodobnie nigdy nie zajdzie w ciążę. Świadomość tego załamała dziewczynę bardziej niż kiedykolwiek inne krzywdy. Rezultaty metod Stałby zawsze gwarantowały drastyczne niespodzianki nawet w odległej przyszłości. Nic dziwnego, że pragnęła nosić zewnętrzne blizny, dopóki żyje Wiktor Stałbo. Nie przyznawała się otwarcie, ale pragnienie zemsty przerodziło się w irracjonalną osobistą wendetę.

Morrison stał za rozsuwanymi drzwiami balkonu, który pozostawał wciąż otwarty, odkąd tu zamieszkali. Przyglądał się jachtom wpływającym do zatoki.

— Chodź tutaj! — zawołał w pewnej chwili. — Właśnie wpływa największy jacht, jaki widziałem do tej pory. Szybko! — ponaglił.

— Uciekaj stamtąd — roześmiała się Larysa. — Nie masz niczego na sobie!

— Tak jak ty.

— Dlatego stoję w pokoju, a nie na balkonie.

— Nikt nas tu nie zobaczy. A jeśli nawet, to co z tego? — Odwrócił się do niej. — Poza tym, jeśli cię ujrzą naga, zakochają się natychmiast. — Uśmiechnął się z zachwytem. — Widzisz, co się ze mną dzieje? — Zrobił krok w jej kierunku.

— Nie. Boję się. — Cofnęła się.

Morrison posłał jej pocałunek i wrócił na balkon. Wiedział dokładnie, co działo się w umyśle Larysy, gdy dostrzegł wyraz jej twarzy. Nauczył się rozpoznawać emocje dziewczyny, zanim sama je sobie zdążyła uświadomić.

— W porządku. Nie tylko pokażę się ludziom w całej okazałości, ale jeszcze opiszę ci to pływające чудо. — Przechylił się przez

poręcz. — Ma chyba sto stóp długości i przynajmniej dwadzieścia wysokości. Chyba już zakotwiczył. Wygląda jak drzewko choinkowe całe ozdobione kolorowymi lampkami. Jest biały, a w kadłubie widać okienka, co znaczy, że ma parę pokładów. Na głównym właśnie odbywa się przyjęcie. Widzę kobiety w eleganckich sukniach i kogoś roznoszącego drinki. — Obejrzał się przez ramię. — Czy zwabię cię wreszcie tutaj? Wprawił ją w zakłopotanie. Z jednej strony chciała do niego podejść, z drugiej — wstydziła się. — Nie, nie przyjdę. Czy wiesz, jak wyglądasz, wystawiając się na widok publiczny? — Sądzę, że za kilka minut wszystkie kobiety z Palma znajdą się pod naszymi drzwiami. — Drażnił się z nią, odwracając się z powrotem w stronę jachtu. — Hej, nie wyobrażasz sobie, co widzę! W jednej kabinie naga para kocha się bez pamięci. — Zagwizdał przeciągle. — No, no, nie spojrzysz na... — Jego głos ucichł. Larysa lekko zażenowana podeszła wolno do balustrady, owijając się po drodze firanką. Wychyliła się przez poręcz, stając na palcach. — Gdzie oni są? — Stąd nie zobaczysz. Musisz podejść bliżej. No, no, coś takiego! Możemy się od nich wiele nauczyć, kochanie. — Mrugnął do niej. — Widzisz teraz? — Nie. — Przechyliła się mocniej. — Wskaż mi miejsce. — Zrobiła następny krok i firanka zsunęła się z jej ciała. — Cholera! Morrison porwał ją w ramiona i zakręcił mały piruet. — Przepraszam, oszukałem cię. Z takiej odległości nic nie zobaczysz, ale pomyślałem, że spodoba ci się na zewnątrz — roześmiał się. — Gdzie indziej można przetańczyć nago całą noc? — Nie, proszę, nie tutaj. Nie chcę, żeby mnie ktoś zobaczył. Zrozum. — Wtuliła głowę w jego ramię. Zaniósł ją do pokoju. — Ja... Postawił ją delikatnie na podłodze i pocałował. — Rozumiem. Przepraszam, jeśli sprawiłem ci przykrość. Któregoś dnia zrozumiesz, jak wspaniale można czuć się nago. Tak zostaliśmy stworzeni i uważam, że nie powinniśmy wstydzić się swego ciała. — Umilkł na dźwięk stukania w drzwi. — Kto tam? — zapytał.

! I - Cienie zemsty

— Obsługa hotelowa, proszę pana.  
— Nasz obiad! — wykrzyknęła. — Pamiętasz, zamawiałeś jedzenie do pokoju, żeby „utrzymać się w formie”, jak powiedziałeś. „Seks jest cudowny, ale nie możemy zagłodzić się na śmierć”. To twoje słowa — roześmiała się. — Zbyt dużo seksu, panie Morrison? Czy już pan osłabł?  
— Chwileczkę! — krzyknął Morrison w stronę drzwi.  
— Chyba założysz coś na siebie?  
— Nie, dlaczego miałbym?—drażnił ją. — Otworzę tak, jak stoję.  
— Nie! — wykrzyknęła. — Nie możesz tego zrobić. Idź do łazienki. Zrzucę szlafrok i wpuszczę go. Ale Morrison podszedł już do drzwi wejściowych.  
— Jestem pewien, że nieraz widział dużo więcej.  
— Nie zrobisz tego. — Zaczzerwieniła się. — Naprawdę wpuściłbyś go, będąc nago? — zapytała, nakładając szlafrok. — Wprawiasz mnie w zakłopotanie.  
Sięgał już do klamki, gdy nagle odwrócił się od drzwi z szerokim uśmiechem na twarzy.  
— Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym otworzył?  
— Dzięki Bogu. Nie masz zamiaru tego zro... Ponownie wyciągnął rękę do klamki.  
— Czemu nie?  
— Nie! — krzyknęła, podchodząc do drzwi.  
— Niech ci będzie. Wygrałaś—roześmiał się, wycofując się w stronę łazienki. — Ale następnym razem... — Zamknął za sobą drzwi.  
Obiad zjedli na balkonie. Pieczona ryba i świeże owoce zniknęły błyskawicznie ze stołu. Do posiłku popijali dobre wino. Larysa zmusiła Morrisona, aby założył spodenki. Początkowo drażnił ją odmawiając, ale w końcu nałożył szorty i dołączył z powrotem do stołu. Napelnił kieliszki i uniósł swój w stronę dziewczyny.  
— Mam zamiar złożyć ci przysięgę wasalską.  
— Wasalską? Co to znaczy? Znowu jakiś podstęp?—Uśmiechnęła się.  
— Wcale nie. Jestem zupełnie poważny. Drażniłem się z tobą wystarczająco długo jak na jeden dzień. Przysięgę wasalską składali słudzy swoim panom. Wierność... lojalność... na zawsze. — Wziął ją za rękę. — W moim przypadku znaczy to wieczna miłość... aż do śmierci. — Zobaczył iskierki w jej zielonych oczach. — To również znaczy, że bez ciebie byłbym zagubiony.



Położyła rękę na jego dłoni.

— Trudno mi sobie wyobrazić sługę powtarzającego te słowa swemu panu, a z całą pewnością nie w Rosji. — Jej oczy błyszczały, w kącikach ust błąkał się uśmiech. — Ale wierzę, że tak mógłby mówić mężczyzna do kobiety, którą kocha, a ona odpowiedziałaby: „Kocham cię tak, jak ty mnie. Na zawsze”. Lecz jeśli dziewczyna miałaby na imię Larysa, a jej mężczyzna uwielbiałby paradować nago przed ludźmi na Majorce, mogłaby powiedzieć... — zachichotała — ...mogłaby powiedzieć: „Będę musiała cię kochać trochę dłużej niż na zawsze, aby uchronić cię od kłopotów na starość”. Co o tym myślisz?

— Byłbym zaszczycony taką opieką na starość! — Nie mógł dłużej powstrzymać się od śmiechu. — Postaram się uzasadnić twe obawy, paradując nago przed ludźmi przy każdej okazji. Co o tym myślisz?

Larysa udała zaniepokojenie.

— Wydaje mi się, że do końca życia mam zapewnioną pozycję inspektora moralnego przy starym rozpustniku.

— Przechyliła głowę. — Czy jest jakiś sposób, aby rozwiązać twoje problemy?

— Znam tylko jeden. Zaspokajaj mnie ciągle, a nie będę miał okazji pokazywać się światu...

Nie zdążył skończyć. Larysa wskoczyła mu na kolana. Objęła go i uciszyła długim pocałunkiem. Końcem języka dotknęła czubka jego nosa.

— Zaczniemy od razu. Należy rozwiązywać problemy w ich zarodku. — Zsunęła z siebie szlafroczek. —

Ostatnio tak często bywałam u lekarzy, że wiem co nieco o sprawach łóżkowych, kochanie. Czy ty...

Tym razem on nie dał jej dokończyć.

Tamtego dnia na Gotlandii Daken czekał na przybicie do brzegu małej łódki rybackiej. Chociaż było ciemno, Morrison rozpoznał jego rysy oświetlone ognikiem papierosa. Daken pracował jako przewodnik opiekujący się ludźmi w sytuacji Morrisona. Od Dake-na zależało, których głupców ocalić, a których spisać na straty. Przy spotkaniu nie przywitał ich słowem ani nie podał dłoni. Wskazał na jakiś obiekt w ciemności i powiedział:

— Ten helikopter zawiezie nas do Sztokholmu. Pomóż jej wejść do środka.

W Sztokholmie po odwiedzeniu Larysy do szpitala Daken wreszcie zwrócił się bezpośrednio do Morrisona:

— Zawaliłeś całą sprawę. Nie mamy teraz szansy na układ z Wietnamczykami. Stalbo ubiegł nas.

— Nigdy nie mieliśmy szansy.

— Zawsze istnieje jakaś nadzieja, dopóki rzecz się nie wyjaśni ostatecznie. Może nie powstrzymalibyśmy rozmieszczenia wyrzutni raketowych, ale mogliśmy strącić ze stołka Stalbę, a nawet Brezniewa. Ty spaprałeś wszystko. Pozwoliłeś tej... — podniósł głos, co nie było w jego stylu. Miał opinię najspokojniejszego ze spokojnych.

— Na nic jej nie pozwoliłem. Sama zrobiła wszystko, bez czyjejkolwiek wiedzy czy pomocy. Po prostu uznała, że nasze interesy nie są zbieżne z jej interesami. Bała się, że Stalbo mógłby uniknąć kary.

— Nie po to przechodziłeś szkolenie, Morrison, żeby jakaś baba wykorzystywała cię bez skrępowań! — Daken prawie krzyczał, choć starał się panować nad swym głosem. Z twarzy nie można było wyczytać wielkich emocji, ale jego oczy płonęły gniewem. — Powiedziałem moim przełożonym, że jesteś jedynym człowiekiem zdolnym do tej roboty i to ze względu na twoją znajomość z dziewczyną. Nie przewidziałem, że ona okręci cię wokół palca...

— Zamknij się! — Morrison wyprężył się ze złości. Miał ochotę przyłożyć mu w szczękę... albo rozplakać się.

— Cicho bądź — dodał łagodniej, pocierając oczy. Usiadł i wziął głęboki wdech. — Opowiem ci całą historię, ale zamknij się. Nie chcę słyszeć tego steku bzdur. — Pochylił się, obejmując głowę rękami. — Dobrze? — dodał szeptem.

Daken klepnął go po ramieniu i wyszedł z pokoju.

Larysa nigdy nie powiedziała Morrisonowi o odwiedzinach Dakena.

— Czy kochasz Jacka Morrisona tak mocno, jak nienawidzisz Wiktora Stalbę? — zapytał tonem, jakby chciał się dowiedzieć, czy lubi lody czekoladowe, a nie znosi war iliowych.

— Nie potrafię odpowiedzieć... — Zawahała się, spoglądając na swe ręce leżące na białym prześcieradle, a potem znów na Dakena. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy. Pomyślała, że byłby w stanie czekać wieki na odpowiedź. — Nienawidziłam Stalby i chciałam go zabić, zanim poznałam Jacka Morrisona. Czy to chciał pan usłyszeć?

— Kochasz Morrisona?

— Nie chcę go stracić... Tak. Czy to ma dla pana jakieś znaczenie?

— Wielkie. — Potarł podbródek w zamyśleniu. — Ja również nienawidzę Stałby. Nie kocham, oczywiście, Morrisona... ale to mój przyjaciel... a nawet syn — dokończył, patrząc jej w oczy. Po raz pierwszy zaświtała mu myśl, że miał wystarczająco dużo lat, by być ojcem Morrisona. Od niego zależało, jak Morrison skończy: dobrze czy źle.

— Czy to właśnie pan przygotował wszystko na mój przyjazd? — Zatoczyła ręką po pokoju. — Lekarzy, terapię i tych śmiesznych ludzi, którzy pytają mnie o moje myśli?

Skinął głową.

— Mogę też zdobyć dla ciebie najlepszego chirurga plastycznego w Europie.

— Nie chcę — powiedziała spokojnie. Okaleczoną ręką odgarnęła do tyłu włosy, aby pokazać, co zostało z jej lewego ucha. Jej twarz promieniowała taką nienawiścią, że cieszył się, iż nie on jest jej przyczyną. — Nie teraz. Może kiedy Wiktor Stalbo będzie martwy. Wtedy... — Z powrotem zasłoniła ucho włosami, intensywnie wpatrując się w Dakena. — Czy dlatego pan tu jest? Dlatego daje mi pan wszystko?

Zerknął na zegarek i wstał.

— Na mnie już czas. Zostałem dłużej, niż pozwolili lekarze. — Przed wyjściem spojrzał jeszcze na Larysę i powiedział: — Sam chciałbym widzieć Stałbę martwego. Porozmawiamy o tym następnym razem.

Larysa nauczyła się rozumieć Dakena tak dobrze, jak rozumiała siebie. Odwiedzał ją często, ale zawsze gdy była sama. Nigdy w obecności Morrisona. Na wiele sposobów był tak rosyjski jak ona. Nie mówił bezpośrednio, o co mu chodzi, ale kluczył dookoła, aby przejrzeć jej myśli. Gdy to zrobił, uderzał z całej siły.

— Zdajesz sobie sprawę, że sama nie dopadniesz już Stałby?

— Po tym głupim pomysle z samochodem?

— To był interesujący pomysł. — Uśmiechnął się. — Całkiem niecodzienny w Moskwie, ale wiem, co masz na myśli. Nie jesteś stworzona na zamachowca. Bez dwóch zdań.

— A pan jest — stwierdziła spokojnie. Wiedziała, do czego zmierza, chciała jednak, by to powiedział wprost.

— Nigdy nie będziesz w stanie dostać się blisko niego. Byłabyś szalona, wracając do Moskwy, a Morrison jest tam bezużyteczny. Mam nadzieję, że nie ustalili jeszcze ceny za jego skórę. Czasami wolą poczekać, aby zobaczyć, co zrobimy z własnymi ludźmi, którzy nawalili.

Podtrzymała jego spojrzenie, ale nie odpowiedziała. Niech sam mówi.

— Jedynym sposobem, aby uśmiercić Wiktora Stalbę, jest nasza współpraca. Nie możesz powiedzieć o tym nikomu, zwłaszcza Morrisonowi. Nie wolno ci nawet dać mu do zrozumienia, o czym rozmawiamy.

Larysa milczała, choć wiedziała, że Daken czeka na jakąś reakcję z jej strony: niepokój czy zainteresowanie.

— Gwarantuję, że Stalbo umrze, jeśli będziesz ze mną współpracować. Zasługuje na to, aby wiedzieć, że mamy w planie jego śmierć. Zrobimy tak, żeby miał czas przemyśleć to sobie, ale... jeszcze nie teraz. Może w przyszłym roku. Może za trzy lub cztery lata. Nie wiem...

— Dlaczego? — przerwała. Jej słowa zabrzmiały jak wystrzał karabinu.

— Ponieważ Wiktor Stalbo jest najważniejszym człowiekiem dla Stanów Zjednoczonych w Związku Radzieckim. Mamy wtyczkę nie do zastąpienia w najbliższym otoczeniu Stałby. Jeśli generał zostałby strącony w najbliższej przyszłości, byłibyśmy całkowicie zgubieni.

— Czego się spodziewacie ode mnie, skoro nie mogę dopaść Stałby i nie mogę wrócić do domu? — Nie wiedziała dokładnie, ile z tego, co powiedział Daken, było prawdą, ale zdawała sobie sprawę, w jakiej znajduje się sytuacji.

— Możesz dla mnie pracować, dopóki nie nadejdzie właściwy moment. Wtedy ci powiem. Możesz na to liczyć. Będziemy w kon takcie?

— Dlaczego miałabym się zgodzić?

— Ze względu na Morrisona. Zastanawiasz się pewnie, dlaczego akurat ze względu na niego, jeśli on może żyć jak normalny Amerykanin i robić to, co chce. Odpowiedź jest prosta. Nie może! Pracował dla nas. Nie wypełnił zadania i zawałił poważną sprawę. Wszystko z twojego powodu. W innym kraju zniknąłby w tajemniczy sposób. Nikt nie usłyszałby o nim więcej. W Ameryce nie postępujemy w ten sposób, ale potraktuj to poważnie. Jest tylko

jedno wyjście, aby Morrison kiedykolwiek jeszcze mógł wyjechać ze Stanów Zjednoczonych. Zapewniam cię również, że ty nigdy nie zostaniesz wpuszczona do naszego kraju. Jeśli chcesz żyć z Jackiem, przemyśl moją propozycję.

Nie wiedziała, czy Daken zorientował się, że nim manipuluje. Była pewna każdego szczegółu.

— Czy będę bezpieczna? — Usiadła na łóżku.

— Dopóki będziemy cię izolować od ludzi, których dobrze znałaś, to znaczy od Moskwy, nie widzę problemów.

— A jeśli zechcę uciec?

— Nie jestem w stanie zmusić cię do niczego. Wiem, że możesz mi nagle zniknąć.

Larysa położyła się i na chwilę zamknęła oczy. To jej jedyna szansa. Nie będzie innych. Daken powiedział, że pragnie śmierci Stałby tak samo jak ona. Zgodnie z układem Stałbo nie mógł umrzeć natychmiast. Jeśli Larysa będzie przy Dakenie w stosownym momencie, marzenie jej życia spełni się...

— W takim razie zgoda, panie Daken.

Nigdy nie poszłaby na ten układ, gdyby przewidziała następny krok Dakena. Była zbyt młoda, zbyt naiwna i za bardzo zaangażowana. Otworzyła dla Dakena puszkę Pandory.

— Czy wiesz, co powinniśmy z tobą zrobić, Morrison? — Na twarzy Dakena nie było śladu gniewu. Rzadko tracił panowanie nad sobą, za co wielu go podziwiała.

— Czy powinienem dostać medal za to, że dzięki mnie świetnie się spisałeś? — Morrison pragnął wytrącić go z równowagi. Usiłował go sprowokować. — Czy nie powinieneś paść na kolana i dziękować szczęśliwym gwiazdom za zesłanie ci Morrisona? — Z każdego słowa sączył się jad.

— No, dalej — odpowiedział spokojnie Daken. — Ułżyj sobie. Powiedz wszystko, co ci leży na sumieniu.

Wszystko, co powinieneś był zrobić, to zbabrałeś... dla niej.

Morrison otworzył usta, aby odpowiedzieć. Poczul, że serce wali mu coraz szybciej i ogarnia go gorąco. Zdołał jednak się opanować. Przyzwyczajenie. Trening. Zdrowy rozsądek. Wygrał małą bitwę. Bardzo małą bitwę.

— Musisz wracać do domu.  
— Nie, dopóki ona...  
— Dopóki nie upewnisz się, że z nią wszystko w porządku. Rozumiem. Uzgodniłem to już z Waszyngtonem. Damy ci trochę czasu, ale w końcu będziesz musiał stawić czoło faktom, Jack. Wielu ludzi w Stanach jest bardzo niezadowolonych. Zawaliliśmy wielką sprawę.  
— Wiem... wiem — odrzekł szeptem.  
— Muszę sporządzić raport wyjaśniający, co się stało — kontynuował Daken tonem nie znoszącym sprzeciwu.  
— Zaoferuję ci układ. Przekupstwo, jeśli wolisz, ale oczekuję tylko jednej odpowiedzi, zgody. — Patrzył Morrisonowi w oczy. — Ta dziewczyna znaczy dla ciebie więcej niż praca, prawda? Morrison skinął głową.  
— Więcej niż cokolwiek innego, nawet niż życie.  
— Wiesz dobrze, że tutaj nie jesteś mi potrzebny. Ocalę twoją dupę, a przynajmniej spróbuję, jeśli obiecasz, że zostaniesz w Waszyngtonie... i będziesz dla mnie pracował — dodał Daken po namyśle.  
— A w zamian?  
— Jeśli będziesz grzecznym chłopcem i zrobisz to, o co poproszę, od czasu do czasu wybierzesz się na małe wakacje. — Daken przemawiał teraz jak nauczyciel pastwiący się nad kłębym uczniem. — Ponieważ dobrze wiesz, że Jack Morrison nigdy, przenigdy nie dostanie z powrotem paszportu, jeśli nie znajdzie sponsora. Bez paszportu nie zobaczy swojej dziewczynki, a jej nie wpuszczą nigdy do Stanów.  
— Czy mam się zdecydować od razu?  
— Jeszcze nie. Nie skończyłem. Przez ciebie nie dostanę roboty w kraju. Przez lata będę pracował w Londynie. Chcę więc parę oczu i uszu w biurze. Szpiega, jeśli wolisz. — Uśmiechnął się nieznacznie. — Pomyśl o tym. To lepsze niż spacerowanie po ulicach.  
— A jeśli ucieknę do podziemia?  
— Nie masz szansy, Morrison. W ciągu dwudziestu czterech godzin byłbyś martwy. Twojej dziewczynie pozostałyby tylko wspomnienia i nienawiść do Stałby. Zaryzykuję stwierdzenie, że nienawiść trwałaby dłużej. A więc — zakończył — żadnej szansy na wykiwanie nas. Masz tylko jedną możliwość. Jeśli odpowiesz po mojej myśli, dostaniesz tylko po buzi i kopa w tyłek, a ja dopilnuję, aby dziewczyna znalazła się pod dobrą opieką i widywała się z tobą, kiedy tylko zechce. Co ty na to?

— Dobrze.

Daken odciął wszystkie drogi odwrotu z wyjątkiem jednej.

— Za każdym razem, kiedy będziesz dziękował, że twoje cztery litery są całe, Morrison, nie zapominaj, komu to zawdzięczasz.

Daken polecił im małą miejscowość na Majorce, cichą i rzadko odwiedzaną przez turystów. Larysa zastanawiała się, w jaki sposób ktoś taki jak on mógł odkryć Santa Ponsa? Prawdopodobnie był to następny haczyk. Wioska znajdowała się z dala od głównej szosy do Paguera, co chroniło ją przed inwazją zwiedzających. Plaża ciągnęła się kilometrami. W którąkolwiek stronę się spojrzało, widziało się tylko złoty piasek i szpaler nadbrzeżnych palm. Nikt nie zakłócał doskonałości tego miejsca.

Znaleźli maleńki hotel na wzgórzu z widokiem na Morze Śródziemne. Hotel zapełniał się tylko podczas weekendów, kiedy tubylczy dostojnicy uciekali od gwaru Palma. Właściciel był bogaty i prowadzenie hotelu stanowiło dla niego hobby raczej niż konieczność. Z zapalem uprawiał też ogród przyhotelowy — najpiękniejszy na Majorce według Larysy. Zapach kwiatów przesycił powietrze. Codziennie na stołach i szafkach nocnych pojawiały się świeże bukiety.

W Santa Ponsa panowała senna atmosfera. Nikt nie wydawał się interesować Larysą i Morrisonem. Daken miał chyba po raz kolejny rację. Choć w wiosce było kilka restauracji, Larysa upodobała sobie jedną. Siadywali na zewnątrz przy małym stoliku w cieniu palm i sączyli zimne wino. Drugiego wieczoru przy stoliku pojawił się właściciel z nową butelką.

— Przepraszam, ale nie zamawialiśmy... — zaczął Morrison.

— Ja zamówiłem. Mam zaszczyt poczęstować państwa tym winem na koszt firmy. To moja restauracja. — Wyciągnął rękę do Morrisona. — Jestem Gaetan Allaria. Ponieważ przyszlście ponownie cieszyć się jedzeniem tutaj, chciałem za to podziękować. Poza tym czy myślę się twierdząc, że to wasz miesiąc poślubny?

Wymienili spojrzenia i oboje uśmiechnęli się na tę myśl. W zasadzie można było tak powiedzieć.

— Tak. Nie jest pan daleki od prawdy. — Morrison wstał i uściśnął rękę Allarii. Potem przedstawił Larysę.

Właściciel z błyskiem w oczach ucałował dłoń dziewczyny.

— Zawsze gdy do restauracji zawita nowa para, mam zwyczaj witać ją moim ulubionym winem. — Wskazał na butelkę. — Jestem pewien, że nie próbowaliście dotąd tego gatunku. Pochodzi z moich stron i zwie się Lacrima Christi. Wyśmienity smak. Czy przyjmiecie ten podarunek? — zapytał dobrodusznie.

— Ależ oczywiście. — Gościnność i urok mężczyzny ujęły Larysę. — Jest pan taki uprzejmy...

— Proszę nie dziękować — przerwał Allaria. — Uwielbiam młode pary. Przynoszą świeżość do naszej wioski.

— Wyciągnął korek i nalał sobie odrobinę wina do spróbowania. Podnosząc kieliszek w górę, a potem do ust, oenił: — Jak zwykle świeże i zielone. Proszę, częstujcie się. — Napełnił kieliszki. — To wino jest do picia, a nie wolnego sączenia.

— Wyśmienite — oenił Morrison, wypijając pierwszy łyk. — Skąd pochodzi?

— Z moich rodzinnych stron — odpowiedział dumnie Allaria. — Z Malty. To jest nasze beaujolais. Choć jest jeszcze białe, pijemy je od razu. Potem nie byłoby takie dobre. — Pociągnął łyk. — Znamcy mogliby się nie zgodzić, ale dla mnie to niebo w kieliszku. — Poklepał Larysę po ramieniu jak starą przyjaciółkę. — Jak pani smakuje?

— Wybornie. Myślę, że będę piła tylko to wino podczas naszego pobytu tutaj. — Położyła rękę na jego dłoni.

— I bardzo się cieszę, że poznaliśmy nowego przyjaciela. Czy dołączy pan do naszego stolika?

Właściciel rozpląnął się w uśmiechu.

— Miałem nadzieję, że to pani zaproponuje. — Dostawił krzesło. — Mamy jeszcze wiele butelek do opróżnienia!

Gaetan Allaria był wesołym maltańskim połączeniem Włocha z Arabem, niestrudżonym dostawcą swego specjalnego Lacrima Christi. Odznaczał się niezwykłą gościnnością. Jadali u niego każdego wieczoru, czuli się jak jego specjaliści goście. Wybierał dla nich świeże ryby i osobiście przyrządzał posiłki, ubarwiając je różnorodnymi sosami według starej recepty swojej matki. Wspomnienia Larysy i Morrisona z Majorki wiązały się z nim nierozzerwalnie. Gaetan otwierający butelkę Lacrima Christi, wyciągający ryby z bali w kuchni, obejmujący starych klientów, podśpiewujący nad blatem kuchennym, podążający do kościoła na mszę każdej niedzieli...



Pod koniec pierwszego tygodnia znajomości Allaria zwrócił się do Larysy:

— Nasza wyspa dobrze pani służy. Widzę to. Gdy się spotkaliśmy, była pani bardzo zmęczona. A teraz proszę tylko popatrzeć. — Roześmiał się z płonącymi oczami i spojrzął na Morrisona, aby go wciągnąć do rozmowy.

— Przybyło pani na wadze. Opalona. Wygląda pani zdrowo. Nie wiem, czemu była pani taka szczupła, ale kobieta powinna mieć trochę ciała. Nieprawda? — Znów spojrzął na Morrisona. — Kochanego ciała nigdy dosyć. A pani zasługuje na miłość, kochana — wymruczał niskim głosem.

Larysie rzeczywiście służył pobyt na Majorce. Ona sama, zaabsorbowana nowymi wrażeniami, nie widziała poprawy. Morrison jednak dostrzegł, że rozkwitała. Stała się okazem zdrowia.

Któregoś dnia Morrison zabrał ją na zakupy. Nalegał, aby kupiła sobie biżuterię, sukienki i wszystko, czego jeszcze pragnie. Tylko jedną rzecz chciał wybrać osobiście: białe bikini, które zobaczył kiedyś na wystawie sklepowej. Instynktownie wyczuł, że będzie dla niej idealne. I rzeczywiście, każdego dnia jej skóra stawała się coraz ciemniejsza, a białe bikini odcinało się coraz wyraźniej od ciała.

Kiedy Morrison budził się, nachodziła go myśl o kontraście między opalonymi a białymi częściami ciała Larysy. Podnosił się i przyglądał nagiej dziewczynie, by upewnić się, że to nie sen. Czasami w środku nocy studiował jej ciało w bladym świetle księżyca. Piękność Larysy rozpałała nienawiść do człowieka, który ją okaleczył. Często długo nie mógł zasnąć, myśląc o Wiktorze Stalbie.

Pewnego wieczoru podczas kolacji w restauracji Allaria zapytał, czy słyszeli o maleńkiej plaży za Santa Ponsa, na którą można było dotrzeć tylko łodzią.

— Nikt nam o tym nie wspominał — odpowiedział Morrison. — Poza tym nie mamy łodzi.

— Ale ja mam, przyjacielu. Niezbyt dużą, ale szybką i piękną! — Sięgnął do kieszeni i wyciągnął pęk kluczy.

— Wyjaśnię wam, który służy do czego. — Sącząc wino objaśnił dokładnie sposób obsługi łodzi. — A ten klucz — dodał — jest od maleńkiej łódki. Znajdziecie tam parę butelek Lacrima Christi. — Zanim zdążyli odpowiedzieć, machnął ręką, aby ich uciszyć. — A więc, może jutro?

— Cudowna propozycja — odpowiedziała Larysa.

— Nikt w Santa Ponsa nie rozpowiada o tej plaży. Nazywamy ją po prostu Paradisio, czyli Raj, jeśli wolicie. A gdy się odnajdzie drogę do raju, strzeże się jej przed intruzami. — Roześmiał się. — Ale wy jesteście moimi przyjaciółmi, więc wszystko gra. Aha, w lodówce znajdziecie też lunch... jeśli znajdziecie chwilę czasu na posiłek — przerwał, wybuchając śmiechem — i gwarantuję, że nie spotkacie tam innych łodzi w środku tygodnia. Będziecie sami. — Zamyślił się. — Gdybym był zakochany i w waszym wieku, wracałbym tam ciągle.

Morrison trzymał się wskazówek Allarii, kierując łódź do wyspy. Tak jak mu powiedział Gaetan, minęli grupę skał i znaleźli się w wąskim kanale niewidocznym dla przepływających łodzi.

— Jak z bajki... — wyszeptła Larysa, gdy kanał przeszedł w małą zatoczkę.

Po obu stronach piętrzyły się skalne ściany, ale przed nimi ciągnął się pas białego piasku. Około stu stóp nad plażą na zboczach skał rosły palmy i kwitnące zarośla.

— Nie ma tu żywej duszy, tak jak obiecał Gaetan. — Morrison spoglądał w dal. — To wszystko nasze. — Zdziwił się, że mówi szeptem.

— Spójrz, ile ryb! — Larysa patrzyła w głąb wody. — Cała ławica. Woda była kryształowo czysta. Odbijało się w niej niebo.

Morrison zakotwiczył około dwudziestu stóp od brzegu, tak jak polecił Allaria, aby nie zaskoczył ich nagły odpływ.

— Daj mi rzeczy, zabiorę je na brzeg... — zaczął, ale nie zdążył skończyć.

Larysa wskoczyła do wody i zanurkowała. Morrison poszedł w jej ślady. Woda w zatoce była cieplejsza niż w Santa Ponsa. Płynął szybko, usiłując dogonić Larysę. Była silna i nie dawała się prześcignąć. Nagle zatrzymała się i poczekała, aż dopłynie do niej. Gdy był blisko, zanurkowała głęboko i po chwili wypłynęła z jego drugiej strony. Stała w wodzie sięgającej do pasa.

— Witam w raju! — Potrząsnęła głową. — Nie ma tu kolejki oczekujących... na cokolwiek. — Pochyliła się do Morrisona i pocałowała go. — Na cokolwiek... nawet jeśli pływa pan wolno, panie Morrison.

Objął ją i przyciągnął do siebie, po czym podniósł, całując jej oczy, nos, usta.

— Muszę teraz przynieść nasze rzeczy z łodzi. Nie chcę się kochać na piasku. To niewygodne. Chciałbym, żeby ten dzień był idealny. Tyle zaplanowałem!

Przechyliła głowę.

— Nie pomogę ci, dopóki mnie nie postawisz.

Gdy ją puścił, ochlapała go wodą i znowu zanurkowała. Wypłynęła po drugiej stronie łódki.

— Widzisz, jaki dzisiaj jesteś ślamazarny?

Morrison płynął w jej kierunku z grymasem dzieciennego niezadowolenia na twarzy.

— Od ciebie przyjmę każdą obelgę w zamian za trochę czułości. I nawet doholuję cię do brzegu, gdy rozładuję rzeczy.

Rozłożyli ręczniki na plaży i wypili butelkę schłodzonego wina. Morrison zaproponował zwiedzenie wybrzeża. Gorący piasek parzył ich stopy. Spacerowali wzdłuż brzegu. W końcu skryli się w cieniu egzotycznych palm, między którymi rosły krzewy granatu.

Laryse ogarnęło uczucie błęgiego spokoju. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak zrelaksowana. Czytała kiedyś o miejscach takich jak Paradisio, ale nie sądziła, że dane jej będzie znaleźć się osobiście w zaczarowanym ogrodzie. Zobaczyła kwiat, w którego istnienie nie wierzyła do końca. Zapomniała o wszystkim. Nie poczuła nawet, że Morrison objął ją ramieniem i coś mówił. Musiała przyzwyczaić się do nie znanego jej otoczenia, uświadamiając sobie, że nie jest ono wytworem wyobraźni.

— Co mam zrobić, abyś mnie dostrzegła? — Obrócił ją do siebie, podnosząc jej brodę. Larysa uśmiechnęła się tylko. — Gdzie byłaś, kochana?

— Wyobrażam sobie, jak wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy zostali tu na zawsze.

— 1?

— No może na zawsze to zbyt długo. Nie mielibyśmy do czego wracać. — Uklękła na rozłożonym ręczniku. — Czy jest jeszcze wino?

— Nie w tej butelce — odpowiedział, zakopując puste naczynie w piasku. — Popłyniemy po następną?

— Wolałabym zostać tutaj. Będę cię obserwować.

— Zgoda, ale pod jednym warunkiem. Wokół nie ma żywej duszy, jest więc bez sensu marnować promienie słoneczne, nosząc te niewygodne kostiumy kąpielowe. Twojemu ciału przydałaby się całkowita opalenizna.

— Nie mogę — spojrzała na niego, mrużąc oczy od słońca.

171

— Dlaczego? To całkiem naturalne.  
— Nigdy przedtem tego nie robiłam.  
— A więc najwyższa pora zacząć.  
— Nie mogę.  
— Dlaczego? — Ukłęknął obok niej.  
— Trudno mi to wyjaśnić. To tak jakbym rozbierała się publicznie. Pamiętasz balkon hotelowy w Palma? — powiedziała miękko. — Wydaje mi się, że ma to związek z moich wychowaniem. Och nie wiem, to strasznie grupie.  
— Ale rozbierasz się przy mnie w nocy i nie jesteś zakłopotana.  
— To co innego — odpowiedziała zamyślona. — Jesteśmy razem we własnej sypialni i kochamy się. W pobliżu nie ma nikogo... niema szansy, aby ktokolwiek się pojawił. — Przed jej oczami stanął obraz nagiej kobiety w wózku otoczonej przez nieznanomych mężczyzn. Pamiętała niewiele, ale wiedziała, że kobieta była przerażona. Morrison zauważył grymas na twarzy Larysy. Dotknął jej ramienia i uśmiechnął się, gdy podniosła oczy. Zachował się głupio, nalegając by zrobiła coś, czego z jakiegoś powodu się obawiała.  
— W porządku. Nic nie szkodzi. Ja mimo wszystko się rozbiore.  
Larysa podciągnęła kolana pod brodę i przyglądała się migoczącej wodzie w zatoce. Nie słyszała najmniejszego dźwięku. Obejrzała się, by sprawdzić, gdzie zniknął Morrison. Stał jednak na tym samym miejscu. Jego slipki leżały na kocu, a on uśmiechał się łobuzersko.  
— Nie wiesz, co tracisz — powiedział i pobiegł w stronę wody. Płynąc rozbryzgiwał całe fontanny kropel i krzyczał jak mały chłopiec. Larysa przyglądała się jego zabawie. Wypreżył nagle plecy i zanurkował prosto do dna, stając na rękach i machając wystającymi z wody nogami. Pływał pod wodą, wynurzając się tylko, gdy musiał zaczerpnąć powietrza. Po chwili znudził się. Podpłynął parę metrów kraulem i przekreślił się na plecy. Larysa poczuła przyływ czułości. Zobaczyła Jacka w innym świetle i pokochała jeszcze bardziej. Wstała i rozwiązała tasiemki kostiumu. Bikini spadło na piasek. Poczula, że ten mężczyzna pomógł jej przełamać kolejne zahamowanie — barierę, którą ustanowiła nieświadomie, aby uchronić się przed światem zewnętrznym. Biegła po piasku zadziwiona ogarniającym ją uczuciem swobody. Przestała się krepować.  
Kiedy Morrison zobaczył, że Larysa ma zamiar dołączyć do niego, poczekał, aż zacznie płynąć, i zanurkował. Znalazłszy się pod

nią, otworzył oczy i ujrzał jeden z najpiękniejszych widoków, jakich doświadczył w życiu. Larysa wiedziała, że ją obserwuje. Jej ruchy przemieniły się w erotyczne przedstawienie. Wyglądała niczym morska boginka pluskająca się w podświetlonych słońcem kroplach wody. Przez moment płynęli obok siebie. Potem Morrison zawrócił ku brzegowi, a ona popłynęła za nim. W miejscu gdzie woda była wystarczająco płytka, by mógł sięgnąć dna, zatrzymał się i przyciągnął dziewczynę do siebie.

— Tu jest dla mnie za głęboko — zaprotestowała, gdy obsypał ją gradem pocałunków.

— Przepraszam, co za dzieciak ze mnie. Jestem tak podniecony, że trudno mi się kontrolować. Chodź. —

Pociągnął ją w stronę brzegu. — A teraz sięgasz dna?

— Tak. — Uniosła ręce w górę. — Teraz stoję samodzielnie. — Roześmiała się. — Co dalej?

Morrison ponownie przyciągnął ją do siebie. Ich ciała zwały się w uścisku. Całował ją delikatnie, mrużąc:

— Czy zauważyłaś, że w wodzie skóra wydaje się miękka i gładka jak jedwab?

Otarła się o niego uwodzicielsko z zamkniętymi oczami i przywarła do jego ust. Całowali się z początku delikatnie, po chwili namiętnie. W pewnej chwili odsunęła się do tyłu i wyszeptała:

— Nigdy w życiu nie przeżyłam czegoś tak wspaniałego. — Oddychała niespokojnie. — Chcę, żebyś mnie kochał tutaj, natychmiast...

Dzień w Paradisio był najpiękniejszym dniem w życiu Larysy. Większość z barier, jakimi odgradziła się od świata zewnętrznego, runęła na piaskach plaży z powodów, których w pełni nie zrozumiała.

Daken pojawił się w Santa Ponsa tylko po to, aby nawiązać kontakt z Larysą. Morrison nigdy nie dowiedział się o jego przybyciu. Spotkanie było bolesne dla Larysy. Gdy rozpoznała Dakena na ulicy, z jej piersi wyrwał się rozpaczliwy krzyk: Nie! Tak jak w bajce o Kopciuszku, północ nadeszła zbyt szybko. Larysa na Majorce przeżyła ekstatyczne chwile upojenia szczęściem. Osiągnęła ideał zbliżenia z drugim człowiekiem. Jej życie nabrało nowego sensu, a teraz do tego cudownego świata wtargnął intruz. Żądano od niej

splaty długu. Chciano, by zaprzepaściła swą miłość. Jednak dzielnie przyjęła nieuniknione spotkanie. Wyjaśniła Morrisonowi, że ma zamiar wymknąć się na godzinne samotne zakupy. Podczas rozmowy w wynajętym samochodzie Dakena powróciły przykre wspomnienia. Daken nie musiał nic mówić. W jego oczach ujrziała brutalną rzeczywistość. Wiedziała, że nie uda się utrzymać bajecznego snu tak długo, jak Stalbo będzie chodził po świecie. Daken był jedyną osobą, która mogła jej pomóc w zrealizowaniu zemsty.

Wszystko, co mówił, musiała zapamiętać. Kiedy odbierze bilety w Palma, udzieli jej instrukcji, jak nawiązać kontakt w Madrycie. Tak samo ma postąpić we Frankfurcie i Pradze. Od tej chwili zajmą się jej dokumentami, paszportem, pracą, pieniędzmi. Morrison nie będzie w stanie jej odnaleźć. Stalbo nie dowie się o tych posunięciach. Larysa Alushta przestanie istnieć. Kiedy chce zacząć działać?

— Dajcie mi trzy dni.

Gaetan Allaria obchodził urodziny. Przyznał żartobliwie, że to wydarzenie przytrafia się raz do roku, czy tego pragnie, czy nie. Wydawał zawsze wielkie przyjęcie, na które zapraszał wszystkich znajomych. Nikt w Santa Ponsa nie wiedział dokładnie, ile Gaetan ma lat. Trudno było sprawić mu prezent, gdyż twierdził, że ma wszystko. Samodzielnie ozdabiał restaurację i serwował drinki. Dopóki pracował przy sporządzaniu posiłków, nikt nie miał prawa wejść do kuchni. Gaetan całował swych gości na przywitanie, zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Wszyscy byli jego przyjaciółmi i wyrażał przywiązanie do nich na własny sposób. Kiedy przybyła Larysa i zarzuciła mu ręce na szyję, podniósł ją i okręcił dookoła jak dzieckiem.

— Czasami nowi przyjaciele są najdrożsi — stwierdził, stawiając ją na ziemię i całując w policzek. — Niech popatrzę na twoją kreację. — Swymi ogromnymi rękoma pogłaskał ją po głowie i cofnął się o krok. Nagle na jego twarzy odmalowało się przerażenie.

— Co się stało, Gaetanie? Objął ją ponownie.

— Ktoś był dla ciebie okrutny. Przepraszam za moją niezręczność. Nie chciałem się wtrącać. Pewnie wolałabyś to ukryć przed innymi.

Jej okaleczone ucho! Ono zaszokowało Gaetana.

— Nie mogłeś uniknąć tego odkrycia — odpowiedziała miękko. Biedny Gaetan. Nie był przygotowany na taki widok. Wspięła się na palcach i pocałowała go. — Nie myśl o tym, Gaetanie. To przeszłość. Kiedy zatańczymy dzisiaj wieczoru, wyjaśnię ci, co się stało... jeśli chcesz. A teraz uśmiechnij się, zanim ktokolwiek zauważy twoją zatroskaną minę.

Allaria tańczył z każdą kobietą na przyjęciu. Gdy przyszła kolej na Larysę, uklonił się przed nią głęboko.

— Czuję teraz dla ciebie wielki respekt — powiedział wzruszony, ze świecącymi oczami. — Jesteś kobietą, która przeżyła więcej niż ktokolwiek, kogo znam.

Jak na potężnego człowieka, Gaetan był niezwykle sprawnym tancerzem. Z zadziwiającą lekkością prowadził Larysę w rytm tańca, którego nie znała.

— Nigdy nie pytałem, co się stało z twoimi palcami, ale gdy zobaczyłem twoją okaleczoną twarz, zrozumiałem, że wiele wycierpiałaś. Oczywiście, to nie moja sprawa. Ale mój przyjaciel Morrisom.. — zawahał się, szukając odpowiednich słów. — On musiał ci bardzo pomóc. Wiem, że go gorąco kochasz.

— To on ocalił mi życie. — Przegięła się do tyłu, aby spojrzeć Gaetanowi w oczy. — Ale kochałam go znacznie wcześniej. — Oparła głowę na jego ramieniu i dodała: — Proszę, nie martw się o mnie. Nie mogę wyjaśnić wszystkiego, ale między nami nic się nie zmieni. Zawsze będziesz zajmował ważne miejsce w naszych sercach. Niezależnie od tego, co się stanie, pamiętaj, że postaramy się tu wrócić. — Podniosła głowę. — Nie myśl o tym więcej, obiecujesz?

Larysa i Jack opuścili przyjęcie późną nocą. Gaetan na pożegnanie objął Morrisona i powiedział:

— Twoja Larysa jest najpiękniejszą kobietą na świecie, a ty najszcześniejszym mężczyzną, że znalazłeś taki skarb. Zawsze przyjeżdżajcie na moje przyjęcia.

Następnego popołudnia Jack i Gaetan popijali piwo, aby zwalczyć kaca. W tym czasie Larysa wyjechała z Santa Ponsa. Zostawiła dla Jacka list — najpiękniejszy i najsmutniejszy, jaki kiedykolwiek dostał.

Najukochańszy Jacku! Kocham Cię. Kocham Cię.

<sup>1</sup> 2 - Cienie zemsty

Kocham Cię. Kocham Cię.

Mogłabym powtarzać te słowa pięćset razy, ale Ty o tym wiesz dobrze. Wiesz także, że nasza miłość będzie trwała wiecznie. To jedyny sposób, w jaki mogę rozpocząć ten list, który zmartwi nas oboje.

Kocham Cię.

Kocham Cię.

To się musiało zdarzyć, bo jest osoba (tak znienawidzona, że nie mogę znaleźć właściwych słów), która zawsze będzie stała między nami, dopóki żyje. Nie wiem, jak długo to potrwa. Upłyną miesiące, a może lata, zanim połączymy się znowu i spędzimy z sobą resztę życia. Ale ta chwila nadejdzie.

Kocham Cię.

Kocham Cię.

Zanim skończysz czytać, pomyślisz przynajmniej o pięciu różnych sposobach na odnalezienie mnie. Błagam, jeśli kochasz mnie choć w połowie tak jak ja Ciebie, posłuchaj mnie. Jestem bezpieczna. Ktoś się mną opiekuje. Pomoże mi zakończyć mój pościg. Dałam słowo honoru, że doprowadzę tę sprawę do końca. Gdybyś próbował mnie powstrzymać, znaczyłoby to, że mnie nie kochasz. Nie zniosłabym tej myśli. Uwierz mi także, że naraziłbyś się na niebezpieczeństwo. Gdyby coś Ci się stało, nie znalazłabym w sobie sił do życia.

Kocham Cię.

Kocham Cię.

Mogłabym wieki wyliczać powody, dlaczego tak bardzo Cię kocham i powody, dlaczego nie możesz mnie szukać, ale sądzę, że zrozumiałeś. Zanim się spostrzeżesz, będziemy znowu razem. Musisz być tylko cierpliwy.

Kocham Cię.

Kocham Cię.

Dlaczego tak mocno Cię kocham? Kocham Cię, bo będziesz nosił mój list przy sercu i czytał go za każdym razem, gdy zechcesz mnie odszukać. Błagam w imię naszej miłości, czekaj na wiadomość ode mnie. Czekaj na mnie, zawsze myśl o mnie.

Zawsze Twoja Larysa



# HISTORIA STALBY MOSKWA, 1974

## 1974-1976

W tym czasie Staibę przegladali w kielasku, a on nie miał głowy do przodu. Staibę zaczął biegać w przyspieszonym tempie, przyspieszał tempo. Ta fotografia zainteresowała go bardzo, ale nie był zainteresowany. Miał ochotę wziąć podkorkowy nóż z rękodziełstwa i zrobić sobie trochę kłopotów, ale nie chciał, bo chciał być uśmiechnięty i mieć słodki sen.

Fotografia wyprzedziła go, była wyprzedziła. Przygotował raporty i zdjęcia, aby uniknąć podejrzanych ludzi. Kwatera główna KGB w Moskwie i ZSRR podjęły decyzję, aby podjąć działania za każdym razem, gdy zastępcy stała się sprawa. Kwatera główna wyprzedziła go, była wyprzedziła. Tędy szły, w związku z tym, że w tym czasie staibę przegladali w kielasku, a on nie miał głowy do przodu.

Kobietę z fotografią zwrócił w ręce, a on nie miał głowy do przodu. Kwatera główna wyprzedziła go, była wyprzedziła. Tędy szły, w związku z tym, że w tym czasie staibę przegladali w kielasku, a on nie miał głowy do przodu.

# HISTORIA STAŁBY MOSKWA, 1974

## W

w w iktor Stalbo przyglądał się fotografii około trzydziestu sekund, zanim skinieniem głowy zwolnił swego pomocnika. Serce zaczęło bić mu w przyspieszonym tempie, gdy rozpoznał tę twarz. Ta fotografia zainteresowała go bardziej niż plik innych leżących na biurku. Miał ochotę wstać i podskoczyć w górę z radości, ale nie zdradził swych emocji przed asystentem. Uważał, że okazywanie uczuć stanowi oznakę słabości. Foldery wywiadowcze były zwykłym krokiem w przygotowaniach do wizyty w odległym mieście. Przygotowywano raporty i zdjęcia, aby uniknąć potencjalnych kłopotów. Kwatery główne KGB w każdym mieście w ZSRR podejmowały tego rodzaju działania za każdym razem, gdy zastępca szefa do spraw wewnętrznych wyjeżdżał z wizytą do sąsiedniego kraju. Tym razem, w związku z niecodziennym wyjazdem generała Stałby, pracowały ze zdwojoną wydajnością.

Kobieta z fotografii zwróciła uwagę kierownika lokalnego biura, ponieważ była obywatelką Czechosłowacji, lecz widziano ją, jak głosił raport, z cudzoziemcem. Nie udało się zidentyfikować tego mężczyzny, gdyż oficer KGB, który miał go rozpoznać, nagle zmarł tajemniczo. Kobieta posiadała czeskie nazwisko, paszport i wiarygodny życiorys, chociaż wiele danych o niej zostało zniszczonych podczas powstania w 1968 roku. Oczywiście informacje okazały się fałszywe, a próby dotarcia do prawdziwych spaliły na panewce.

181

1870  
1871  
1872

Kochan Ci...  
Kochan Ci...  
Kochan Ci...

To się musio...  
nie było...  
nie było...  
nie było...

# WYKAZ

Wieloletni...  
Kochan Ci...  
Kochan Ci...

Kochan Ci...  
Kochan Ci...  
Kochan Ci...

Kochan Ci...  
Kochan Ci...  
Kochan Ci...

Stalbo wyciągnął szczegółowy raport przygotowany specjalnie na jego życzenie i zaczął czytać.

**Panna [nie wysilił się nawet na wymówienie czeskiego nazwiska] urodziła się prawdopodobnie w 1945 roku w wiosce koło Bratysławy przy granicy z Austrią. Jej wykształcenie obejmowało dwuletnie szkolenie w dziedzinie importu i eksportu, po którym została wysłana do Pragi. Pracowała dla organizacji, która nadal utrzymuje kontakty ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki poprzez zakup maszyn rolniczych. Tam mogła nawiązać kontakt z nie zidentyfikowanym cudzoziemcem wspomnianym w „Dodatku nr 2”. Dwa lata temu przyjęła propozycję pracy w Narodowym Biurze Importowo-Eksportowym w Pradze i jest z nim związana do dziś. Nic nie wskazuje na to, że jest niełojalna wobec pracowników czy w kontaktach towarzyskich. Mieszka samotnie na osiedlu rządowym, w chwilach wolnych spotyka się z koleżankami ze swego biura. W służbowych kontaktach z mężczyznami jest opanowana, nie angażuje się emocjonalnie. Każdego roku przysługują jej trzy tygodnie wakacji, które spędza na Majorce. Nie zdołano jeszcze ustalić, w jaki sposób otrzymała rządowe pozwolenie na opuszczanie kraju. Te niejasności w jej życiorysie mają prawdopodobnie związek z cudzoziemcem, z którym utrzymuje kontakty. Załączone zdjęcie wykonane zostało obiektywem o stałej ogniskowej w ciemny, deszczowy dzień, gdy wychodziła z biura. Dodatkowe informacje w przygotowaniu.**

Mogli sfotografować ją nawet w ciemnym pokoju, a i tak rozpoznałby tę twarz, twarz, która często pojawiała mu się przed oczami. Pamiętał dobrze wyczerpaną kobietę, której nagie i zakrwawione ciało trzęsło się i skręcało z bólu. Zacisnął zęby, przypomniał sobie moment sprzed paru lat, gdy obudzono go wiadomością, że uciekła. Była zbyt słaba, aby chociaż pomyśleć o ucieczce! Stalbo wiedział, że odbił ją ten Amerykanin, który zdołał umknąć zasadzce. I to z pomocą jednego z jego stałych, zaufanych asystentów! Przypomniał sobie, jak srogą planował karę dla zdrajcy ku przestrodze innym. Ale skurwysyn połknął cyjanek, zanim zmusili go do mówienia.

W krajach sąsiednich zatrzymywanie podejrzanych przed przyjazdem osobistości na miarę Stałby stanowiło zwykłą procedurę KGB. W Czechosłowacji, gdzie nadal ukrywało się wielu dysydentów, prowadzono szczególnie wyostrożony wywiad. Szef biura w Pradze umieścił wskazaną kobietę na liście podejrzanych. Stałbo zadzwonił po asystenta.

— Powiedźcie Pradze, aby nie przeszkadzali tej kobiecie — powiedział, oddając kartotekę. — Ale niech kontrolują jej każdy ruch. Mam zamiar zaskoczyć ją osobistymi odwiedzinami.

Nie miał pojęcia, w jaki sposób Larysa znalazła się w Pradze ani jak udało jej się zamaskować, ale nie dbał o to. Jedyną rzeczą, jakiej pragnął, było ujrzanie wyrazu jej twarzy, gdy się spotkają. Kiedy ona zda sobie sprawę, że Wiktor Stałbo wygrał.

# HISTORIA LARYSY PRAGA, 1974

L

laryso! — zawołanie zabrzmiało niczym odgłos burzy. Zadrżała ze strachu. Nikt tutaj nie znał jej imienia. Posługiwała się nim jedynie w czasie krótkich, szczęśliwych wizyt na Majorce. Nie wiedziała, czy uciekać, czy odpowiedzieć temu, kto wołał ją z samochodu.

— Pospiesz się! Nie mamy dużo czasu! Wsiadaj! — zabrzmiał rozkaz.

Głos był ostry, nie znoszący sprzeciwu. Pochyliła się i zajrzała do samochodu, gdzie siedział jakiś mężczyzna. Poznała go! Nagle jej pamięć się odblokowała. Daken! Nie zmienił się wcale. Jak zwykle formalny i poważny, bez uśmiechu na twarzy. Siedział za kierownicą pewny, że Larysa wykona jego rozkaz. Otworzył drzwi.

— No już, wsiadaj! — Patrzył w boczne lustro. Zdenerwował się, gdy oparła się o maskę samochodu. — Nie mam zamiaru pracować z kobietą, która nie potrafi podjąć cholernej decyzji. Wsiadaj albo zatrzaśnij drzwi! — Uruchomił silnik.

Nie widywała się z Dakenem częściej niż raz w roku, zaledwie przez pół godziny. Była zaskoczona jego nagłym pojawieniem się w Pradze. Wsiadła i zatrzasnęła drzwi. Samochód ruszył.

— Nie... nie poznałam cię od razu.

— Nie musisz się tłumaczyć. Rozumiem. — Jechał bardzo szybko, wyprzedzając inne samochody. Skręcił gwałtownie w prawo, spoglądając ciągle w lustro.

182

Instynktownie spojrzała za siebie, jakby chciała zobaczyć, czego tak intensywnie wypatruje.

— Daj sobie spokój. Nie masz wprawy w tego typu zadaniach. Prawdopodobnie nie byłabyś w stanie stwierdzić, że ktoś cię śledzi, nawet gdyby ulica nie była zatłoczona.

— Kto cię śledzi?

— Nie wiem jeszcze, czy ktokolwiek. — Samochód przechylił się, gdy znów skręcił niespodziewanie w kolejną, boczną ulicę. Tu droga była węższa. — Przekonamy się niebawem, no nie?

— Ale kto? — nalegała.

— Twoi moskiewscy przyjaciele. Stalbo i jego chłopcy. — Spojrzał na nią kątem oka i poczuł się winny. — Moja wina. Przepraszam — powiedział łagodniejszym głosem. Ponownie sprawdził sytuację za sobą. — Wiktor Stalbo przyjeżdża do miasta. Zdaję sobie sprawę, że nie masz o tym zielonego pojęcia. Nie ogłaszaj takich rzeczy publicznie.

Laryse przeszedł dreszcz. Choć nie było dnia, żeby o nim nie myślała, dawno już nie słyszała jego imienia z ust drugiego człowieka. Czyżby nadszedł czas? Jej szansa? Czy to dlatego Daken przyjechał do Pragi?

— Czy to już czas? — zapytała, wpatrując się martwo przed siebie. Odrażające wspomnienia kłębiły się w głowie. — Czy to już czas? — powtórzyła przez zaciśnięte zęby.

Samochód wjechał w starą, wąską uliczkę. Daken zwolnił, zerknąwszy uprzednio w lusterko.

— Obawiam się, że nie. Byłoby to jak wtargnięcie do jaskini lwa, z tobą tutaj — zażartował we właściwy sobie sposób, podnosząc kąciki ust w nieznacznym uśmiechu. Zjechał na krawężnik i zatrzymał samochód.

— Przykro mi. Wiem, że czekasz już bardzo długo i że jesteś dzielna niczym kawalerzysta... — Dotknął jej ręki.

— Mam na myśli, że od lat cierpliwie czekasz na swoją szansę. Ale to jeszcze nie teraz.

Ile razy jeszcze usłyszysz to od niego? To już siedem lat, siedem lat męczarni dla Larysy, siedem lat darowanych Stalbie, siedem lat śledzenia przez Dakena ruchów KGB. Skuliła się, jakby ktoś uderzył ją w brzuch.

Zaskoczenie spowodowane pojawieniem się Dakena, szok po usłyszeniu imienia Stalby, wiadomość o jego przyjeździe do Pragi — wszystko zadziało jak środek wybuchowy. Jeszcze przed

chwilą wiodła normalne życie, teraz znowu znalazła się w przerażającym świecie horroru, ukrytym głęboko w jej podświadomości. Ile czasu upłynęło? Dziesięć minut? Powracała na ziemię, ale nie delikatnie — ze wstrząsem. Wszystkie emocje skoncentrowały się w tak krótkim czasie! Czula się, jakby jej dusza i umysł odbywały szaloną przejażdżkę na deskorolce. Nie potrafiła powstrzymać łez. Toczyły się po policzkach całym strumieniem. Ukryła głowę w dłoniach, a ciałem wstrząsały dreszcze.

Daken przyglądał się jej przez ramię. Nigdy nie wiedział, jak postępować z kobietami, które straciły nad sobą panowanie. W końcu sięgnął do kieszeni, wyciągnął chusteczkę i włożył w dłoń dziewczyny.

— Masz. Wytrzymaj oczy. — Kiedy nie odpowiedziała, dodał zakłopotany: — Przepraszam. Nie spodziewałem się, że zareagujesz w ten sposób.

Larysa straciła panowanie nad swoimi emocjami. Na nikim nie mogła polegać. Nie miała do kogo zwrócić się o pomoc. Nie było człowieka, który pocieszyłby ją, powiedział, że wszystko będzie w porządku. Daken manipulował nią, gdyż wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki żyje Stalbo. Jedyna osoba, zdolna otoczyć ją czułością i miłością, była daleko w Waszyngtonie. Wygnana tam na te wszystkie lata przez samą Larysę.

Wybrała wtedy propozycję Dakena, która dawała jej szansę na zemstę, ale musiała jednocześnie przystać na jego warunki. Teraz jej wybór stał się wyrokiem, więzieniem. Za każdym razem, gdy istniała możliwość zgładzenia Stałby, słyszała kolejne wymówki. Teraz Stalbo przyjeżdżał do Pragi, a Daken znów przesuwiał termin. Osłona, jaką zbudowała sobie przed światem zewnętrznym, kruszyła się.

— Jak się pobierasz, wyjaśnię ci wszystko. — Głos Dakena zdawał się dobiegać z oddali. — To nie mój pomysł. Nie planowałem tego w taki sposób. Słyszysz mnie? — Dotknął jej ramienia. — Myślałem, że chwila nadeszła. Zrobiłaś dla mnie tak dużo, ale ktoś z lokalnego biura KGB wysłedził naszego człowieka, z którym rozmawiałaś. Podążasz za mną?

Jego ręka pozostała na ramieniu dziewczyny. Szlochanie ustało. Oddech wrócił do normy. Daken starał się wyjaśnić wszystko sensownie. Larysa odwróciła się i potaknęła.



— Wczoraj dowiedziałem się, że Stalbo wpadł na twój trop. To nie twoja wina. Maskowałeś się wysmienicie. Po prostu pech. Wysłali mu twoją fotografię razem ze zdjęciami innych potencjalnych podejrzanych. Gdyby Stalbo nie zobaczył tego zdjęcia, nigdy by się nie zorientował.

— A... a gdybyś nie dowiedział się, że Stalbo mnie odnalazł? — zapytała, przecierając oczy.

Daken milczał. Spoglądał przez okno, potem gapił się w lusterko, w końcu odwrócił się w stronę Larysy. Przyglądała się mu intensywnie.

— To była dla mnie trudna decyzja. Powiedziano mi, że są kłopoty z Morrisonem... to znaczy z powstrzymaniem go od szukania ciebie. Mógłby sknocić całą sprawę, rozwalić naszą siatkę w regionie.

— Zgodził się — odpowiedziała. — Tak mi powiedział ostatnim razem. Nadal nie ma nawet mglistego pojęcia, kto mnie kontroluje. Mówił też, że obiecał swoim ludziom, iż powstrzyma się jeszcze przez rok, że będzie postępował zgodnie z warunkami... — Zamilkła w połowie zdania, starając się objąć całość rozumem. Nic z tego nie trzymało się kupy. Każdy chciał czegoś innego. Miała tylko jeden cel, a ludzie, których nawet nie znała, wykorzystywali to, aby rozdzielić ją z Morrisonem, dopóki... Dopóki co?

— To miał być ten moment. — Daken nie wiedział na pewno, ale wydawało mu się, że nie pozostaje mu nic innego do powiedzenia.

— Jesteś pewien? Jesteś absolutnie pewien, że nie zmienilibyś zdania i nie kazał mi czekać następnego roku, a może dwa czy trzy?

— Nie. — Potrząsnął głową. — To miało się stać teraz. Dałem słowo. Pamiętasz? Musieliśmy tylko wzmocnić naszą siatkę, rozstawić ludzi wokół Stałby, zanim się go pozbędziemy. Zanim ty go...

— A co teraz?

— Muszę cię stąd wydostać. Ulokować w innym miejscu.

— I powrócimy do naszej rutyny. Co roku pozwolisz nam wyślizgnąć się na trzy tygodnie szczęścia na Majorkę. — Po jej policzkach znowu płynęły łzy, ale panowała nad sobą. — Jak parze dzieciaków w nagrodę za posłuszne zachowanie. — Ich historia wydawała się pochodzić ze złego filmu, a jednak przytrafiła się naprawdę. Larysa wytarła oczy i policzki, po czym odrzuciła

chusteczkę Dakenowi. — Dlaczego, do diabła, nie skończymy z tym wreszcie! Nie mogę żyć tak dłużej! Jeśli dasz mi pistolet, wysiądę z samochodu w tym miejscu i odszukam go. Może go dopadnę, może...

— To ci się z pewnością nie uda. — Po raz pierwszy od lat Daken poczuł do niej coś w rodzaju sympatii. — Wiedzą, że tu jesteś. Dlatego zabrałem cię prosto z ulicy. Twoje mieszkanie jest już na pewno obstawione. Znają każde miejsce, w którym mogłabyś się pojawić. Gdy cię nie znajdą, Stalbo będzie dokładnie wiedział, jaki planujesz ruch. Zapewni sobie jeszcze większą ochronę. — Spoglądał na dziewczynę, ale ona nie wydawała się przekonana. Gdy wypowiedział słowo „Stalbo”, na jej twarzy odmalowała się nienawiść. — Nie miałabyś szansy podejść wystarczająco blisko.

— To twoje ostatnie słowo?

— Tak.

Patrzyła przed siebie, zacisnąwszy usta.

— Powinam teraz powiedzieć, żebyś poszedł do diabła, Daken... Mogłam to zrobić siedem lat temu w szpitalu.

— Mogłaś. — Również potrafił być nieprzyjemny. — Pomyśl tylko, mogłabyś już nie żyć, a Wiktor Stalbo cieszyłby się zdrowiem przez najbliższe dwadzieścia lat.

Larysa zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Ciche, ledwie słyszalne echo pobrzmiwało w jej mózgu. Echo słów Jacka, które wypowiadał w trakcie ich krótkich spotkań w Santa Ponsa:

— Jak długo jeszcze możemy tak żyć? To nie ma sensu. Musimy podjąć decyzję... ustalić cokolwiek, co zmieni obecną sytuację.

Siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na łóżku w ich stałym pokoju. Właśnie skończyli się kochać, po raz trzeci czy czwarty tej nocy. Promienie księżyca wdzierały się do pokoju poprzez korony drzew. Po ciałach kochanków tańczyły srebrne cienie.

— Mówiliśmy o tym ostatnim razem — odpowiedziała miękko, wyciągając rękę w jego stronę. — I poprzednim razem. I za każdym razem od tamtego pierwszego roku. — Czyż nie byli świetnie wyszkoleni? Zachowywali się dokładnie tak, jak tego od nich oczekiwano, a co roku przyjmowali nagrodę trenera za dobre zachowanie.

— Musimy to zmienić. Nie możemy po prostu...

— Jak? — zawsze odpowiadała w ten sposób na jego zapędy.

— Nie wiem. Chyba porozmawiam z Dakenem. On musi za tym stać.

— Kto? — Udała zdziwienie. Było to z jej strony małe kłamstewko. Nie, nie kłamstewko, ale olbrzymie, odrażające kłamstwo.

— Daken. To on uratował cię... nas... w Moskwie. Musisz go pamiętać...

— Ach tak. Wspomniałeś o nim kiedyś. Przypominam sobie mgliście, że spotkał nas na brzegu i odwiedził mnie w szpitalu. Tak, wiem, kogo masz na myśli — skłamała wbrew sobie, lecz tylko w taki sposób mogła doprowadzić sprawę do końca.

— To właśnie on ocalił moją posadę. Namówił ich, aby mnie zatrzymali, chociażby tylko w Waszyngtonie. On też załatwia mi przyjazdy tutaj. Widzisz, po tym, co zrobiłem w Moskwie, nie mogę samowolnie opuszczać kraju. Jednak Daken mi ufa. Wie, że jestem odpowiedzialny. To pewnie też on stoi za twoimi przyjazdami tutaj.

— Nie wiem i nie zapytam o to. Może masz rację...

— Trudno mi uwierzyć, że nie wiesz. — W jego głosie rosła irytacja.

Morrison wiedział, że kłamała. Nie mógł jednak niczego udowodnić. Godził się na to już zbyt długo. Tolerował kłamstwa, ponieważ tylko w ten sposób mógł spotykać Larysę, chociaż raz w roku. Był wdzięczny nawet i za to. Za każdym razem Larysa była pewna, że oto nadszedł czas. Powtarzała, że nie zobaczy go więcej, jeżeli nie zakończy tej sprawy. Morrison nabierał coraz większego przekonania, że wszystkim kieruje Daken. W końcu jednak zgadzał się czekać jeszcze jeden rok, aby mogła pozbyć się odpowiedzialności zżerającej ją jak choroba.

— Wytrzymam wszystko, jeżeli dzięki temu będziemy znów razem.

— To nie potrwa wiecznie. — Pochyliła się i pocałowała go delikatnie. — Jesteś niezwykłą osobą. Nikt inny by mnie nie zrozumiał. Nikt inny nie zgodziłby się milczeć, aby móc mnie spotykać w ten sposób. To się wkrótce skończy. Obiecuję. — Modliła się, żeby mieć to już za sobą, ale ciągle słyszała tę samą odpowiedź.

Otworzyła oczy i spojrzała na Dakena. Była marionetką. Daken pociągał za sznureczki. Jego przyjaciele, jeśli takich posiadał, w taki sam sposób manipulowali Morrisonem w Ameryce. Jednak miał rację. Nie była w stanie uderzyć teraz w Stalbę.

— Dlaczego sami tego nie zrobicie? Czemu go nie zabijecie? Oszczędzacie go dla mnie? — Jej oczy płonęły gniewem.

— Wyjaśniałem ci to już wiele razy. Musi to zrobić... Niepotrzebnie zadała to pytanie. Odpowiedź była zawsze taka sama. „Musi to zrobić dysydemt”, powtórzyła w myślach. „To morderstwo. Gdybyśmy my to zrobili, byłby to zamach. Nie potrzebuję wyjaśniać, do czego mogłoby to doprowadzić”. Ile jeszcze razy będzie zasypiała, powtarzając w myślach jego słowa? Kiedy wreszcie spłaci dług i zacznie normalnie żyć z Morrisonem?

— ...i nie potrzebuję ci wyjaśniać, do czego mogłoby to doprowadzić — kończył Daken. — Wiem, co czujesz. Uwierz mi, że ulokuję cię w bezpiecznym miejscu i zanim się zdążysz zorientować...

— Wycofuję się!

— W porządku. I co masz zamiar zrobić?

— Wydostanę się z tego kraju i pojadę na Majorkę — oznajmiła zdecydowanym głosem.

— A jak wydostaniesz się z tego kraju? Obstawia każde przejście. Twoje zdjęcia są już pewnie na każdym punkcie granicznym.

To nie była groźba. Daken stwierdził fakt. Nie miała dokąd pójść. Wszystko, co posiadała, znalazło się w rękach KGB. Nie mogła wyjść na ulicę ani bezpiecznie pojechać autobusem, wsiąść do samolotu... Jej jedyna nadzieja

— Daken — siedział obok za kierownicą, absolutnie pewien własnych racji. Nie miała wyjścia.

— Jestem człowiekiem bez własnego kraju.

— W tej chwili...

— Na zawsze. Dobrze o tym wiesz — przerwała. — Stwierdziłeś to już w szpitalu. Ale jak udało ci się zdobyć kontrolę nad Jackiem? — zadała mu pytanie, które prześladowało ją od dawna, chociaż mogła przewidzieć odpowiedź.

— Nie zrobiłem tego. — Daken odwrócił się do niej i wydawało się, że tym razem jest szczery. — Wyrzekł się wszystkiego dla ciebie. W momencie gdy zdecydował wyrwać cię ze szponów Stałby, podważył nasze zaufanie. Sam wybrał. Uznał, że jesteś ważniejsza niż bezpieczeństwo organizacji. Gdyby go wtedy złapano, cała siatka zostałaby skompromitowana. Odbudowa zajęłaby lata. Teraz spłaca ciężko swoje długi. Straciliśmy wtyczkę, której nie mogliśmy zastąpić przez prawie osiemnaście miesięcy. Tak długo, jak Stałbo pozostanie u władzy, mamy... — Nie musiał kończyć. To wyjaśniało

wszystko. Zrozumiała, jak ważne jest dla nich pozostawienie Stałby przy życiu. Siedzieli jeszcze chwilę w samochodzie. Żadne nie chciało wypowiedzieć pierwszego słowa. Daken gapił się w tylne lusterko. Larysa zerknęła na niego ukradkiem, jakby przygotowywała się do odpowiedzi.  
— W porządku — oznajmiła po długim milczeniu. — Pomyślmy, w jaki sposób wydostaniemy się z Pragi.

# HISTORIA LARYSY ROSTOK, 1975

Iżaken uznał, że znajomość niemieckiego przyda się Larysie do badań nad rozrastającą się wschodnioniemiecką Volksmarine. Nowym jej domem stał się więc Rostok. Larysa zaprzyjaźniła się tam z pewną kobietą, która zapraszała ją od czasu do czasu do swego domu na wsi. Spędziły również razem Gwiazdkę. Rodziny w tym rejonie przykładały szczególną wagę do świętowania Bożego Narodzenia. Przez pięć dni świąt Larysa zjadła i wypła więcej niż w czasie wszystkich dotychczasowych razem wziętych. Pojawiły się bóle brzucha. Były stosunkowo łagodne i Larysa zbagatelizowała je, traktując jako nieuniknioną oznakę wchodzenia w wiek dojrzały. Zawsze wtedy ma się przecież kłopoty z trawieniem.

Nowy Rok przywitała, nie wychodząc z łóżka w swym małym apartamencie w Rostoku. Gnębiły ją bóle spowodowane, jak sądziła, miesiączkowaniem. Opuściła pierwszy dzień pracy w styczniu. Potem przez miesiąc czuła się dobrze, ale ból powrócił o wiele silniejszy i długotrwały. Do wiosny opuściła wiele dni w pracy i przesunęła nawet wyjazd na Majorkę. Konsultowała się z różnymi lekarzami. Znalazła w końcu doktora starej daty, któremu mogła zaufać. Po dwóch wizytach wyjaśniła mu, jak mało wiedziała o swoich przeżyciach w szpitalu KGB w Moskwie.

— Będę z panią szczerą — powiedział stary lekarz po dokładnej analizie komórek pobranych z ciała Larysy. — Cierpi pani na rzadki rodzaj raka. Niewiele wiem na temat powikłań powstałych w następ

stwie okaleczeń, jakich pani doznała. Mało kto wie cokolwiek rja ten temat. Musiałaby się pani udać do szpitala w dużym mieście. Prawdopodobnie zatrzymaliby panią w charakterze królika doświadczalnego, ponieważ rak ma niecodzienną przyczynę. Rozp><sub>izes</sub> trzenił się już bardzo. Żywi się starymi ranami, podobnie jak pani. — Przygryzł usta, szukając właściwych słów.

Uśmiechnęła się łagodnie, gdy zobaczyła, jak trudno było mu powiedzieć okrutną prawdę.

— Myślę, że pan wie, przez co przeszedłam. Niełatwo ninie przestraszyć. Czy chce pan powiedzieć, że umrę?

Na chwilę zamknął oczy, a gdy je otworzył, płonęły Współczuciem.

— Każdego roku jest mi coraz trudniej wyjawiać taką prawdę przed młodymi ludźmi. Nie mogę stwierdzić niczego ostatecznie dopóki któryś z młodszych kolegów nie potwierdzi moich podejrzeń. Obiecuję, że dopóki pozostanie pani moją pacjentką, będzie to jedyny raz, gdy poczuje się pani jak obiekt eksperymentów.

Tydzień później przedstawił Larysie metody leczenia.

— Ma pani ochotę zostać królikiem doświadczalnym? — zaczął z półuśmiechem na twarzy.

Potrząsnęła głową.

— Znam lepsze sposoby umierania.

— Istnieje wiele tradycyjnych kuracji, można wybierać jak w sklepie. Jednakże pani przypadek jest na tyle odmienny, że standardowa radioterapia czy metody chemiczne uczyniłyby panią jedynie bardziej nieszczęśliwą. Sądzę, że najlepsze w pani przyp<sub>ac</sub>jk<sub>u</sub> byłoby... — opisywał eksperymentalną kurację, którą posługiwali się jego koledzy.

Przed jesienią stwierdzono, że kuracja nie skutkuje. Wiktor Stalbo nie tylko odebrał jej zdolność dawania życia, ale sięgnął również po jej własne. Ku zdziwieniu Larysy, gdy stało się wiadomo, że jej życie dobiega końca, cała nienawiść i ból utrzymywane głęboko przez lata wydawały się zniknąć w jednej chwili i ogarnęło ją uczucie spokoju. Wkrótce potem zażądała widzenia z Dakenem.

— Oczywiście — zaczął jak zwykle Daken — w pełni cię rozumiem. — Przyłożył dłoń do ust i zakaszłał nerwowo. — Sądzę, iż oznacza to, że chcesz teraz zostać sama. — Z radością zgodziłby się &a każde jej żądanie, ale po wpadce tydzień temu jednego ze

szpiegów z otoczenia Stałby ucierpiała większość siatki. Jego umysł pracował na wysokich obrotach. Może właśnie nadszedł czas! Jeśli istniał sposób na załatwienie KGB, tak jak oni załatwili jego system, ostatnią rzeczą, jaką mógł zrobić dla tej umierającej kobiety, było danie jej okazji. — Wiem, że nie będziesz usatysfakcjonowana, dopóki Stałbo żyje...

— Nie — odpowiedź była ostra. — Nie zamierzam umierać na jakiejś moskiewskiej ulicy, próbując zabić kogoś takiego jak on. — Jej oczy zwięziły się i świeciły groźnym blaskiem. — Czy zgodzi się pan, że zasłużyłam na spędzenie ostatnich dni w spokoju?

Daken często zastanawiał się, jak chciałby spędzić własne ostatnie dni. Teraz uzyskał odpowiedź. Gdyby zaistniała taka sytuacja w jego życiu, wybrałby to samo: spokój i samotność. Przedtem nie wiedział, co pociągało go w tej kobiecie. Wymagała respektu, jakim darzył bardzo niewielu ludzi, lecz teraz zrozumiał, dlaczego byli tacy podobni.

— Zrobię wszystko co w mojej mocy, by uszanować pani życzenie. — Tym razem Daken roześmiał się szeroko. Oczy świeciły mu się. Wyobraził sobie, że jest dobrym duchem mogącym spełniać życzenia ludzi nieszczęśliwych.

W ten sposób Larysa dostała się na Majorkę pod opiekę siostry Teresy. Nigdy nie wróciła do małego pokoiku hotelowego na wzgórzu porośniętym kwieciami, nigdy nie próbowała odnaleźć małej plaży zwanej Paradisio i nigdy nie pozwoliła Gaetanowi Allarii domyślić się, że wróciła do Santa Ponsa, by umrzeć.



# HISTORIA STALBY MOSKWA

## 1977

W

Wiktora Szalbo

Przez te trzydzieści osiem lat żył pan w kłamstwie. Chciał  
dobro widzieć, że nigdy nie był pan w stanie całkowicie odie-  
pisać przed sobą. Na tego dnia obwinił się pan, że widział, że  
pana zapolewiec. Od momentu, gdy zaczął się szpiegować, każdy  
padł przed żywym, śmiejącym się przed panem, kiedy  
się pojawił, by powziąć. Rozprawy, jak profesor Wiktor  
Szalbo — wojski, mordercy, rajdowcy, byli na świecie.

Teraz jestem świadomy, że nie obraziłem tego, co  
obiecuję sobie, gdy dowiedziałem się, że pan jest sprawcą —  
zabić pana Wybrzeźnia i jego metody. Może nie sprawi się odc-  
wrażeń, ale powinien wystrząść panującego krajowy. Posi-  
dam wszelkie dowody potrzebne do siewienia pląsk, prze-  
szłości... Pasażer sitta wojskowe, różni narodził, był któryś

# HISTORIA STAŁBY MOSKWA

## W

m m iktor Stalbo mógł rozważyć treść listu bardziej racjonalnie, gdy minął początkowy szok. Wyjął pogniecioną kopertę z kosza na śmieci. Została nadana pięć dni temu w Rostoku. Czy przesłanie listu z tej odległości mogło zająć aż pięć dni? Gdyby dotarł wcześniej, mógłby ją ścigać. Ale teraz, po pięciu dniach, nie było szansy. Będą musieli przebrnąć przez całą uciążliwą procedurę tropienia. Położył pojedynczą zapisaną kartkę na swym biurku i wygładził dłonią.

### **Wiktor Stalbo**

**Przez te trzydzieści cztery lata żył pan w kłamstwie. Oboje dobrze wiemy, że nigdy nie był pan w stanie całkowicie uciec przed przeszłością. Każdego dnia obawiał się pan, że wrócę, by na pana zapolować. Od momentu mej ucieczki ze szpitala każdy pański dzień wypełniał strach przede mną, strach przed tym, kiedy się pojawię, by powiedzieć Rosjanom o przebierańcu Wiktorze Stalbie – zdrajcy, mordercy, najniższej formie życia na świecie.**

**Teraz jestem świadoma, że nie zdołam dokonać tego, co obiecałam sobie, gdy dowiedziałam się, kim pan jest naprawdę – zabić pana! Wybieram inną metodę... Może nie sprawi mi ona satysfakcji, lecz powinna wyrządzić panu więcej krzywdy. Posiadam wszelkie dowody potrzebne do ujawnienia pańskiej przeszłości... Pańskie akta wojskowe, różne nazwiska, pod którymi**

z przyczyni kroczenia, Su-Py...  
...  
...  
...

...  
...  
...  
...  
...

...  
...  
...  
...  
...

...  
...  
...  
...  
...

...  
...  
...  
...  
...

...  
...  
...  
...  
...

...  
...  
...  
...  
...

**pan występował, nawet listę niewinnych ludzi, których pan torturował.**

**Dzisiaj najbardziej musi się pan bać tego, że mam nad panem zasadniczą przewagę – umieram. Moje życie jest skończone. Nie może pan już zrobić nic, co by mi zaszkodziło. Nie ma też sposobu, by mógł pan uniknąć kary. Teraz pracuję nad wszystkim. Proszę mnie znaleźć, jeśli pan potrafi.**

Podpisu nie było, bo i po co. Śmiertelna gra została rozpoczęta.

Dzień później Stalbo odebrał telefon od swego najbardziej zaufanego redaktora z „Prawdy”.

— Oleg Kierczenko dostał list z nieznanego źródła. Dotyczy ciebie. — Nastąpiła pauza, po czym redaktor dodał: — List nie jest przychylny. Myślę, że powinienes go zobaczyć. Kierczenko utrzymuje, że autor dośle jeszcze dwa.

Stalbo odwiesił słuchawkę bez odpowiedzi. Godzinę później Kierczenko był w budynku KGB. Jednakże Stalbo otrzymał telefon od jednego z wysokich członków KPZR, będącego również adresatem podobnego listu.

Człowiek ten uważał, że generał powinien zrozumieć wagę treści, ponieważ autor listu zamierzał ujawnić szczegóły w przeciągu paru dni. Całość niewątpliwie dotyczyła Stałby, jednak szef partii wolał wyjaśnić najważniejsze fakty co do KGB i partii, w razie gdyby oskarżenia znalazły odbicie w rzeczywistości.

Tego dnia były jeszcze dwa telefony — każdy od wiarygodnego informatora. Donoszono o odrębnych faktach. Czy generał Stalbo mógłby wyjaśnić te oskarżenia? Czy wiedział, kto wysłał te destrukcyjne informacje? Czy było możliwe, aby ta osoba mogła zagrozić generałowi lub, co więcej, partii i KGB?

Wiktor Stalbo został wplątany w zaciskającą się sieć. Dokładnie zaplanowane posunięcia pozbawiły go możliwości obrony. Musiał zachować szczególną ostrożność. Każdy nie przemyślany ruch mógł zostać odczytany jako przyznanie się do winy. Jego jedyną szansą było dostanie się w centrum sieci i zniszczenie pająka, zanim ten śmiertelnie ukąsi.

# HISTORIA MORRISONA

## MAJORKA

### W

w w narzuconej sobie roli dobrego ducha czuwanie nad Larysą Alusztą w jej ostatnich dniach znaczyło dla Dakena bardzo wiele. Był to jedyny okres w jego życiu, który przeżywał tak bardzo emocjonalnie. Stanowił formę spłacania długu. Asystował jej nawet w przygotowaniu dokładnego exposé o Wiktorze Stalbie na podstawie wcześniejszych badań Morrisona i wybrał adresatów listów.

Kiedy dotarły do niego wieści o pogarszającym się stanie zdrowia Larysy, postanowił poinformować o tym Morrisona. Nie uważał tego za łamanie obietnicy danej Larysie, ale za właściwe posunięcie. Daken był pewien, że oboje chcieliby się spotkać. Naraził się nawet na kłopoty, przybywając do Palma, by się upewnić, czy przygotowano wszystko na przybycie Morrisona. Dla bezpieczeństwa wziął ze sobą Chase'a, znakomitego eksperta, nazywanego przez innych „aptekarszem” dla uhonorowania jego precyzji w działaniu.

Każdemu, kto nie jest obeznany z działaniem KGB, byłoby trudno pojąć, jak Wiktor Stalbo dowiedział się, iż Larysa Alusztą spędza ostatnie dni na Majorce. Radziecka organizacja szpiegowska była skuteczna, ponieważ zajmowała się codziennym życiem każdego ze swych „podopiecznych”. Do rutynowych zadań lokalnych oficerów należało sprawdzanie raportów medycznych każdego szpitala i każdego lekarza, w razie gdyby zaszły jakieś niezwykle okoliczności. W ten sposób KGB w Rostoku zanotowało, że

u jakiejś kobiety stwierdzono nowotwór złośliwy będący niewątpliwie efektem nietypowych obrażeń wewnętrznych sprzed wielu lat. Wkrótce raport dotarł do Stałby. Generał bez trudu odgadł, o kogo chodzi. W tej sytuacji wytropienie Larysy w Santa Ponsa stało się kwestią czasu. Wiktor Stałbo nie ufał naturze, nawet jeśli w grę wchodził rak, a zwłaszcza gdy na drugiej szali znajdowało się jego własne życie.

Choć agencje w Palma byli kompetentni i skuteczni, Stałbo wyjaśnił, że nie spocznie, póki na własne oczy nie ujrzy ciała Larysy. Nie mogli tego zrozumieć, ponieważ nie wiedzieli, iż w grę wchodziło odzyskanie pozostałych papierów demaskujących generała. Podróż Stałby przebiegałaby w tajemnicy, gdyby Chase nie rozpoznał owej rosyjskiej twarzy. Nikitina. Jego talenty w niehumanitarnym obchodzeniu się z ludźmi były dobrze znane takiemu ekspertowi jak Chase. Od lat wiadano, że Stałbo nie rusza się nigdzie bez Nikitina. — Czuję się paskudnie wobec Jacka — powiedział Daken tego ranka, gdy samolot z Morrisonem wylatywał ze Stanów, z Atlanty. — Nie przeczuwałem tego. Doprawdy nie mogę pojąć, jak Stałbo zlokalizował ją tak szybko. Jestem pewien, że Jack ruszyłby na tego skurwiela z gołymi rękami. Wyobrażasz sobie wrzawę w Moskwie i Waszyngtonie, gdyby jeden z naszych załatwił Stałbę? To znaczy, nie mam nic przeciwko temu, ale nie możemy pozwolić, by zrobił to Morrison. Musimy trzymać go w ryzach i z dala od Stałby — wyjaśnił. — Nie przychodzi mi na myśl nikt, kto równie jak Morrison zasługiwałby na tę szansę. Jeżeli choć połowa tej strasznej historii jest prawdą, to sędzę, że jemu powinno się dać okazję do rozerwania Stałby na kawałki. Moglibyśmy jeszcze dorzucić Nikitina jako premię. — Oczywiście Chase'a zwięzły się i zadrżał mu nerwowo wąż. — Gdybym musiał zgadywać, zaryzykowałbym, że właśnie Nikitina był tym rzeźnikiem, który torturował dziewczynę.

— Prawdopodobnie nienawidzę siebie za to na zawsze, lecz wiem, jaka jest opinia Waszyngtonu, a to właśnie ja podejmuję decyzje w tej części świata. — Daken chciał zrobić wrażenie, iż naprawdę nienawidzi tego, co robi. Zerknął na zegarek i zdecydował: — Najpierw zneutralizujemy Morrisona i to zaraz na lotnisku. Potem udamy się do wioski i zobaczymy, czy uda się przejąć Larysę, zanim zrobi to Stałbo.

Morrison niczego nie podejrzewał, trzymając się instrukcji Dakena. Szedł z terminalu w Palma do oczekującego BMW. Jego myśli zaprzętała Larysa i zdziwiło go stwierdzenie Dakena, że to on mógłby być celem. Gdy zdał sobie sprawę, iż coś jest nie tak, było już za późno. Co robił tutaj Chase? Nigdy nie zapomni poczucia winy widocznego na jego twarzy, gdy narkotyk zadziałał jak uderzenie cegłą. Ledwie dosłyszał, jak Daken mówił: — Jestem skurwysynem. Nigdy jeszcze nie gardziłem tak sobą... Po pozostawieniu Morrisona w pokoju hotelowym, Daken skierował się do Santa Ponsa. Skoro nie mógł zabrać Morrisona do Larysy, mógł dostarczyć ją do niego. Podróż jednak trwała znacznie dłużej, niż przypuszczał. Zderzenie ciężarówek na wzgórzach na północ od wioski zmusiło ich do objazdu. Dotarli na miejsce dopiero po południu. W Santa Ponsa panowało poruszenie. Na głównym rynku zebrali się prawie wszyscy mieszkańcy. Gdy Chase zaparkował samochód i wysiedli, tłum nie przywitał ich przyjaźnie. — Stój spokojnie — powiedział Daken pod nosem. — Nie odwracaj się. Jeżeli mam zgadywać, to nasi rosyjscy przyjaciele zdążyli tu przed nami. Chase nonszalancko skrzyżował ramiona na piersiach, tak by prawa dłoń znajdowała się w pobliżu broni. — Jak długo zamierzasz nic nie robić? — spytał wojowniczo. — Dopóki ten policjant, który gapi się na nas, nie rozdzieli nas od tłumu. — Wygląda tak, jakby był gotów rzucić nas im na pożarcie. Nawet nie drgnie. — Przesunął rękę bliżej kabury. — Naprawdę nie chciałbym tego używać, ale jeśli zostanę zmuszony... Daken dopiero teraz zauważył ułożenie ręki Chase'a. — Na Boga, weź rękę od broni. Nie dziwię się, że ten glina nie darzy nas zbytnią sympatią... — przerwał ujrawszy, jak jakiś mężczyzna wyłania się z tłumu. Podszedł do policjanta i zaczął coś mówić, od czasu do czasu wskazując na Dakena i Chase'a. Na twarzy stróża prawa pojawił się uśmiech ulgi. Ruchami rąk nakazał odsunąć się ludziom, krzyżąc przy tym po hiszpańsku, po czym zwrócił się do nich:

— Przepraszam, wzięto panów za kogoś innego. Pan Allana widział ich i upewnił mnie, że nie jesteście tymi, o których wszyscy myślą.

Gdyż Stalbo i Nikitin zjawili się w Santa Ponsa wcześniej. Z pozostawionych przez nich krwawych śladów Daken i Chase zorientowali się, że się spóźnili. Dzięki Bogu, Morrison pozostał w Palma, pomyślał Daken. Prawdopodobnie jednym z powodów wcześniejszego ocknięcia się Morrisona było zmniejszenie nieco dawki przez Chase'a w nadziei, że pomoże tym Jackowi w pokonaniu narkotycznego kaca.

Świadomość powracała przez mglistą zasłonę — mieszaną realnych myśli i snów. Wstał i wlepił wzrok w nieznajome zdjęcie na ścianie. Jak igła wbijająca się w czaszkę prześladowała go myśl, że ktoś ukochany umiera, podczas gdy osoba znienawidzona nadal żyje. Przypomniał sobie, że jest w Palma, że Larysa umiera w Santa Ponsa, że widziano Wiktora Stalbę i że jego torturowany mózg mógł mu to podpowiadać tylko z jednego powodu.

Chwiejnym krokiem wszedł do łazienki. Padł na kolana przy wannie i zanurzył głowę w silnym strumieniu wody. Przytomność wracała, w miarę jak chłód zajmował miejsce narkotyku w komórkach nerwowych. Przez mgłę przebijały się fragmenty z najbliższej przeszłości: obrazy lotniska, Chase w samochodzie, Chase klepiący go w ramię, ciemność... skurwysyn... i przewijający się między wszystkim Stalbo. Istniał tylko jeden powód jego wizyty na Majorce...

Morrison spojrzał na siebie. Spodnie i koszulka z krótkimi rękawami? Nie ma krawata. Co jest, u diabła! Uniósł głowę i pozwolił wodzie spłynąć po szyi za koszulę. Wstając, złożył dłonie i opryskał wodą twarz. Klimatyzacja wzmocniła uczucie chłodu, zadrżał. Zimno dodało mu wigoru. Czuł, jak serce zaczyna pracować szybciej.

Jego torba leżała w kącie pokoju. Założył kaburę, sprawdził broń przed włożeniem jej na miejsce, przytoczył nóż do nogi. Wyjął wymiętą sportową kurtkę i jej kieszenie napełnił magazynkami. Do kieszeni spodni włożył trochę pieniędzy.

— Co jeszcze, Morrison?! — krzyknął głośno. W pokoju rozległo się echo. — Czy jesteś znów na nogach, czy powtórnie dasz się



wykiwać? — Znow odpowiedziało mu bajkowe echo, jakby przecząc odczuciu, że oto wrócił do realnego świata.

Poszedł do łazienki i wylał szklanekę wody za koszulę, drugą na piersi, a trzecią w spodnie. Ta ostatnia porcja spłynęła aż do butów.

Wybiegł przez frontowe drzwi hotelu i wybrał najelegantszą taksówkę.

— Sir, lokalne zwyczaje wymagają, by brać pierwszy pojazd w kolejce — oznajmił kierowca monotonnym głosem, nie podnosząc głowy znad gazety.

Morrison wyjął z kieszeni zwitek banknotów i pomachał kierowcy przed oczami sumą wystarczającą na zakup nowego samochodu.

— To najnowsza taksówka w kolejce. Czy jest również najszybsza?

Kierowca spojrział na pieniądze, po czym przeniósł wzrok na Morrisona.

— Tak, sir. To najszybsza taksówka na całej wyspie, jeśli pan sobie tego życzy.

— Santa Ponsa! Dostaniesz resztę, kiedy wrócimy. — Połowa banknotów wylądowała na siedzeniu przy kierowcy. — Wyjeżdżaj z miasta. Powiem ci, jak mamy tam zajechać, gdy tylko dojedziemy do głównej drogi. Jazda!

Szybko dotarli do wioski. Gaetan wybiegł przed drzwi, zanim Morrison zdołał wysiąść z samochodu. Otoczył starego przyjaciela ramieniem.

— Nasze miasteczko wiele dzisiaj wycierpiało i dopiero teraz, po wszystkich tych latach, zaczynam rozumieć, kim naprawdę jesteś — tłumaczył ze smutną twarzą. — A zdarzy się jeszcze więcej, prawda? — Powtórnie objął Amerykanina, dostrzegłszy niebezpieczny błysk w jego oczach. Cofnął się o krok i studiował twarz Morrisona w poszukiwaniu odpowiedzi.

— Jeśli mi się powiedzie, Gaetanie, krzywda stanie się jedynie obcym. Potrzebuję teraz twojej pomocy. Larysa jest tutaj z jakąś starą zakonnicą, jak mi wiadomo. — Głos mu się nagle załamał. — Ona umiera, Gaetanie... — przestał mówić, dostrzegłszy tragiczny wzrok Allarii. — Zakonnica nazywa się siostra Teresa. Muszę ją znaleźć!

— Musisz zaparkować wyżej i zejść w dół ścieżką... Pójdę z tobą — powiedział Gaetan drżącym głosem, a jego oczy napełniły się łzami. — Siostra Teresa została zamordowana parę godzin temu.

Morrison gwałtownie otworzył drzwi od strony kierowcy i wyciągnął taksówkarza za ramię.

— Nie protestuj! — krzyknął i sam usiadł za kierownicą.

Nie istniały już żadne bariery. Logiczne plany przestały mieć znaczenie. Samochód pomknął na wzgórze, znikając w kłębach kurzu. Po chwili Morrison zatrzymał się przy ścieżce prowadzącej do domku. Ruszył przez las. Od celu dzieliło go kilkaset jardów. Wyszedł z zarośli na wschód od domku. Przed wejściem stał samochód. Powoli podchodząc bliżej, rozpoznał znajome tablice dyplomatyczne używane przez ambasady w Palma. Daken nigdy by takich nie użył!

Ilu ludzi może znajdować się wewnątrz czy też na zewnątrz? Larysa, Daken, Chase, Stalbo... Byłoby głupotą pokazywać się, nie wiedząc, kto może obserwować teren wokół domku. Gdyby coś mu się stało, Larysa nie miałaby szans, jeśli w ogóle jakieś jej jeszcze pozostały.

Powoli wszedł na wzgórze. Część jego umysłu optowała za wariackim wtargnięciem do domku, za uczynieniem wszystkiego dla ocalenia Larysy. Druga część była ostrożna, lecz nie miałaby szans, gdyby stracił kontrolę. Znalazł się wprost nad domkiem. Przyczaił się za grubą palmą. Nic się nie poruszało poza smaganą wiatrem trawą. Ptaki śpiewały wśród gałęzi. Spokój... spokój i cisza... senna. Było aż za spokojnie.

Trzy minuty, obiecał sobie. Poczekaj trzy minuty, by się upewnić. To wystarczy, zanim znów ruszy. Jeśli ktoś był na zewnątrz, pokaże się w ciągu tego czasu. Spoglądał na zegarek. Dotychczas nie zdawał sobie sprawy, jak długo może trwać sekunda. Dwie minuty dwadzieścia siedem niemiłosiernie ciągnących się sekund. Nie skończył odliczania. Boczne drzwi się otworzyły. Z cienia wyszedł mężczyzna. Rozejrzał się wokół i spojrzał nieco wyżej, na lewo od Morrisona. Potem zniknął i znów wyłonił się, ciągnąc za nogi ciało. Nie było wątpliwości. Szerokie ramiona, krótka i bardzo gruba szyja, łysa głowa, odstające uszy. Wiktor Stalbo nie musiał się nawet odwracać, by Morrison zobaczył jego twarz. Ciągnął ciało mężczyzny, które nagle utknęło w drzwiach. Stalbo zrobił głęboki wdech i szarpnął do tyłu. Bezładny korpus Chase'a ukazał się zza progu, a głowa ze stukiem spadła ze stopnia przy wejściu.

Morrisonem wstrząsnął dreszcz obrzydzenia. Z ochotą wyskoczyłby z ukrycia i nafaszerował ciało grubasa kulami, póki istniała

taka możliwość. Ale nie mógł... nie z tej odległości... nie, jeśli w środku pozostał ktoś jeszcze... Nie, dopóki istniała szansa, że Larysa może jeszcze żyć.

— Hej! — krzyknął Stalbo przez ramię. — Pomóż mi z tym! — Nadal ciągnął ciało Chase'a w dół zbocza. — Nikogo tu nie ma. Usłyszano by strzały. Chodź!

Morrison dostrzegł, jak zza drzwi ostrożnie wysuwa się tamten, uważnie obserwując otoczenie. W środku prawdopodobnie nie pozostał już nikt, bez wątpienia wyszedłby przecież na rozkaz Stalby. A zatem Morrison dobrze zrobił czekając. Powoli sięgnął po broń. Wyjął z kieszeni drugi magazynek i chwycił go w zęby.

Dokładnie, obiema rękami, wycelował pomiędzy dwóch mężczyzn.

Który najpierw? Wewnętrzny głos bez wahania wybrał Stalbę. Nie miało znaczenia, co zdarzy się potem... byleby tylko zabić jego... byleby zabić jego... byleby jego.

Morrison wstrzymał oddech i skoncentrował wzrok na szerokiej piersi. Jeśli nie będzie mógł dopaść tego drugiego po oddaniu dwóch strzałów do Stalby, wyjdzie z ukrycia i będzie starał się go odciąć od domku.

Byleby tylko zabić jego... byleby zabić jego... Palec zaczął naciskać na spust — byleby zabić jego.

Iglica w pistolecie Morrisona już miała uderzyć, gdy rozległ się strzał. Mężczyzna upadł do tyłu z szeroko rozłożonymi ramionami. Stalbo zareagował w ułamku sekundy. Nie został trafiony, gdyż natychmiast rzucił się instynktownie do przodu, koziółkując w powietrzu i dobywając broni. Po chwili skrył się za samotną palmą.

Zagrzmiał kolejny strzał i na drzewie, tuż nad głową Rosjanina, pojawiła się zadra. Nie celując, Stalbo odpowiedział dwoma strzałami. Trafił nieco na lewo od Morrisona, obok krańca krzaków. Potem nastąpiła śmiertelna cisza. Umilkły nawet ptaki i wiatr w gałęziach.

W tych krzakach musiał chować się Daken, gdyż tylko on był z Chase'em, z tego co Morrison pamiętał.

Rozpoczęła się śmiertelna gra w chowanego. Jednego był pewien — nie mógł ujawnić się przed Stalbą, dopóki nie będzie wiedział, co stało się z Larysą.

Stalbo wycelował pistolet w miejsce, gdzie stykały się krzaki i trawa. Oddał dwa strzały, drugi bardziej w prawo. To dałoby każdemu ukrywającemu się do myślenia. Gdy tylko druga kula

opuściła lufę, Stalbo zrobił unik, schodząc z linii ognia. Potem zaczął czołgać się w lewo z niezwykłą, jak u człowieka jego rozmiarów, szybkością. Patrz na to, Morrison, i przestań nie doceniać tego skurwysyna. Jak było do przewidzenia, gdy tylko dom znalazł się między Stalbą a jego prześladowcą, Rosjanin skoczył na równe nogi i pomknął w dół, znikając Morrisonowi z oczu. Po chwili Jack usłyszał trzask zamykanych drzwi.

Nadeszła pora, by działać. Morrison poczołgał się w prawo. Lepiej zrobić to teraz, póki Stalbo ma inne zmartwienia. Znaleźć się po drugiej stronie domu... z dala od tego miejsca. Dowiedzieć się co z Larysą... Potem kolej na Stalbę. Dzięki zaroślom przebrnął w ukryciu najtrudniejszy odcinek i znalazł się przy samotnym oknie na froncie budynku. Czekał, nasłuchując jakichkolwiek odgłosów z wnętrza. Nic.

Niezmiernie powoli, jakby czas przestał istnieć, wciąż nasłuchując, Morrison uniósł głowę tak, by móc zobaczyć wnętrze pokoju. Nie znajdowało się tam zbyt wiele sprzętów. Religijny obraz w drugim końcu przy oknie, wisząca roślina, duży krzyż, komoda. Pokój wyglądał na sypialnię, lecz z tej pozycji nie dostrzegł łóżka. Uniósł się wyżej i przekrzywił głowę, by zajrzeć głębiej. Teraz dojrzał łóżko i wychylając się jeszcze bardziej, dostrzegł parę znieruchomiałych, białych stóp, złączonych razem, ze wzniesionymi w górę palcami. Później zobaczył całą postać owiniętą białym prześcieradłem. Ręce złożone na piersiach były tak dobrze znanymi, kochanymi dłońmi... Jednej brakowało dwóch palców. Spoglądając wyżej, na twarz, Jack Morrison doświadczył oszołomienia, jakiego doznaje się na wieść o śmierci ukochanej osoby. Jej oczy były zamknięte dla świata, dla niego, dla Stałby i otaczającego zewsząd zła. Śmierć nadała jej twarzy niezwykle piękno. Miała starannie uczesane włosy i widać było, iż ten, kto się o nią troszczył, zadbał o to, by odchodziła w blasku swej urody. Wydawało się, że odeszła w spokoju, z dala od wszelkich okrucieństw. Nie było widocznych śladów morderstwa. Zaraz, myślał Morrison, kiedy Daken dzwonił, mówił jedynie o chorobie i że mogliby trochę czasu spędzić razem, zatem...

Gdzieś wewnątrz znajdował się człowiek, który uczynił z życia Larysy koszmar, mężczyzna, który przywiódł także Morrisona do Santa Ponsa po raz ostatni w życiu. Teraz zrozumiał. Nie istniał już powód, by się ukrywać — nawet przed śmiercią. Był pewien, że po zabiciu Stałby nic nie zatrzyma go wśród żywych. Opadł na kolana

i przekradł się na front domku. Zajrzał przez szybę drzwi. Stalbo stał tyłem, wyglądając przez okno po przeciwnej stronie. Skoncentrowany czekał na pierwszą oznakę ruchu ze strony Dakena. Morrison stanął na równe nogi. Musnął drzwi końcem lufy, by je uchylić. Wystarczy jeden krok. Pragnął, ażeby Stalbo był świadom nadchodzącej śmierci, żeby widział, kto mu ją niesie. Na chwilę wszystko zastygło w bezruchu. Otwarcie drzwi... broń w pogotowiu... złapanie równowagi... wzniesienie broni...

— Stalbo! — Gromki krzyk przetoczył się po wnętrzu. — Stalbo, ty skurwielu! — Mrozący krew w żyłach krzyk nienawiści. — Jestem Larysa!

Równoczesny, podwójny strzał. Stalbo z twarzą wykrzywioną przerażeniem runął i zwałił się plecami na ścianę. Jego twarz krwawiła, ale palec, jak gdyby to w nim pozostała resztką przytomności, wciąż zaciskał się na spuście. Morrison stracił równowagę. Jedna z kul trafiła go w ramię, druga rozpruła udo. Stalbo osunął się na podłogę, zdążył jeszcze strzelić w sufit. Morrison kłął i ładował w niego kule. Gdzieś z oddali słyszał ciągle swoje krzyki:

— Stalbo, ty skurwielu! Stalbo! Larysa! Stalbo! Larysa!

Gdy już ze środka nie dochodził żaden dźwięk poza monotonnym trzaskaniem, Daken wyczołgał się z krzaków. Podbiegł do okna i ostrożnie zajrzał do wnętrza. Broń nie była mu już potrzebna. Wszedł przez frontowe drzwi i nachylił się nad siedzącym pod ścianą Jackiem. Żadna z ran nie była śmiertelna. Wyciągnął dłoń po broń Morrisona, ale ten nadal mocno ścisnął kolbę. Daken dał spokój. Morrison powtórnie skierował pistolet na Stalbę. Trzask. I znowu. Niech zabija Stalbę tak długo, jak chce, pomyślał Daken.

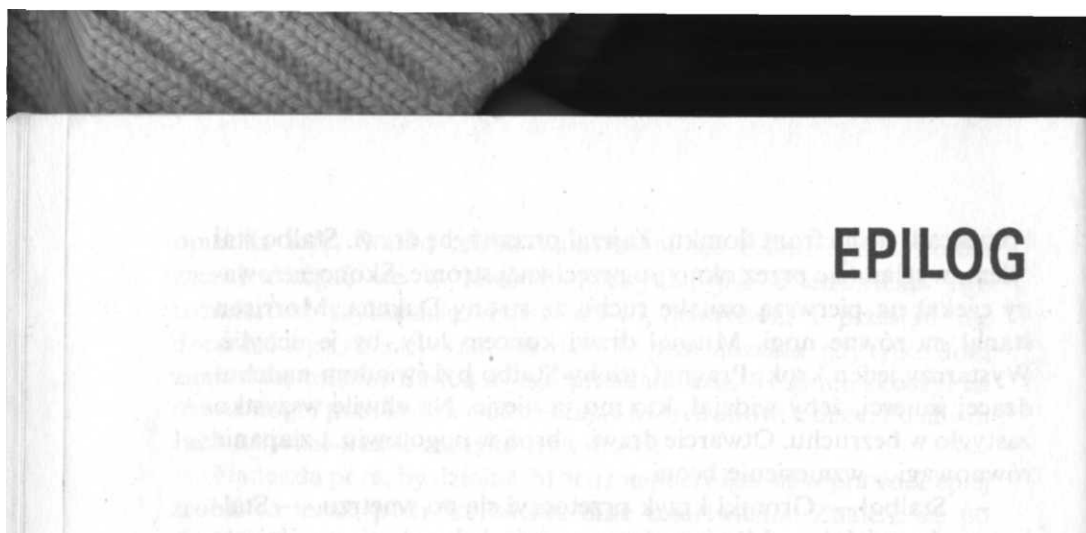
Wiktor Stalbo leżał po przeciwnej stronie pokoju, twarz była krwawą miazgą. Nie rozpoznałby go nawet własni ludzie. Kiedy się dowiedzą, jak zginął, rozpęta się piekło. A dowiedzą się, to nie ulega wątpliwości.

Daken wszedł do sypialni i spojrzął na Larysę. Leżała na łóżku tak spokojna. Dojrzał krzyż na ścianie i poczuł się obco w tym miejscu. Z sąsiedniego pomieszczenia nadal dochodziło szczękanie pustego pistoletu. Morrison z sykiem powtarzał:

— Stalbo, ty skurwielu... Jestem Larysa... Stalbo, ty skurwielu... — Litania trwała, póki nie stracił przytomności.

Dokonało się...





**W** Palma biskup Majorki przeszedł do swego prywatnego biura. Roztrzęzionymi rękoma otworzył szufladę biurka i wyjął pisma, które wręczyła mu kiedyś Larysa Ałushta. Obiecał wówczas, iż wyśle je zaraz po jej śmierci, lecz teraz otworzył koperty i przez następne kilka godzin czytał historię, która doprowadziła do śmierci śliczną Rosjankę.

Biskup nie przypominał sobie, by kiedykolwiek nie dopełnił życzenia zmarłego. Zaadresował kopertę do znanego dziennikarza w Rzymie. Był przekonany, że tę historię należy ujawnić. Nie z zemsty. Jako epitafium dla pięknej kobiety z Poryni.